KRAJ DEWELOPERÓW
Budują mieszkania, rujnują miasta i ludzi

ZAROBIĆ NA SMOGU
Sprawdzamy, czy maski chronią

KOŚCIÓŁ A ROZWODY
Franciszek chce zmian, nasi biskupi zwlekają

PETER GABRIEL
Wszystkie wcielenia kultowego rockmana

Kraków 25 lutego 2018 nr 9 (3581) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

JAK POLITYCY STERUJĄ POLAKAMI

Władcy strachu

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

REKLAMA

AN EVENING WITH

2CELLOS
THE SCORE TOUR

KONCERTY

18 MAJA 2018
ERGO ARENA GDAŃSK/SOPOT

19 MAJA 2018
TAURON ARENA KRAKÓW

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

SCORE
COMING SOON

2CELLOS.COM

UNITED TALENT AGENCY

Prestige MJM 10 lat
15 RMF Classic
wprost
DO RZECZY
GAZETA BANKOWA
Gitarzysta
Perkusista
pap
wp
cgm.pl
trojmiasto.pl
Multikino
GOLD
empik
PRESS SERVICE
VIXON
ams

REKLAMA

PZU

kursy lawinowe.pl

Z MYŚLĄ O BEZPIECZEŃSTWIE
PORADY DLA SKITUROWCÓW I TURYSTÓW PIESZYCH
YOUTUBE.COM/KURSYLAWINOWEPL

SPONSORZY

THE NORTH FACE
ARMADA
PRIMUS
uvex
odlo
GARMIN
ORTOVOX

ORGANIZATORZY

PSF
SNOW PR

PARTNER REGIONALNY

MassCorto

KS. ADAM

Boniecki: *Święty strach*

Nie podoba nam się manipulacja strachem. Metodę: zasiać strach i jako „jedyny obrońca" zgarnąć władzę, uznajemy za niegodziwą. O takiej metodzie pisze w tym numerze Marcin Żyła. Słysząc to, może ktoś zapytać o religię. Czy przypadkiem wiara w bogów (w Boga) nie wyrosła ze strachu przed groźnym światem? Czy siłą religii nie jest przypadkiem pielęgnowanie strachu w wiernym ludzie? Choćby znany cytat z Mądrości Syracha: „Temu, kto się Pana boi, dobrze będzie na końcu, a w dniu swej śmierci będzie błogosławiony. Początkiem mądrości jest bojaźń Pana" (Syr 1, 13-14).

A jednak nie. Różnicę między „bojaźnią" a strachem już dawno ukazał klarownie o. Jan Andrzej Kłoczowski (miesięcznik „List" 9/2002). „Bojaźń", słowo rzadko dziś używane, oznacza troskę o coś ważnego, o wielkie dobro. Żywić bojaźń znaczy strzec jakieś wielkie dobro. Strach paraliżuje, bojaźń mobilizuje. Bojaźń Boga znaczy (według J.A. Kłoczowskiego) raczej „bojaźń o Boga". Kłoczowski wspomina w artykule swoją polemikę z filozofem Bohdanem Chwedeńczukiem, który utrzymywał, że to religia wprawia ludzi w strach przed śmiercią, że to księża straszą tymi wszystkimi sądami. Kłoczowskiemu zaś – jak pisze – „wydaje się, że jest dokładnie odwrotnie". Zwolennikom duszpasterzowania strachem polecam ten artykuł znakomitego krakowskiego dominikanina.

Trudno jednak zaprzeczyć (i Kłoczowski nie zaprzecza), że manipulowanie strachem od dawna kusiło i dziś jeszcze kusi duszpasterzy. Widmo potępienia i wieczystych kar piekielnych pociąga jako skuteczne narzędzie walki z grzechem i jako sposób nawracania ludzi. Zresztą, wedle powszechnego przekonania, w samej Ewangelii można znaleźć straszące cytaty, mówiące o „ogniu, który nigdy nie gaśnie" i o wiecznym potępieniu. Tymczasem wcale tak nie jest zdaniem wybitnego teologa o. Wacława Hryniewicza. Pisze: „Ewangelia, Dobra Nowina daje niezwykłe świadectwo o nieskończonej miłości Boga. (...) Ewangelia nie straszy ludzi wiecznym piekłem, aby w ten sposób nakłonić ich do zmiany życia. To my uczyniliśmy z niej groźną nowinę o sądzie i potępieniu na wieki" („Abym nie utracił nikogo", s. 14). Papież Franciszek zdaje się sądzić podobnie, kiedy mówi, że jedyna właściwa hermeneutyka słów Chrystusa to hermeneutyka miłosierdzia. Sam zaś Hryniewicz dowodzi, że jego teologia „próbuje odszukać zapomniane prawdy chrześcijaństwa" („Chrześcijaństwo nowych początków", s. 8).

Dziś zresztą duszpasterstwo przez straszenie wydaje się odchodzić do przeszłości. Papież Franciszek robi wszystko, aby Kościół nie straszył, ale zawsze głosił ludziom „*Evangelii gaudium*" – radość Ewangelii.

Strach jednak pozostaje pokusą rządzących. Czy „Święty Kościół grzesznych ludzi", będący i tajemnicą wiary, i wielką, światową organizacją, tu i ówdzie nie ulega pokusie sięgania po strach, oczywiście dla realizowania swoich świętych celów?

Otwierając 11 października 1962 r. Sobór Watykański II, Jan XXIII przestrzegał przed „tymi prorokami niedoli, którzy występują jako zwiastuny wydarzeń zawsze nieszczęśliwych i jakby zapowiadających koniec świata".

Laicyzacja kultury, spadek liczby powołań, puste kościoły w niektórych, kiedyś żarliwie katolickich krajach, dyskryminacja chrześcijan, ujawnienie skandali z udziałem ludzi Kościoła, islamscy imigranci w chrześcijańskiej Europie, antykościelne i antyklerykalne wystąpienia na różnych forach komunikacji i życia publicznego, zawłaszczanie przez narodowców dorobku katolickiej myśli, a w samym Kościele trudności z percepcją nauczania papieża Franciszka itp. – można te zjawiska postrzegać i ukazywać jako przerażające zagrożenia, ale także można (i chyba należy!) widzieć w nich wyzwania dla wierzących, których Chrystus nie przestaje posyłać do świata takiego, jaki jest.

Zaryglowanym „ze strachu przed Żydami" uczniom Zmartwychwstały kazał otworzyć drzwi i bez lęku iść „na cały świat", by głosić Dobrą Nowinę.

Bo co to by był za Kościół, który się wszystkiego boi i który zamiast iść do „złego świata", się barykaduje? ©℗

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

KRAKÓW środa, 28 lutego, godz. 18, Auditorium Maximum, ul. Krupnicza 33

SPOTKANIE W RAMACH CYKLU SALON „ALL IN UJ"

Informacje o zapisach znajdą Państwo na: www.powszech.net/wydarzenia

KIELCE czwartek, 1 marca, godz. 18, Instytut Kultury Spotkania i Dialogu, ul. Planty 7

SPOTKANIE „MARZEC '68" W RAMACH FESTIWALU LITERATURY FAKTU I POEZJI „WOLNOŚĆ I POKÓJ".

Podczas spotkania będzie możliwość zakupienia książek ks. Adama Bonieckiego.

MSZE ŚW. I SPOWIEDŹ:

Msze św. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9, Warszawa), soboty godz. 18, niedziele godz. 8.30.
Spowiedź – bazylika św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków), wtorki godz. 18-19.

Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem Bonieckim: kuczminska@tygodnik.com.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Zachód potrzebuje nowego Churchilla: lidera, który ma strategię i jednoczy
WOJCIECH PIĘCIAK

6-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

19 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Budowniczowie na sto dwa
MAREK RABIJ *o deweloperach*

26 Co skrywa maska
KACPER GIERLACH: *Czy antysmogowe maseczki działają?*

28 Oddajcie nam kolorowe sny
MATEUSZ HALAWA: *Okładka polskiego „Vogue" a kompleksy klasy średniej*

30 Niepoliczalni
MICHAŁ OKOŃSKI: *Jak szacować, ilu Żydów w czasie wojny zabili Polacy?*

■ ■ WIARA

32 Rozwodnicy pod rygorem
ARTUR SPORNIAK: *Polscy biskupi wciąż nie opublikowali wytycznych o komunii dla rozwiedzionych żyjących w nowych związkach. Dlaczego?*

36 Katedry wśród minaretów
MARCELINA SZUMER-BRYSZ

39 Służyć czy strzec
JÓZEF MAJEWSKI: *Franciszek zmienia styl działania strażników ortodoksji*

40 Z perspektywy wygnania
SZYMON HIŻYCKI OSB: *Druga część rekolekcji z Ojcami Kościoła*

■ ■ Z ODDECHEM

42 Alpha Zero na pustyni
PIOTR SIKORA: *Obawy wobec Sztucznej Inteligencji są obawami przed Sztuczną Wolnością*

JOANNA RUSINEK

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Strasz i rządź

MARCIN ŻYŁA

Oto mechanizm, którego ofiarami stało się kilka milionów Polaków. Znany od dawna, przećwiczony na nowo, znów udowodnił politykom swoją użyteczność.

17 Efekt zbitej szyby

ROZMOWA Z MIKOŁAJEM WINIEWSKIM, PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM

Zarządzanie strachem to po prostu psucie społeczeństwa. Jest nieodpowiedzialne. Złe emocje dużo prościej wywołać, niż okiełznać.

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
41 SZYMON HOŁOWNIA
63 WOJCIECH BONOWICZ
75 JAN KLATA
81 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JOANNA RUSINEK
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ ŚWIAT

46 Korupcja i gniew
KAMIL CAŁUS *o przyszłości Rumunii*

50 Zagubieni w dialogu
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Nowelizacja ustawy o IPN i wielkie emocje na Ukrainie*

52 Lęki środkowej Europy
PATRYCJA BUKALSKA

54 Przechadzka dla przerażonych ROZMOWA Z ZUZANĄ SCHREIBEROVĄ I JANEM DÍTKĄ Z WIELOKULTUROWEGO CENTRUM PRAGA

■ ■ HISTORIA

56 Popkulturowe odcienie Piłsudskiego JAN ROJEWSKI, MIKOŁAJ MIROWSKI

■ ■ NAUKA

60 Małpy z probówki
ANNA BARTOSIK *o klonowaniu*

■ ■ KULTURA

64 Tylko nie prorok!
DARIUSZ ROSIAK *o Jordanie Petersonie, autorze książki „12 reguł na życie. Odtrutka na chaos"*

68 Zjadanie Sokratesa
DARIUSZ KOSIŃSKI *o „Uczcie" Platona w reżyserii Garbaczewskiego*

71 Gabriel od Genesis
ROBERT KASPRZYCKI

73 Warto zobaczyć w TV

74 Jak spod igły
ANITA PIOTROWSKA *o „Nici widmo"*

75 Głos bezimiennych
LEKTOR *o „Kronice życia i twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza"*

■ ■ ZMYSŁY

76 Namiętności i studia pionkowe ROZMOWA Z EDWARDEM PAŁŁASZEM, KOMPOZYTOREM

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem Ⓟ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Załadunek wozów pancernych „Boxer" dla niemieckiego batalionu z sił NATO, który stacjonuje na Litwie. Immendingen, Niemcy, 25 stycznia 2018 r.

FELIX KÄSTLE / DPA / AFP / EAST NEWS

Zachód potrzebuje nowego Churchilla: lidera, który ma strategię i jednoczy

WOJCIECH PIĘCIAK

Dziewięć: tyle sprawnych czołgów ma batalion Bundeswehry należący do 9. Brygady Pancernej z Münster. Wprawdzie powinien mieć 44 czołgi, lecz brakuje części zamiennych. Tymczasem batalion ten należy do „szpicy": zgrupowania jednostek z różnych krajów NATO, które w razie kryzysu ma być superszybko przerzucone do Polski i krajów bałtyckich („szpicę" wymyślił kiedyś Berlin jako alternatywę dla stałych baz NATO w Europie Środkowej).

Problem dotyczy nie tylko czołgów. Choć niemiecki budżet ma się świetnie, sytuacja Bundeswehry jest katastrofalna. Niesprawne są, prócz większości czołgów, także okręty podwodne (wszystkie sześć) i spora część samolotów. Braki dotyczą nawet wyposażenia osobistego: kamizelek kuloodpornych czy odzieży zimowej...

O tej fatalnej sytuacji w Bundeswehrze – czyli w naszej najważniejszej armii sojuszniczej (obok Amerykanów, których jednak jest w Polsce i w ogóle w Europie nadal niewielu) – napisał w minionym tygodniu dziennik „Die Welt", powołując się na przeciek z berlińskiego MON.

Pewnie nieprzypadkowo ktoś podał mediom ów poufny dokument w tym momencie – tuż przed tym, jak do stolicy Bawarii zjechał tłum polityków i ekspertów z całego świata, by w minionym tygodniu dyskutować na tradycyjnej, odbywanej co roku w lutym, Munich Security Conference (konferencji nt. bezpieczeństwa). Wydarzenie to wyjątkowe nie tylko z racji obsady (nigdzie na świecie nie można spotkać naraz tylu byłych i obecnych przywódców, ministrów itd.), ale też charakteru: zwłaszcza w ostatnich latach – wobec dezintegracji struktur, formatów i kanałów komunikacyjnych tzw. ładu światowego – MSC traktowana jest jak barometr.

Co pokazuje on teraz? Nie będziemy oryginalni: polityczno-ideowy pesymizm kładzie się cieniem na krajach zachodnich. Ale nie tylko dlatego, że przybywa ognisk zapalnych: w „otulinie" Zachodu, w jego strukturach (Unia) i różnych krajach (gdzie wspólnym mianownikiem jest kryzys zachodniej liberalnej demokracji, objawiający się na wiele sposobów). I nie tylko dlatego, że takie kryzysy jak wojna w Syrii, terroryzm czy migracja trudno jest nie tylko rozwiązać, ale choćby w miarę kontrolować. Czasem trudno oprzeć się wrażeniu, że jakiś przypadek, umowny „strzał w Sarajewie", może wyzwolić dynamikę, nad którą nikt już nie zapanuje (tym istotniejsze jest, by nie tylko batalion z Münster miał wszystkie sprawne czołgi).

Ale problemem są też ludzie. To nie przypadek, że najbardziej sensowną mowę – dającą nie tylko obraz zagrożeń, ale też podstawy do nadziei – wygłosił w Monachium emeryt: Joe Biden, były wiceprezydent USA (w 2015 r. rozważał start w prawyborach Partii Demokratycznej i dziś można tylko żałować, że się nie zdecydował).

Wobec kolejnych i coraz bardziej skomplikowanych kryzysów Zachód potrzebuje nie tylko silnych instytucji demokratycznych – jak są ważne, pokazuje przykład USA i to, jak Stany radzą sobie z Russiagate (więcej w Obrazie Tygodnia) – ale też współczesnego Churchilla (tak genialnie sportretowanego w filmie „Czas mroku"). Kogoś, kto łączyłby cechy lidera zadaniowego i wspólnotowego: pokazywał cel, sens oraz strategię, a zarazem jednoczył ludzi i struktury, poddane presji dezintegracyjnej – tak z zewnątrz (Rosja i jej wojny, klasyczne i hybrydowe), jak od wewnątrz. ©℗

Zakuć Frasyniuka na pokaz

PAWEŁ BRAVO

Policja zatrzymała w zeszłą środę o szóstej rano Władysława Frasyniuka, by doprowadzić go do prokuratury, która prowadzi postępowanie w sprawie naruszenia nietykalności dwóch policjantów w trakcie blokady miesięcznicy smoleńskiej w czerwcu ub.r. Po przedstawieniu zarzutów i odmowie składania wyjaśnień został zwolniony. Frasyniuk nie stawiał się dobrowolnie na wezwania, więc samo doprowadzenie go przez policję nie powinno budzić protestów – mieści się w zakresie oczywistych konsekwencji, jakie ponosi każdy, kto powołuje się na odruch nieposłuszeństwa obywatelskiego (Frasyniuk mówi: „obywatel ma prawo i obowiązek nie współpracować z władzą, która łamie konstytucję"). Obywatel decydujący się na uzasadnioną moralnie odmowę poddania się prawu liczy się z tym, że państwo zastosuje wobec niego środki represyjne. Sęk w tym, że tłumaczenia władz, iż chodziło tylko o równość wobec prawa (nawet wybitny działacz opozycji demokratycznej nie ma przywileju lekceważenia wezwań urzędów), rozbijają się o szczegóły tego zatrzymania. Trudno dać wiarę słowom policji, iż działano „z zachowaniem godności osobistej": skucie kajdankami, w dodatku z tyłu, to środek przymusu bezpośredniego, który policja, owszem, może stosować, ale tylko w granicach konieczności. Potraktowanie zatem Frasyniuka jako ukrywającego się przestępcy, którego trzeba wywlec o szóstej rano z domu, w dodatku na tyle niebezpiecznego, żeby go dotkliwie obezwładnić, to działanie obliczone na efekt propagandowy, a nie dbałość o respekt wobec prawa i procedur. Nawet jeśli pojawiające się potem porównania z metodami rodem ze stanu wojennego są grubo przesadzone, to niewątpliwie chodziło o pokazówkę, o presję na inne osoby uczestniczące w podobnych akcjach. ©℗

Wycofana szczepionka: procedury zadziałały

„KTOŚ JESZCZE wątpi w spisek Big-Pharmy?" – pod portalowymi newsami dotyczącymi wycofania z obrotu w woj. świętokrzyskim jednej z serii szczepionek Pentaxim nastąpił rytualny wysyp komentarzy tzw. antyszczepionkowców. Tymczasem – w przeciwieństwie do ujawnionych przez „DGP" przypadków podawania dzieciom szczepionek nadających się do utylizacji – wydarzenie to dowodzi raczej sprawności służb sanitarnych. Procedury zadziałały: pielęgniarka przed podaniem szczepionki dokładnie przyjrzała się pod światło preparatowi i dostrzegła jego niejednorodność; przychodnia zgłosiła to do Inspektoratu Farmaceutycznego, a ten błyskawicznie wydał decyzję o wycofaniu w województwie całej serii preparatu. ©℗

MAM

MAREK PODMOKŁY / AGENCJA GAZETA

NA STOKU KOTELNICA w Białce Tatrzańskiej odbyły się doroczne nieformalne mistrzostwa w zjeździe na byle czym, jedna z większych imprez tego rodzaju organizowana w trakcie ferii w górach. Oprócz wanny, materaca, starego tapczana, skrzyni, konstrukcji z palet i pontona pojawiły się bardziej zaawansowane konstrukcje. ©℗ PB

Emerytalny bufor

NIŻSZA PENSJA, w zamian wyższe świadczenia na starość – tak można najkrócej streścić nowy pomysł rządu PiS na emerytury Polaków. Chodzi o przesłany przez resort finansów do konsultacji społecznych i międzyresortowych projekt ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych, który mógłby wejść w życie najwcześniej z początkiem 2019 r. Założenie jest proste: państwo tworzy możliwość wejścia do dodatkowego, prywatnego i dobrowolnego systemu zbierania pieniędzy na przyszłą emeryturę. Pracownik – jeśli się na to zdecyduje (w przeciwnym razie musi napisać deklarację o odmowie uczestnictwa) – będzie płacił co najmniej 2 proc. swojej pensji na PPK. To oznacza obniżenie comiesięcznych poborów o co najmniej kilkadziesiąt złotych. Swoje do systemu dorzuci zatrudniająca go firma – jej wkład to 1,5 proc. pensji pracownika – a także państwo, wpłacając 240 zł rocznie. PPK dotyczyć ma wszystkich pracujących Polaków w wieku od 19 do 55 lat, a więc około jedenastu milionów osób.
Ekonomiści zwracają uwagę na dodatkowy – poza obniżonymi poborami i wyższymi emeryturami – efekt zmian: zwiększone obciążenie dla pracodawców. Ale rządowe plany można też czytać jako „bufor" na skutki obniżenia przez PiS wieku przejścia na emeryturę – do 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn. Kobieta, która zdecyduje się na tak szybkie zakończenie aktywności zawodowej, może stracić – w porównaniu z poprzednimi zasadami, które zakładały świadczenie od 67. roku życia – między kilkaset a ponad tysiąc złotych miesięcznie. PPK jej tych strat nie zrekompensuje, ale może je zmniejszyć. ©℗

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

LICZBA TYGODNIA

79 proc.

tylu Polaków zamierza wziąć udział w najbliższych wyborach samorządowych – wynika z najnowszego badania CBOS. I to te wybory wskazano jako najważniejsze, po nich znalazły się parlamentarne i prezydenckie. Najmniej istotne według respondentów okazały się wybory do Parlamentu Europejskiego.

W SKRÓCIE

ZAPACH. Partia wódki „Luksusowa" została wycofana z rynku po tym, jak klienci skarżyli się na dziwny zapach wydobywający się z butelek. Niestety nie da się wycofać ostatnich wypowiedzi polskich polityków.

UWAGI. Nie da się też postąpić ze światowymi komentarzami o Polsce tak, jak właścicielka jednego z gdyńskich przedszkoli postąpiła z trzema dziewczynkami, wyrzuconymi po tym, jak ich rodzice wymieniali uwagi o placówce na Facebooku.

HOROSKOP. W Kancelarii Premiera powstaje zespół do walki z kryzysami wizerunkowymi. W sytuacji tak trudnej można też czytać horoskopy. Ten znaleziony na portalu Onet bliźniaczo pasuje do Mateusza Morawieckiego (zodiakalny bliźniak): „Dzisiaj możesz być nadmiernie impulsywny i nerwowy. Takie zachowanie wpłynie negatywnie na twoje związki z innymi ludźmi. Skomplikuje też współpracę. Jeden nierozważny krok lub decyzja pokrzyżują ci plany".

NAJTRUDNIEJ. Nie wiemy, czy w skład zespołu kryzysowego wejdzie Krystyna Pawłowicz, która w okładkowym wywiadzie dla „Sieci" przyznaje: „Padały różne propozycje awansów, trybunałów. Nie chcę. Chcę walczyć tu, gdzie jest najtrudniej". W tym samym piśmie kryzys wokół ustawy o IPN komentuje szef klubu posłanki Ryszard Terlecki. Zawiódł nas instynkt – powiada, samokrytycznie, choć nie do końca chyba zrozumiale przyznając, że „skala tego wybuchu jest również po naszej stronie".

SKOK. À propos instynktu: poseł Marcin Horała po olimpijskim zwycięstwie Kamila Stocha zamieścił na Twitterze zdjęcie smutnego Donalda Tuska z podpisem „Wellinger przegrał". Problem w tym, że zmartwienie Tuska uchwycono podczas odwiedzin miejscowości, która ucierpiała w czasie tornada.

YOMIURI SHIMBUN / AP / EAST NEWS

Powiedział, jak premier w Monachium

MICHAŁ OKOŃSKI

W poniedziałek 18 stycznia 1943 r. na ulicach Warszawy leżał śnieg. Było, jak piszą Barbara Engelking i Jacek Leociak w „Przewodniku po nieistniejącym mieście", słonecznie i bardzo mroźno. Akurat tego dnia, 75 lat i miesiąc przed wizytą Mateusza Morawieckiego w Monachium, w getcie rozpoczęła się tzw. akcja styczniowa: Niemcy natrafili na opór ze strony członków żydowskiej konspiracji. Padły strzały, na ulicach getta zobaczono pierwsze trupy okupantów.

Wspominam ten epizod jako przykład jednej z dziesiątków okazji niewykorzystanych przez naszych dyplomatów. Jest przecież oczywiste, że we współczesnej polityce argumentami są także wydarzenia i postaci z przeszłości. To dlatego przed kilkoma dniami Andrzej Duda pędził z kwiatami pod tablicę upamiętniającą Irenę Sendlerową. W momencie największego od czasów wojny sześciodniowej kryzysu w stosunkach polsko-izraelskich (przyjmę jednak założenie, że Polska, choć niesuwerenna, w 1967 r. istniała, skoro ciesząc się z medalu Kamila Stocha Kancelaria Prezydenta wspomina złoto Wojciecha Fortuny z 1972 r.) można było złożyć hołd żydowskim bohaterom, jeśli nie ze szczerego serca, to z roztropności. Nawiasem mówiąc: decyzja o włączeniu syren w rocznicę powstania w getcie powinna być oczywistością.

W odpowiedzi dziennikarzowi, który zapytał, czy w świetle ustawy o IPN będzie przestępcą, jeśli powie, że jego rodzina została wydana Gestapo przez polskich sąsiadów, premier stracił okazję uczynienia podobnego gestu. „Oczywiście nie będzie to karane, jeżeli ktoś powie, że byli polscy sprawcy, tak jak byli żydowscy sprawcy, tak jak byli rosyjscy sprawcy, ukraińscy sprawcy, nie tylko niemieccy" – powiedział, wywołując kolejną burzę. W jego zdaniu nikt nie usłyszał bowiem – być może nawet odważnego dla twardego elektoratu PiS – przyznania, że istnieli polscy sprawcy. W świat poszedł komunikat o jakichś „żydowskich sprawcach", często używany zresztą na krajowym podwórku, gdzie prawicowi publicyści i politycy wspominają o Judenratach i brutalności żydowskich policjantów w gettach. Problem w tym, że – jak czytamy w oświadczeniu Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP – „wymienianie ich, działających pod najstraszliwszym przymusem, jednym tchem ze sprawcami polskimi, ukraińskimi czy zbrodniarzami niemieckimi, którzy od popełnienia zbrodni mogli się uchylić, jest dowodem moralnej ślepoty". To coś o wiele gorszego niż np. słowa premiera Cimoszewicza, mówiącego powodzianom, że powinni się ubezpieczać.

Owszem, wyobraziłem sobie, że w zadającym pytanie dziennikarzu premier widzi nie kogoś, kto próbuje go wciągnąć w pułapkę, tylko członka rodziny straszliwie doświadczonej przez los. Co by było, gdyby szef rządu wykazał się empatią. Gdyby powiedział chociażby: „głęboko współczuję Panu i Pana bliskim". Ile punktów zarobiłby dla kraju tym prostym zdaniem.

Wiele czytaliśmy, że rekonstrukcja rządu była spowodowana koniecznością poprawy relacji ze światem. Że nowy premier miał być twarzą Polski otwartej i nowoczesnej, Polski gospodarczego sukcesu. Po przekazaniu przez prezydenta ustawy o IPN do Trybunału Konstytucyjnego kryzys wydawał się zażegnany: twardy elektorat zaspokojono, a z Izraelem (czytaj też: z jego sojusznikami, głównie z USA, o których roli dla polskiego bezpieczeństwa przypominać nie trzeba) miał się utrzeć kompromis. Wygląda jednak na to, że Polska nie stanie się otwarta i nowoczesna, że nie będzie jej sukcesu, bez przepracowania okupacyjnej przeszłości – bez moralnego przewrotu, o którym pisał kiedyś w „TP" Jan Błoński (zob. powszech.net/blonski). Inaczej dziesiątki kolejnych premierów – nieważne, o jak błyskotliwych karierach i świetnym wykształceniu – potykać się będą o proste tak naprawdę pytania. ©℗

Czytaj także na www.TygodnikPowszechny.pl:

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU: Coraz częściej słychać w Izraelu pytania, czy Polacy upadli na głowę. Słowa premiera Morawieckiego o „żydowskich sprawcach" w czasie Holokaustu to nie jedyny polski news, który wylądował w tym tygodniu na czołówkach izraelskich gazet.

GRZEGORZ SZYMANOWSKI Z BERLINA: Pierwsza wizyta premiera Morawieckiego w Berlinie pokazała, że ciężko o „nowe otwarcie" między Polską i Niemcami. Trudno patrzeć w przyszłość, gdy uwaga skupia się na kwestiach historycznych, a Warszawa trwa w sporze z Komisją Europejską.

Wpisz: **powszech.net/morawiecki**

Amerykanie oskarżają rosyjskie trolle

DEPARTAMENT SPRAWIEDLIWOŚCI USA oskarżył w minionym tygodniu 13 Rosjan i trzy rosyjskie firmy o ingerowanie w amerykańską kampanię prezydencką w 2016 r. Dokument jest efektem pracy specjalnego prokuratora Roberta Muellera, który bada wpływ Rosji na wybory w USA. Wynika z niego, że działania Rosji – rozpoczęte w 2014 r. i zaskakujące pod względem śmiałości oraz skali – były sowicie finansowane, konsekwentne i wielopostaciowe. Głównym bohaterem aktu oskarżenia jest zaufany Putina, oligarcha Jewgienij Prigożyn (pisała o nim Anna Łabuszewska: powszech.net/prigozyn), który kontroluje słynną „fabrykę trolli" z Petersburga (oficjalnie to Internetowa Agencja Rozwoju). Stąd działały zespoły trolli, pracujące na zmiany i wykorzystujące głównie media społecznościowe, by szerzyć podziały między Amerykanami i niszczyć zaufanie do demokracji. Robiły to, kreując i rozpowszechniając radykalne treści dotyczące np. imigracji, religii czy rasy. Co ciekawe, trolle siały chaos, atakując wszystkich kandydatów prócz Trumpa i Berniego Sandersa (lewicowego rywala Hillary Clinton w Partii Demokratycznej). Zespół Muellera twierdzi, że Rosjanie działali nie tylko w sieci, ale też w terenie: w USA, głównie w regionach, gdzie nie ma wyraźnej przewagi Republikanów lub Demokratów. Np. na Florydzie Rosjanie podający się za Amerykanów wspierali kampanię Trumpa.
Rewelacje Muellera potwierdzają, że celem Kremla są nie tylko politycy, lecz w ogóle demokracja: chce podgrzewać na Zachodzie spory i podkopywać zaufanie do instytucji państwa. Rosjanie nie zaprzestali używania sieci w wojnie informacyjnej: gdy jesienią 2017 r. w Nowym Jorku zapowiedziano protesty za i przeciw Trumpowi, trolle zachęcały do udziału i zwolenników, i przeciwników Trumpa. Na trzy dni przed prezentacją aktu oskarżenia Dan Coats – szef koordynator tajnych służb USA – mówił na forum senackiej komisji wywiadu, że „nie ma wątpliwości, iż Rosja uznaje swoje działania za zakończone sukcesem, a wybory do Kongresu [w 2018 r.] mogą być jej kolejnym celem". Z kolei w styczniu strona internetowa „UE przeciw dezinformacji" (prowadzona przez administrację Unii Europejskiej jako odpowiedź na propagandę Kremla) poinformowała, że w 2018 r. petersburska „fabryka trolli" ma potroić zajmowaną powierzchnię z obecnych 4 tys. do 12 tys. metrów kwadratowych. ©℗ PATRYK STANIK

ANDRES MARTINEZ CASARES / REUTERS / FORUM

Oxfam: kwestia proporcji

CORAZ CZĘŚCIEJ słychać zarzuty pod adresem pracowników międzynarodowych organizacji humanitarnych. Po tym, gdy okazało się, że w 2011 r. – podczas akcji pomocy Haiti po trzęsieniu ziemi – kilku pracowników Oxfamu korzystało z usług lokalnych prostytutek, na organizację posypały się gromy. Władze brytyjskie zapowiedziały, że do wyjaśnienia sprawy wstrzymają Oxfamowi dotacje publiczne. Save the Children i Lekarze bez Granic (MSF), być może chcąc uprzedzić krytykę z zewnątrz, natychmiast ujawniły, że w 2017 r. prowadziły wewnętrzne dochodzenia ws. kilkudziesięciu przypadków molestowania seksualnego.
Tyle usłyszał świat. Dopiero po kilku dniach Mark Goldring, prezes Oxfamu, podzielił się z „Guardianem" swoimi wątpliwościami. Nie kwestionując winy swoich pracowników, pytał: „Co takiego zrobiliśmy? Mordowaliśmy dzieci w kołyskach?"; narzekał, że skala medialnych ataków przekroczyła wszelkie proporcje. Krytycy mogą odczytać tę rozmowę jako próbę obrony reputacji Oxfamu. Ale rację mogą mieć też ci, którzy podnoszą alarm, że odbieranie dotacji publicznych najbardziej szkodzi tym, do których pomoc humanitarna jest kierowana. Ponadto, po każdej takiej decyzji politycznej z wpłat wycofują się darczyńcy prywatni – a zaangażowanie wolontariuszy jest często warunkiem istnienia takich instytucji. Działalności humanitarnej (na Zachodzie przedstawianej czasem w mediach jako np. wynagradzanie krzywd z czasów kolonialnych) od zawsze towarzyszy szczególnie mocny wymóg nieposzlakowanej opinii – niedobrze jednak, gdy przesłania on zdrowy rozsądek. Piętnować trzeba każde zło, czy jednak czyny kilku osób rzeczywiście powinny prowadzić do zamykania całych projektów pomocowych? To zasadne pytanie – tym bardziej że po skandalu w 2011 r. Oxfam, o czym media wspominają już rzadziej, rozstał się z jego bohaterami (w tym szefem misji na Haiti) i uruchomił procedury powiadamiania o nieprawidłowościach (obecne zarzuty dotyczą tego, że organizacja nie powiadomiła opinii publicznej o powodach tych zwolnień). ©℗ MARCIN ŻYŁA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCIN ŻYŁA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w czwartek 22 lutego o godz. 15.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – **www.tokfm.pl**

NEIL ALDRIDGE

ZANIM ODZYSKA WOLNOŚĆ w rezerwacie w Botswanie, trzeba go przywieźć z sąsiedniego kraju – z zawiązanymi oczami, pod wpływem środków uspokajających. Ten nosorożec biały to niedoszła ofiara kłusowników, którzy w RPA codziennie zabijają średnio trzech przedstawicieli tego gatunku. Zdjęcie Neila Aldridge'a nominowano do finału konkursu World Press Photo. Zwycięzców poznamy w kwietniu. ©℗ ŻYM

RPA: upadek Jacoba Zumy

WOJCIECH JAGIELSKI

Historia się powtarza: Afrykański Kongres Narodowy (ANC) – partia rządząca od prawie ćwierć wieku w Republice Południowej Afryki, najbogatszym państwie kontynentu – właśnie odsunął od władzy kolejnego swojego prezydenta.

Powołując się na dawne zasługi w walce z apartheidem, od 1994 r. – od pierwszej wolnej elekcji, w której głos czarnych liczył się tak samo jak białych – ANC wygrywa każde wybory, zdobywając blisko dwie trzecie głosów. Mimo to od 1994 r. żaden z prezydentów nie dotrwał do końca przysługujących mu dwóch pięcioletnich kadencji. I tak: Nelson Mandela (1994-99) z drugiej pięciolatki zrezygnował sam, powołując się na wiek (przekroczył 80 lat). Jego następca Thabo Mbeki (1999–2008) przed upływem drugiej kadencji został odsunięty przez własną partię, a pałacowym rokoszem kierował wówczas Jacob Zuma. Mbekiemu zarzucano ślepą wiarę w wolnorynkowy kapitalizm, wyniosłość, nadmierną dbałość o dobro elit i pogardę dla „ulicy". Zuma, człowiek z ludu, miał odzyskać dla ANC zaufanie czarnej biedoty. Ale zamiast odkurzyć dawne ideały, do reszty je skompromitował – i w minionym tygodniu został zmuszony do dymisji przez własną partię, przed końcem kadencji. Choć korupcja i kumoterstwo pojawiły się w RPA, zanim w 2009 r. Zuma został prezydentem, to za jego panowania przerodziły się w prawdziwe plagi i zagroziły państwu, że zostanie zawłaszczone przez podejrzanych biznesmenów, którzy wcześniej omotali Zumę pajęczyną długów wdzięczności i niespłaconych pożyczek z przeszłości.

Z romantycznego ruchu wyzwoleńczego ANC już dawno przepoczwarzył się w zwyczajną partię władzy, kierującą się nie ideałami, lecz interesem. Partyjni towarzysze odsunęli Zumę nie dlatego, że okazał się złym władcą, ale dlatego, że stanowił dla nich coraz większe i coraz bardziej kłopotliwe obciążenie, zagrażając dalszym rządom ANC. Uznali, że do zapowiedzianych na wiosnę 2019 r. kolejnych wyborów lepiej pójść z czystym kontem i pod odkurzonymi sztandarami z Mandelą, a Zumę wystawią już teraz wyborcom jako kozła ofiarnego, rzekomo jedynego winnego złodziejstwu i pysze, które rozpanoszyły się pod rządami ANC.

Julius Malema, który 10 lat temu jako lider Kongresowej „młodzieżówki" walczył jak lew o prezydenturę dla Jacoba Zumy, dziś jako przywódca opozycyjnych Bojowników o Wolność Gospodarczą chce posłać byłego już prezydenta za kraty. Jego następcy, nowemu prezydentowi Cyrilowi Ramaphosie (awansował on automatycznie, jako dotychczasowy wiceprezydent), obiecuje kredyt zaufania. Ale przestrzega, że wymiana przywódców może okazać się tylko zmianą dekoracji. „Bo Zuma to system" – powiada Malema. ©℗

W SKRÓCIE

ABORCJA NIE JEST OK. „Przedstawianie aborcji w kolorowych barwach, w stylizacji budzącej skojarzenia z reklamami produktów codziennego użytku jest czymś skandalicznym i narusza zasady etyki i moralności” – w ten sposób rzecznik Episkopatu skomentował kontrowersyjną akcję „Aborcja jest OK” propagowaną m.in. na billboardach przez redakcję „Wysokich Obcasów” – weekendowego dodatku do „Gazety Wyborczej”. Ks. Paweł Rytel-Andrianik przypomniał, że „ofiarą aborcji jest nie tylko dziecko nienarodzone, ale także jego matka i ojciec, rodzeństwo, dziadkowie i cała rodzina”.

PRYMAS O PATRIOTYZMIE. Próby podnoszenia własnego narodu do rangi absolutu są niedopuszczalne i bałwochwalcze” – przestrzegał prymas Polski podczas sesji „Ocalić patriotyzm”, zorganizowanej w Domu Arcybiskupów Warszawskich z okazji 60. rocznicy istnienia „Więzi”. Abp Wojciech Polak skrytykował m.in. „instrumentalizowanie pamięci historycznej w bieżącej rywalizacji politycznej”. Pierwszy numer miesięcznika „Więź” ukazał się w lutym 1958 r.

ANGLIKANIE I METODYŚCI WSPÓLNIE. Synod Generalny Kościoła Anglii zdecydowaną większością głosów zaakceptował dokument „Misja i służba w przymierzu”, zawierający warunki zjednoczenia z XVIII-wiecznym odłamem anglikanizmu – Kościołem metodystycznym. Główną trudnością w zjednoczeniu jest brak ordynacji duchownych przez biskupów w Kościele metodystycznym. Dokument postanawia, że początkowo ordynować duchownych metodystycznych będą biskupi anglikańscy, zaś posługa dotychczasowych księży metodystycznych zostaje tymczasowo uznana za „znośną nieprawidłowość”. Dokument musi zaakceptować jeszcze Konferencja Kościoła metodystycznego. Przeciwko porozumieniu występują zbliżone do katolicyzmu konserwatywne kręgi anglikańskie.

Czy papież zabronił prosić Boga w modlitwie?

JACEK PRUSAK SJ

Wieńcząca Liturgię Słowa modlitwa powszechna zachęca nas, abyśmy utożsamili się ze spojrzeniem Boga, który troszczy się o wszystkie swoje dzieci” – podkreślił Franciszek, zamykając katechezę poświęconą celebracji mszy. Przypomniał w niej, że „intencje (...) muszą wyrażać konkretne potrzeby wspólnoty kościelnej i świata, unikając posługiwania się formułami konwencjonalnymi i krótkowzrocznymi”. Jednak konsternację wśród niektórych katolików wywołało zdanie poświęcone treści tych próśb, bo na pierwszy rzut oka zupełnie odwrotnie rozumiemy sens modlitwy błagalnej. Papież bowiem „postawił warunek” dla wysłuchanych próśb: „żądania natury doczesnej nie idą ku Niebu, podobnie jak niewysłuchane są prośby autoreferencyjne” (por. Jk 4, 2-3).

Mówiąc to, Franciszek nie powiedział: „nie wolno się modlić o zaspokojenie potrzeb codziennej egzystencji”, bo taki imperatyw nie byłby zgodny z duchem Modlitwy Pańskiej zawartym w prośbie: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. Żeby zrozumieć Franciszka, trzeba uchwycić słowo-klucz tej wypowiedzi, czyli nastawienie do modlitwy, a w konsekwencji do Boga wyrażone w słowie „żądania”. Otóż Boga można prosić o wszystko, ale tylko to, co służy naszemu zbawieniu, będzie wysłuchane. Prośby jednak nie można pomylić ze stawianiem Bogu warunków dotyczących tego, jak, kiedy i gdzie „wywiąże się” On ze swojej „części”. Taka roszczeniowa modlitwa jest zawsze autoreferencyjna bez względu na to, czy prosimy za siebie, czy innych, i ze swej natury jest zawsze doczesna, bo nie modli się w nas wtedy Duch Święty. ©℗

Śmierć dobrego człowieka

NIKOLAY DOYCHINOV / AFP / EAST NEWS

CODZIENNIE dojeżdżał ponad 20 km z wioski Baiłowo pod sobór św. Aleksandra Newskiego w Sofii, gdzie siadał i żebrał. Wszystko, co uzbierał, oddawał cerkwiom, klasztorom i ubogim; szacuje się, że w sumie ofiarował ok. 40 tys. euro. Dobri Dobrew, czy też „Dziadzio Dobry”, jak go nazywano, był uznawany świętym za życia. Wybuch bomby podczas II wojny światowej niemal całkowicie pozbawił go słuchu. Po tym, jak owdowiał, postanowił (ok. 2000 r.) poświęcić resztę życia ascezie; żył bardzo skromnie, w pokoiku przy kościele w Baiłowie, gdzie znajdowało się tylko łóżko i stół. W toczonej korupcją Bułgarii stał się symbolem bezinteresownego dobra i uczciwości; uliczni artyści na jednym z sofijskich dziesięciopiętrowców namalowali przedstawiający go mural, w internecie zakładano mu strony i fanpejdże. Przechodnie nie tylko chętnie wrzucali pieniądze do jego plastikowego kubka, ale też prosili go o modlitwę i błogosławieństwo. Sam odmawiał przyjmowania jakiejkolwiek pomocy – zarówno ubrań, jak i mebli. Zmarł 13 lutego w wieku 103 lat. ©℗

MACIEJ MÜLLER

Opustoszały Watykan

W STRUGACH DESZCZU pakowała się kuria rzymska do dwóch autokarów, które w niedzielne popołudnie zajechały przed Dom Świętej Marty. Papież, kardynałowie, biskupi – w obstawie dwóch spowiedników i kilku żandarmów – wyjechali do Domu Rekolekcyjnego w Aricci nad jeziorem Albano, gdzie przez kolejne pięć dni będą słuchać wielkopostnych rekolekcji. Dla Franciszka, który – w przeciwieństwie do swych poprzedników – nie bierze urlopów, będzie to również okazja do krótkiego odpoczynku: bez spotkań, przemówień i uroczystych celebracji. Ostatni tydzień był bardzo pracowity: do cotygodniowych obowiązków doszło 15 audiencji prywatnych, celebracja liturgii Środy Popielcowej i ponad dwugodzinne spotkanie z klerem diecezji rzymskiej. Papież podpisał też kilka istotnych dokumentów, m.in. powołujący dziewięciu nowych członków Komisji ds. Ochrony Nieletnich. Biuro prasowe potwierdziło, że Franciszek regularnie spotyka się z ofiarami księży pedofilów – zwykle co piątek; przypomniano też jego niedawne słowa, że seksualne przestępstwa na nieletnich „pustoszą Kościół”. ©℗

EDWARD AUGUSTYN

Antoni Krauze (1940–2018)

W JEDNEJ Z OSTATNICH scen filmu „Smoleńsk" duchy ofiar katastrofy lotniczej spotykają oficerów poległych w Katyniu. Zmarły 14 lutego reżyser mówił na festiwalu w Gdyni, że szukał w ten sposób „szczęśliwego zakończenia", choć samą scenę wymyślił ktoś inny. Krauze chyba nie przypuszczał, że jego własna śmierć dopisze do tej historii kolejny rozdział.

Zawarta we wspomnianej scenie symbolika w oczywisty sposób odwoływała się do „religii smoleńskiej", na której partia rządząca budowała swój polityczny kapitał. I pośrednio nadal buduje. Żałoba po Krauzem natychmiast została wpisana w znaną narrację krzywd i prześladowań, odsyłając zmarłego reżysera do szeregu „zdradzonych o świcie". Bo projekt nie otrzymał dofinansowania z PISF i produkcja okazała się drogą przez mękę. Bo pracujący przy nim twórcy i aktorzy zostali napiętnowani przez własne środowisko. Bo gotowy „Smoleńsk" spotkał się z fatalnym przyjęciem.

Krauze miał świadomość, że nakręcił ostatni film w swym dorobku, choć warto przy tym pamiętać, że nie był on autorem jednego tytułu. W potocznej świadomości funkcjonuje jako reżyser nieudanego artystycznie „Smoleńska", podczas gdy ma na koncie nagradzany w kraju i za granicą „Palec Boży", „Prognozę pogody" czy „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł", nie licząc filmów dokumentalnych. Zasłużył na to, by zapamiętać go jako jednego z lepszych filmowców polskich swojego pokolenia, a nie tylko jako twórcę reżymowego czy męczennika, który stracił życie szukając prawdy o Smoleńsku – jak próbuje się go formatować w imię propagandowych celów. ©

ANITA PIOTROWSKA

WOJCIECH SURDZIEL / AGENCJA GAZETA

ANDREJ CHUDÝ / CC BY-SA 2.0

Drop maminsynek

DROPIE WIELKIE lepiej karmią synów niż córki, ale nie dlatego, że ich bardziej kochają – donoszą Juan Alonso i współpracownicy na łamach „Animal Behaviour". Choć te duże ptaki to zagniazdowniki (ich pisklęta szybko zaczynają samodzielnie żerować), to jednak długo są dokarmiane przez matki. Gdy w lęgu trafią się dwa pisklęta różnej płci, matki znacznie więcej zasobów przeznaczają dla synów. Dlaczego? Hiszpańscy badacze wykazali, że u samic nie ma preferencji wobec synów, ale ci szybciej się rozwijają, dominują nad siostrami i więcej czasu spędzają w towarzystwie matek, naprzykrzając się o posiłek. Gdy wykluwa się tylko jedno pisklę, niezależnie od płci może liczyć na taki sam poziom rodzicielskiej „inwestycji". ©℗ ŁK

Igrzyska dla cierpliwych

BARTEK DOBROCH

„Cierpliwość jest bardzo ważna" – powiedział trener polskich skoczków Stefan Horngacher, pytany o Stefana Hulę, który dopiero po trzydziestce doświadczył eksplozji talentu, na skoczni normalnej przegrywając medal jedynie z wiatrem.

To także hasło podsumowujące pierwszy tydzień zmagań Polaków w Pjongczangu. Już zapomnieliśmy, że w 2006 r. w Turynie na pierwszy medal, brąz Justyny Kowalczyk, czekaliśmy dwa tygodnie. Tym razem ósmego dnia igrzysk złoty medal w skokach narciarskich wywalczył Kamil Stoch, a dwa dni później brąz dołożyła cała drużyna. Medali poza skocznią raczej w Korei nie doczekamy.

Te igrzyska wymagają cierpliwości. Ich pierwszy tydzień torpedowała pogoda, wiatr zmuszał do przekładania zawodów narciarskich i biathlonowych. Cierpliwości brakło nawet mediom. Amerykanie przerwali już transmisję supergiganta kobiet, prowadząca Anna Veith udzielała wywiadu jako obrończyni tytułu mistrzyni olimpijskiej w tej konkurencji, gdy z numerem 26. ruszyła na trasę Czeszka Ester Ledecká – mistrzyni świata, ale w snowboardzie.

Na mecie zastygła w zdumieniu, podejrzewając awarię zegara, który wskazał jedną setną sekundy przewagi nad Austriaczką.

Złoto Ledeckiej jest największą sensacją w Pjongczangu, gdzie powalczy ona jeszcze o medal na snowboardzie. Wcześniej trenerzy przekonywali ją, że nie da się tych dwóch dyscyplin pogodzić. Czeszka cierpliwie trenowała obie. ©℗

TEMAT TYGODNIKA

STRASZ I RZĄDŹ

Oto mechanizm, którego ofiarami stało się kilka milionów Polaków. Znany od dawna, przećwiczony na nowo, znów udowodnił politykom swoją użyteczność.

TEKST **MARCIN ŻYŁA**
ILUSTRACJA **JOANNA RUSINEK**

Przed nimi nie podjął się tego nikt. Znaleźć wszystkie wypowiedzi najważniejszych polityków o uchodźcach; wybrać te, w których straszą, i uporządkować tematami; nanieść na oś czasu z istotnymi wydarzeniami – oraz na sondaże na temat stosunku Polaków do uchodźców.

Sprawdzili w ten sposób: Szydło, Dudę, Błaszczaka, Waszczykowskiego, Gowina, Ziobrę, Kaczyńskiego, Kopacz, Schetynę, Tuska, Petru, Kukiza i Trzaskowskiego. Dzień po dniu, od 1 maja 2015 r. – początku tzw. kryzysu uchodźczego.

Wszystko zamknęło się w 28 tys. komórek programu Excel – i jednej regule, której istnienia są pewni. – To matematyczna, precyzyjna historia – słyszę, gdy spotykamy się w Warszawie, w mieszkaniu jednego z nich.

Rusza projektor.

Zmiana

Stosunek Polaków do uchodźców to najlepiej przebadane zjawisko społeczne ostatnich lat. CBOS opublikował już 19 wyników sondaży, w których ankieterzy zadają dwa pytania. Pierwsze zwięzłe: „Czy Polska powinna przyjmować uchodźców z krajów objętych konfliktami zbrojnymi?". Drugie rozbudowane: „Do Europy przybywa wielu uchodźców z państw Bliskiego Wschodu i Afryki. Przybywają do niektórych państw UE, które nie są w stanie poradzić sobie z taką liczbą uchodźców. Czy Polska powinna przyjąć część uchodźców przybywających do Europy?".

Wyniki obu pytań wskazują na to samo: od dwóch i pół roku spada liczba zwolenników przyjęcia uchodźców; rośnie odsetek odpowiedzi negatywnych. W maju 2015 r. ich przyjęcia nie chciało 21 proc. pytanych. Obecnie (ostatni sondaż, z października) – dokładnie trzy razy więcej. W ciągu półtora roku postawę zmieniło od 8 do 11 mln Polaków. Coś takiego nie udało się żadnej kampanii marketingowej, dysponującej olbrzymim budżetem.

Jak to możliwe?

Obraz

Hanna Frejlak, Paweł Cywiński, Filip Katner i Jarosław Ziółkowski – autorzy analizy – śledzą temat od dawna. Są współtwórcami portalu Uchodźcy.info, który weryfikuje informacje o migracji. Ale *fact-checking*, choć użyteczny, ma wadę – trafia głównie do już przekonanych.

– Postanowiliśmy przyjrzeć się dyskusji o uchodźcach z szerszej perspektywy – opowiada Cywiński. – Założyliśmy, że jeśli niechętni im politycy wypowiadają się ↦

↦ na ten temat, podkreślając zazwyczaj kwestie bezpieczeństwa, to największe nasilenie krytycznych cytatów – i zmiany w sondażach – nastąpią po głośnych zamachach. Okazało się, że jest inaczej.

Zacznijmy od początku. Jest kwiecień 2015 r. Na Morzu Śródziemnym, w odstępie kilku dni, tonie ok. 800 uchodźców. Wkrótce zaczyna się ruch na szlaku migracyjnym przez południowo-wschodnią Europę, z Turcji do Niemiec.

W pierwszym sondażu CBOS Polacy współczują uchodźcom. Z analizy cytatów wynika, że główne partie (rządzi jeszcze PO, ale w maju wybory prezydenckie wygrywa już Andrzej Duda, kandydat PiS) nie mają jeszcze wyrobionego zdania. Niechęć do uchodźców rośnie (gwałtownie: z 21 do 38 proc.) dopiero latem.

Cywiński: – Wtedy w mediach pojawiają się obrazy tłumów podróżujących przez Bałkany. Niemcy zawieszają porozumienie dublińskie i prasa zaczyna grzmieć: „Merkel wpuszcza uchodźców". „Super Express", „W Sieci" i „Do Rzeczy" publikują pierwsze antyuchodźcze okładki.

Temat staje się polityczny. We wrześniu UE ogłasza mechanizm tzw. relokacji. Premier Ewa Kopacz zgadza się, aby Polska przyjęła ok. 6 tys. uciekinierów. PiS obiera postawę antyuchodźczą – w październiku, dwa tygodnie po tym, jak Jarosław Kaczyński ogłasza, że uchodźcy przenoszą zarazki, partia wygrywa wybory parlamentarne i przejmuje władzę.

Technika

Termin „kultura strachu" ukuto w USA. Kiedy już kilka dni po zamachach z 11 września 2001 r. prezydent George W. Bush wskazywał winnych, socjologowie zaczęli się przyglądać, jak politycy, nie zawsze znając przyczyny zagrożenia, kreują lub podtrzymują je sztucznie, wygrywając wizerunkowo sytuacje, w których powinni byli stracić. Zygmunt Bauman nazwał takich ludzi „handlarzami strachu".

– To socjotechnika polegająca na kreowaniu lęku – tłumaczy Ziółkowski. – W Stanach miał on realną przyczynę, lecz jego treść (sformułowania „oś zła", „wojna z terrorem") budowała poczucie zagrożenia wobec czegoś, co jest dość abstrakcyjne i oddalone, lecz co równocześnie w mediach było stale kreowane jako realne. Mechanizm jest prosty: nastrasz, a potem powiedz, że tylko ty masz rozwiązanie. To samo dzieje się dziś w Polsce. Ten mechanizm to po prostu zarządzanie strachem.

Katner: – Zarządzanie strachem odbywa się wedle klasycznych reguł propagandy. Zasada pierwsza: przekaz ma być jednoznaczny. Zasada druga: trzeba się podpinać pod wartości, bo tych nie da się zmienić, ale sterować należy emocjami. We wszystkich sondażach Polacy stawiają najwyżej trzy wartości: zdrowie, bezpieczeństwo i rodzinę. Analizując wypowiedzi polityków, możemy zobaczyć, jak wciąż do nich nawiązują.

Cisza (1)

Jest 13 listopada 2015 r. W Paryżu i Saint-Denis dochodzi do zamachów, w których ginie 130 osób. To kolejne w tym roku, po ataku na redakcję „Charlie Hebdo", ataki w stolicy Francji. Ich autorem ogłasza się tzw. Państwo Islamskie (IS). Prezydent François Hollande mówi o „akcie wojny". Pod względem liczby ofiar to największe zamachy dżihadystyczne w Europie.

I tu zaskoczenie pierwsze: w Polsce politycy wiele o tym nie mówią. Milczy prezydent Duda, przyszli ministrowie Ziobro, Gowin i Błaszczak, milczy Kaczyński. Premier Beata Szydło wiele tygodni po Paryżu będzie zapewniać, że nasz kraj wywiąże się z unijnych zobowiązań w kwestii uchodźców. „W Polsce jest kontynuacja władzy. Jesteśmy rządem przewidywalnym i racjonalnym" – powie 7 stycznia 2016 r.

Skąd taka cisza wśród ludzi tak skorych do łączenia terroryzmu z uchodźcami i migrantami? Autorzy analizy proponują wyjaśnienie: PiS dopiero przejmuje władzę (zaprzysiężenie nowego rządu odbywa się trzy dni po zamachach) i nie ma jeszcze wypracowanej strategii. Choć politycy tej partii używają przy tym określeń „zmuszono nas" i „z bólem serca" – podtrzymują zobowiązanie relokacji.

Gra

Bruksela, 22 marca 2016 r. W zamachach na lotnisku i stacji metra ginie 35 osób. Do ataku przyznaje się IS. Trzech terrorystów

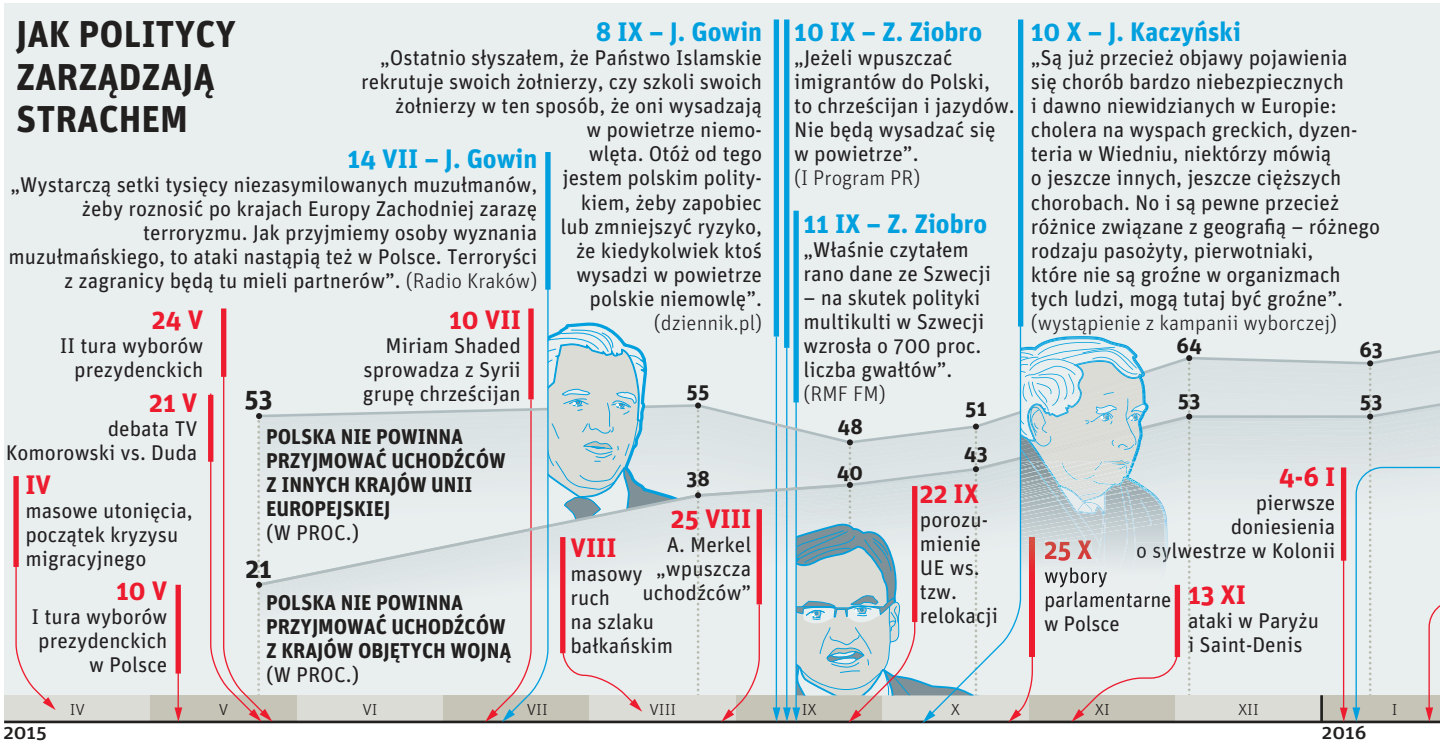

INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK. DANE NA PODST. SONDAŻY CBOS Z LAT 2015–17. OPRAC. H. FREJLAK, P. CYWIŃSKI, F. KATNER, J. ZIÓŁKOWSKI, M. ŻYŁA

ginie na miejscu, lecz poszukiwania dwójki pozostałych trwają długo – zostają zatrzymani dopiero 8 kwietnia.

Ale już dwa dni po atakach, 24 marca, premier Szydło sprawia wrażenie, jakby wiedziała, kto jest winny. „To, co wydarzyło się w Brukseli, to akt barbarzyństwa, akt terroru. Bezpieczeństwo Polaków jest najważniejsze, dlatego nie widzę możliwości, aby przyjmować teraz do naszego kraju imigrantów" – mówi w rozmowie z Superstacją. Właśnie wtedy Polska wycofuje się z unijnego mechanizmu relokacji.

Katner: – To drugi moment kluczowy. Inaczej niż po Paryżu, władze decydują się „zagrać" uchodźcami. Sprawcy są jeszcze nieznalezieni, lecz oni proponują już interpretację zdarzeń – i rozwiązanie. Europa opłakuje ofiary zamachu, a Polska mówi: „nie przyjmiemy".

Drugi raz niechęć do uchodźców wzrasta drastycznie – do 61 proc. (trzy tygodnie wcześniej wynosiła 54 proc.).

Temat

Na kolejnym arkuszu Excela Cywiński, Katner i Ziółkowski pokazują wypowiedzi uporządkowane według tematów. Jest ich kilkanaście, np. bezpieczeństwo, suwerenność, upadek cywilizacji i metafora samobójstwa Europy, zderzenie cywilizacji, reinterpretacja papieża, motyw „samych mężczyzn".

Ziółkowski: – Sprawdziliśmy, kiedy wykorzystywano określone motywy. Np. hasło „pomagajmy Polakom na Wschodzie" w pewnym momencie przestało być używane. Stale obecny jest motyw bezpieczeństwa. Od pewnego czasu także – „pomagania na miejscu".

– To sprytny zabieg, ponieważ sugeruje fałszywą alternatywę: albo pomagamy na miejscu, albo tutaj – dopowiada Cywiński. – Politycy mówią o tym w kontekście programów humanitarnych w Syrii, choć pomoc tam jest w dużej mierze rozwojowa, obliczona na wiele lat.

– Co ciekawe, motyw „pomagania na miejscu" jest przejęty z dyskursu amerykańskiej prawicy – kontynuuje Ziółkowski. – „Jeśli twoje okno wychodzi na park, w którym mieszka stu bezdomnych – brzmi jej sztandarowy przykład – to czy zaprosisz 10 z nich do siebie i nakarmisz porządnym obiadem, czy zamówisz pizzę każdemu? Uczciwiej jest przecież pomagać wszystkim". Co jest tej amerykańskiej narracji propozycją? Budowa szkół!

Premier Szydło tak skomentowała apel o pomoc papieża Franciszka ze Światowych Dni Młodzieży: „Będziemy zwiększać pomoc humanitarną dla Bliskiego Wschodu, dla krajów północnej Afryki. (...) Zresztą już to realizujemy nie tylko poprzez transporty humanitarne, ale razem z Niemcami budujemy szkoły".

Politycy „specjalizują się" w określonych tematach. Jarosław Gowin częściej gra kartą islamofobii. Rozpoczął ją słynną wypowiedzią o tym, że bojownicy IS wysadzają w powietrze niemowlęta: „Od tego jestem polskim politykiem, żeby zapobiec lub zmniejszyć ryzyko, że kiedykolwiek ktoś wysadzi w powietrze polskie niemowlę" (wrzesień 2015 r.). Zbigniew Ziobro to „ekspert" od pomagania na miejscu; u Pawła Kukiza często pojawiają się wątki seksualne. Mariusz Błaszczak – to cała filharmonia motywów.

Cisza (2)

Zaskoczenie trzecie to Berlin, 19 grudnia 2016 r. 12 osób ginie, gdy uprowadzona przez terrorystę ciężarówka wjeżdża w tłum na jarmarku bożonarodzeniowym. Jedną z ofiar jest polski kierowca, o którym początkowo mówi się, że próbował walczyć z napastnikiem. Zamach wydarza się 60 km od naszej granicy.

Ale w wypowiedziach polskich polityków – cisza.

– Nie było wtedy żadnego tematu politycznego. Nie trzeba było wycofywać się z relokacji ani wygrywać wyborów – tłumaczy Ziółkowski. – Rutynowo wyszedł minister Błaszczak i powiedział swoje, ale wokół tego zamachu nie zbudowano żadnej specyficznej opowieści. A przecież moment był idealny, mogliby mówić: „nasz bohater, Polak", „są już blisko granic".

Cel

Wracamy do tabelek. Dopiero wiosną 2017 r. następuje wysyp antyuchodźczych wypowiedzi – tuż po tym, gdy Komisja ↦

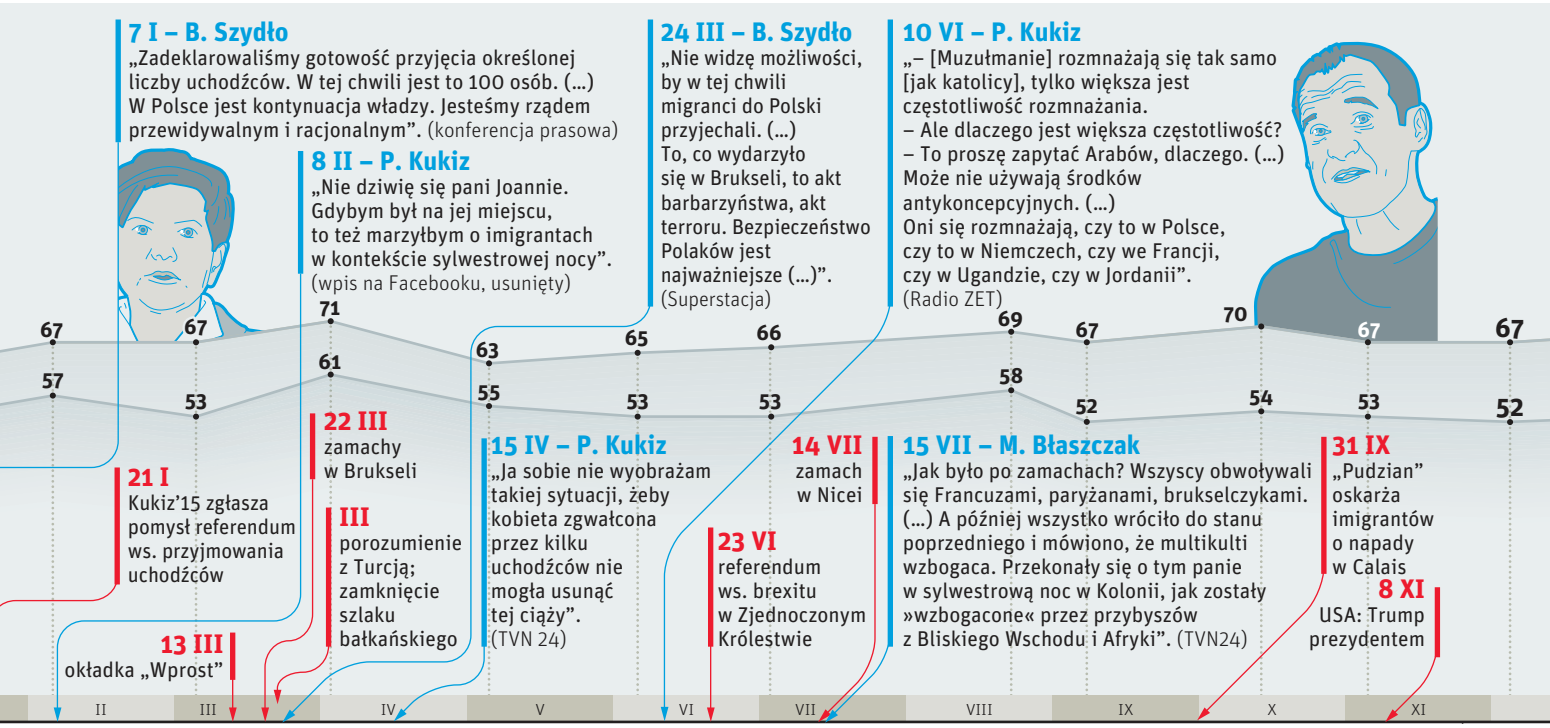

↦ Europejska ogłasza, że daje Polsce miesiąc na wywiązanie się z relokacji.

– Ten miesiąc to *stricte* polityczna opowieść o tym, jacy źli są uchodźcy. W cytatach odnajdujemy pełną gamę tematów, wykorzystywanych po to, aby tłumaczyć Polakom, że nie przyjmiemy tych uchodźców, a tak naprawdę: jaka to zła jest Unia – mówi Cywiński. I dodaje: – W 2016 r. doszło w Europie do najmniejszej liczby zamachów od ponad dekady. W atakach dżihadystycznych zginęło 135 osób, ale w porównaniu z 2015 r. liczba tych ataków spadła do 13, czyli ok. jednej dziesiątej wszystkich zamachów. A mimo to, kiedy na agendzie był temat antyunijny, politycy PiS-u zaczęli nagle mówić o „islamskim terroryzmie".

Minister Błaszczak opowiada w tym czasie: o powstrzymanej przez Straż Graniczną próbie otworzenia nowego korytarza migracyjnego na granicy z Białorusią (13 kwietnia); o „mocodawcach" Donalda Tuska, czyli „władzach państw sąsiednich" (11 maja); o tym, że zmuszając ją do przyjęcia uchodźców Zachód usiłuje przerzucić na Polskę spłatę rachunków za własną przeszłość kolonialną (17 maja).

20 maja Błaszczak i Kaczyński zaczynają, równocześnie, powtarzać tę samą historię: oto Finlandia, która kiedyś przyjęła stu Somalijczyków, ma ich dziś 18 tys. To efekt – tak twierdzi minister – sprowadzania przez nich krewnych. Niezależna.pl cytuje lidera PiS-u: „Przelicznik jest 1 do 180. My mielibyśmy przyjąć 7 tys. Proszę sobie to teraz przemnożyć razy 180 i wychodzi ponad 1,2 mln". Za nimi przykład powtarzają inni politycy, często myląc kraje i liczby.

– To *fake news*, po raz pierwszy wpuszczony w obieg informacyjny w Szwecji przed siedmioma laty, w oparciu o błędną analizę danych policyjnych z końca lat 80. XX w. – wyjaśnia Cywiński. – Na kilka lat zniknął i nagle pyk: wrócił w Polsce.

Ataki na „elity brukselskie" trwają tygodniami: „Gdyby uważnie czytali Pismo Święte, to wiedzieliby, że miłosierny Samarytanin nie przyjął potrzebującego do domu, tylko zorganizował mu pomoc na miejscu" – mówi na kongresie PiS-u Ziobro (1 lipca). Wtóruje Kaczyński: „Nie macie moralnego prawa grozić nam odebraniem środków unijnych, które się nam należą, jeżeli nie przyjmiemy uchodźców".

Niechęć do nich osiąga w Polsce historyczne wyżyny: w październiku 2017 r. 63 proc. pytanych przez CBOS deklaruje, że powinniśmy zamknąć granice.

Następni

Cywiński: – Wniosek pierwszy jest następujący: temat uchodźczy nie dotyczył w Polsce uchodźców. Był *stricte* polityczny. Uruchamiano go, gdy trzeba było pokazać, że Unia albo opozycja są złe.

Wniosek drugi: mechanizm zarządzania strachem, przećwiczony przez ostatnie lata, jest gotowy do użycia na innych grupach. – Było to również widać przy okazji kampanii „Sprawiedliwe sądy" i słynnych czarno-białych billboardów. Na czarno komunikat o tym, jak zła jest „kasta sędziowska", na biało remedium: apel o poparcie reformy sądownictwa – mówi Katner.

Antyuchodźcze paliwo powoli się wyczerpuje. Cel osiągnięto: PiS ma w sondażach trzykrotną przewagę nad drugą w kolejności PO (styczniowy sondaż CBOS), zaś co czwarty młody Polak uważa, że muzułmanie zagrażają naszej kulturze (badania z lutego 2017 r.). Cywiński, Katner i Ziółkowski typują kolejne cele mechanizmu zarządzania strachem: Ukraińców, Żydów, UE... Polska – mówią – niedługo stanie się płatnikiem netto; będzie można grać takimi kartami jak przed referendum w Wielkiej Brytanii. Tym bardziej że przy uchodźcach motyw osłabiania sympatii Polaków do Unii już się zaznaczył.

Polexit? Kiedyś, za kilka lat... Co właściwie stanie na przeszkodzie?

Wniosek ostatni nie dotyczy rządzących.

Cywiński: – Gdyby w parlamencie była opozycja, której politycy przeciwstawiliby się zarządzaniu strachem – mówili, że uchodźcom trzeba pomagać, że politycy PiS-u manipulują faktami – mielibyśmy chociaż polaryzację poglądów. A nie, jak teraz, monopol jednej opowieści.

Spis cytatów z polityków opozycji, które spełniają kryteria zarządzania strachem, liczy 59 stron. Końcowy raport z całej analizy zostanie opublikowany na przełomie wiosny i lata. ©℗

MARCIN ŻYŁA

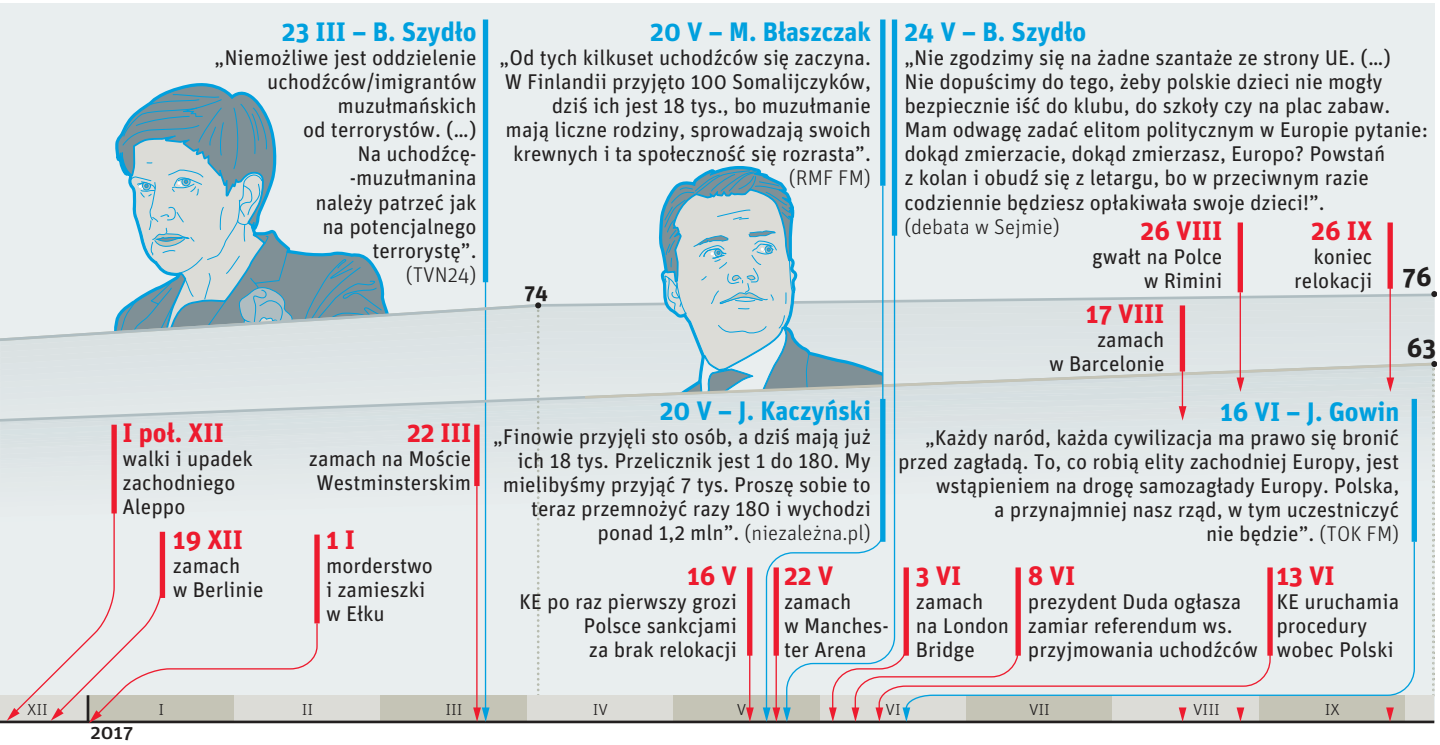

Efekt zbitej szyby

MIKOŁAJ WINIEWSKI,
PSYCHOLOG SPOŁECZNY:

Zarządzanie strachem to psucie społeczeństwa. Jest nieodpowiedzialne. Złe emocje dużo prościej wywołać, niż okiełznać.

MARCIN ŻYŁA: Zaskoczyły Pana wyniki tej analizy?

MIKOŁAJ WINIEWSKI: Spodziewałem się, że politycy będą przy każdej okazji wykorzystywać zamachy terrorystyczne do wzmacniania narracji przeciw uchodźcom i muzułmanom. To jednak nie było regułą.

Załóżmy na moment, że politycy rzeczywiście wierzą, iż uchodźcy są zagrożeniem, i że w związku z tym chcą wprowadzić antyuchodźcze przepisy. Po zamachu w Berlinie powinniśmy słyszeć: „Są już tak blisko, trzeba coś z tym zrobić!". Niczego takiego nie słyszeliśmy, widać więc, że taka narracja intensyfikuje się wtedy, gdy jest politycznie użyteczna. Wysyp antyuchodźczych wypowiedzi następuje wiosną 2017 r., choć nie ma ku temu zewnętrznej przyczyny. Wygląda na to, że okazja jest inna – spór z Komisją Europejską o relokację. To najbardziej prawdopodobna interpretacja tej analizy: granie na obawie społecznej – rozbudzanie jej i tonowanie w odpowiednich momentach – zależy od celów politycznych.

To wiarygodne obserwacje?

Wybrano kluczowych polityków, ich wypowiedzi monitorowano dzień po dniu, w tych samych źródłach. Rzetelne są wyniki sondaży i konkretne wydarzenia. Widać, kiedy liczba wypowiedzi wzrasta, a kiedy maleje. Rzut oka wystarcza, aby stwierdzić korelację.

Czy rzeczywiście możemy mówić o „zarządzaniu strachem"?

To trafny termin. Oddaje mechanizm, stosowany intuicyjnie, czy może nawet świadomie, przez polityków na całym świecie. Ale jest też trafny z perspektywy psychologii społecznej.

Istnieje kilka koncepcji psychologicznych, opisujących mechanizmy związane z postrzeganiem zagrożenia ze strony innych grup i związane z nimi emocje międzygrupowe. Np. jako Polak żywię pewne emocje w stosunku do Niemców jako ogółu. Są one bardziej abstrakcyjne niż te na poziomie indywidualnych interakcji, ale tak samo jak one mają silne przełożenie na intencje behawioralne. Czyli np. na to, co chciałbym zrobić lub co myślę, że zrobiłbym w relacji z osobą z innej grupy.

Badania osadzone w tzw. zintegrowanej teorii zagrożeń pokazują, jak postrzeganie zagrożenia ze strony jakiejś grupy przekłada się na działanie względem jej członków poprzez emocje, przede wszystkim strach i gniew. Obie te emocje wpływają na intencje zachowań agresywnych i niezwykle mobilizują do działania.

Widać je w Polsce?

Wystarczy spojrzeć na sondaże. Strach powoduje chęć ucieczki, sprawia, że szukamy bezpieczeństwa i zwracamy się w stronę naszej grupy, a także ku ludziom ów strach rozbudzającym, lecz jednocześnie obiecującym, że obronią nas przed zagrożeniem. Podobnie jest z gniewem, który prowadzi głównie do działań agresywnych. Część narracji o uchodźcach i muzułmanach – którzy jakoby chcą nas wykorzystać i przywieźć tu obcą, nieznaną nam kulturę – jest oparta właśnie na gniewie.

W maju 2017 r. ankieterzy Kantar Public zapytali Polaków o zjawiska, które budzą najsilniejsze obawy. Najwięcej wskazało na zamachy terrorystyczne (38 proc.) i uchodźców (37 proc.). Zagrożenia dużo bardziej realne – zubożenie na starość czy utratę pracy – wybrało tylko 27 i 22 proc. ankietowanych.

Gniew i strach są wywoływane przez postrzegane, a nie rzeczywiste zagrożenie. A zagrożenia można podzielić na realistyczne i symboliczne. Te pierwsze dotyczą dobrostanu naszej grupy. Stąd obawy typu „przyjadą tu dla socjalu", „zabiorą nam pracę" związane są głównie ze strachem. Zagrożenia symboliczne z kolei mówią o tym, że uważamy inną grupę za zagrażającą naszym wartościom: „przyjdą i wprowadzą tu swoją religię, ich religia, wartości będą w kontrze do naszych, i przez to ucierpią nasze wartości". One wywołują gniew.

Nawet gdyby była prawdziwa – to wciąż odległa perspektywa.

Nie do końca. Już w latach 60. XX w. socjologowie w USA wykazywali, że widmo rosnącej mniejszości zagraża grupie większościowej. Badania pokazywały, że już niewielka zmiana struktury populacji w rejonach, w których przybywało kilka procent czarnoskórych mieszkańców, powodowała silny wzrost poczucia zagrożenia u białych. A jej wynikiem było np. poparcie dla opresyjnej polityki względem mniejszości, czy wręcz bezpośrednia agresja.

W Polsce, gdzie cudzoziemcy są niewielką mniejszością, wzrost poczucia zagrożenia i strachu już ma wpływ na rzeczywistość – statystyki prokuratury pokazują, że znacząco wzrasta liczba przypadków przemocy wobec muzułmanów.

Ale jeśli funkcją strachu i gniewu jest scalanie własnej grupy, to na zewnątrz powinien być jakiś przeciwnik – rzeczywiste zagrożenie.

Poprzez stworzenie poczucia zagrożenia wywoływany jest mniej lub bardziej wyobrażony konflikt. Z badań nad tożsamością społeczną wynika, że gdy nasza grupa jest w konflikcie z grupą obcą, narastają w niej procesy nastawione na wzmocnienie i przetrwanie własnej tożsamości grupowej, np. homogenizacja, unifikacja. Wydajemy się sobie nawzajem bardziej podobni niż wtedy, gdy nie jesteśmy w konflikcie z inną grupą. Odstępstwo od wartości staje się bardziej zauważalne, dostrzegane jako coś niedobrego, wręcz zdrada. Antagonizowanie, rozgrywanie przeciw sobie różnych grup to nic innego jak stara maksyma „dziel i rządź".

Czyli zarządzanie strachem w Polsce nie jest niczym wyjątkowym?

Nie. Jednak zbieg pewnych okoliczności sprawia, że jest tutaj wyjątkowo nasilone.

Polska jest krajem homogenicznym. Mniejszości narodowe są tu znikome, mamy z nimi niewiele kontaktów. A wypowiedzi polityków zawierają często informacje nieweryfikowalne – przykładem może być *fake news* o dzielnicach muzułmańskich w Szwecji, w których obowiązuje prawo szariatu, gdzie nawet policja rzekomo nie miałaby wstępu. Nie jesteśmy go w stanie szybko zweryfikować.

W 2016 r. „Dziennik. Gazeta Prawna" wydrukował rozmowę Magdaleny Rigamonti z Polką mieszkającą w niewielkim miasteczku, która opowiadała niestworzone historie o uchodźcach, włącznie z tym, że mieli zjeść wszystkie ryby z miejskiego stawu [w „TP" nr 48/2016 ukazał się reportaż Ewy Wanat, który podważył opowieść bohaterki wywiadu; czytaj na ↦

↦ powszech.net/niemiecki-raj – red.]. Oczywiście, rozmówczyni miała zapewne własne przeżycia, był tam osobisty kontekst, którego nie znamy – ale sama historia była zmyślona. Jednak wiele osób ją przeczytało, przekazywało dalej te informacje.

Jaki wpływ na naszą przyszłość może mieć zarządzanie strachem?

Niechęć rozbudzana względem jednej grupy „rozlewa się" na inne. Opisuje to koncepcja Andreasa Zicka – syndrom międzygrupowej wrogości – która zakłada, że u podłoża uprzedzeń wobec różnych grup społecznych leżą głębsze wspólne mechanizmy. Potwierdzają to nasze niedawne badania nad mową nienawiści, prowadzone przez Centrum Badań nad Uprzedzeniami wraz z Fundacją Batorego. Dwa duże ogólnopolskie sondaże pokazują np., że wzrostowi niechęci wobec muzułmanów w latach 2014-16 towarzyszy wzrost niechęci wobec Żydów.

To nie wszystko: pomiędzy 2014 a 2016 r. nasi respondenci, którzy słyszeli więcej mowy nienawiści wobec różnych grup, zaczęli ją bardziej akceptować. Nienawistne komentarze, które im pokazywaliśmy, uznawali za mniej obraźliwe. Byli bardziej skorzy, aby uznawać je za dopuszczalne. Te same osoby zaczęły bardziej akceptować łamanie innych norm, np. dewastację mienia. Mowa nienawiści, której najbardziej przybyło, dotyczy muzułmanów – można więc powiedzieć, że antyuchodźcza panika „rozlała się" również na inne normy.

W kryminologii znany jest tzw. efekt zbitej szyby: jeśli w okolicy znajduje się budynek z rozbitymi oknami, przechodnie śmiecą przy nim częściej niż przy innych domach. Akceptacja łamania jednej normy społecznej prowadzi do łatwiejszego naruszania innych. Z tej perspektywy można stwierdzić, że zarządzanie strachem to psucie społeczeństwa. Jest nieodpowiedzialne: takie emocje dużo prościej wywołać, niż okiełznywać.

I jeszcze jedno: zarządzanie strachem rozwiązuje problemy samych polityków – np. wygranie wyborów. Oczekiwałbym jednak, że politycy będą rozwiązywać nasze, wyborców, a nie swoje problemy.

Z analizy wynika, że zarządzanie strachem to mechanizm, którego nasi politycy uczyli się stopniowo. Po dwóch i pół roku jest gotowy. Czy można go wykorzystać na innych grupach?

Wyobraźmy sobie, że ktoś wpada na pomysł, żeby rozpętać burzę przeciwko Wietnamczykom lub Chińczykom, których w Polsce jest więcej niż 6 tys. – a tyle wynosiła początkowa liczba uchodźców przypadających nam w ramach relokacji. Wydaje się to możliwe. Jak w każdej mniejszości, i tam znalazłaby się jakaś patologia, o której można by mówić w mediach. Procesy, o których mówimy, dotyczą wszystkich społeczeństw i są ogólne. Myślę, że mogłoby to dotyczyć dowolnej grupy – gdyby tylko zrobiła się „atrakcyjna" dla polityków.

ZUKI STUDIO

DR MIKOŁAJ WINIEWSKI *jest psychologiem społecznym, pracownikiem Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW. Zajmuje się m.in. psychologią relacji międzygrupowych, przemocą zbiorową, wpływem historii i percepcji przeszłych wydarzeń na relacje międzygrupowe.*

Zarządzanie strachem można by zastosować na wszystkich naszych sąsiadach, zwłaszcza na tych, z którymi łączy nas trudna historia.

Czy zarządzać strachem dałoby się też np. przy pomocy Ukraińców?

Bez problemu. Kontekst społeczny – duża liczba Ukraińców w Polsce oraz nasza trudna historia – pozwoliłby „poszaleć". Przypomnijmy sobie, jak szybko zmieniamy opinie. Pamiętamy gigantyczne polskie wsparcie dla Ukraińców, kiedy walczyli o wolność na Majdanie. Oraz to, jak szybko można to było odwrócić, mówiąc np. o Banderze i Wołyniu. Zarządzanie strachem można by pewnie zastosować na wszystkich naszych sąsiadach, zwłaszcza na tych, z którymi łączy nas trudna historia.

A widzi Pan ten mechanizm w kryzysie w stosunkach z Izraelem?

Tu mielibyśmy raczej do czynienia z zarządzaniem gniewem – drugą z emocji, która powoduje szybką mobilizację. Ani Żydzi, ani Izrael nie zagrażają nam realnie; złość wynikałaby z podważania narracji o szlachetności Polaków podczas wojny, narracji, która jest efektem bezkrytycznego podejścia do historii. Są tu pewne podobieństwa: gniew, obawa o dobre imię, wizerunek i wartości. Jest też potencjał antysemityzmu, który od 2009 r. widzimy w wynikach Polskiego Sondażu Uprzedzeń, a wcześniej w badaniach Ireneusza Krzemińskiego czy Heleny Datner.

Analiza, o której rozmawiamy, pokazuje w perspektywie czasu, co może być celem takiego działania w przypadku uchodźców. W tej sytuacji może się za jakiś czas okazać, że to również była gra polityczna. Nawiązania do Marca '68 same się nasuwają, ale znów – wtedy polityczny kontekst sytuacji był przejrzysty od początku.

Jak łagodzić skutki zarządzania strachem?

Ten mechanizm jest skuteczny, ponieważ strach w prosty sposób wyłącza racjonalne myślenie. A stereotypy i uproszczona wizja świata ograniczają poznanie. Np. nie zauważamy informacji sprzecznych z naszymi oczekiwaniami, „słyszymy" tylko te, które je potwierdzają.

Trzeba pokazywać ten mechanizm – w dużej mierze dotyczy on manipulacji społecznej. Ludzie nie lubią być manipulowani, może dzięki temu będą trochę ostrożniejsi. Oraz trzeba dekonstruować fake newsy. Manipulacja nie miałaby takiej siły, gdyby nie wzmacniały jej fałszywe przekazy. ©℗

Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

O roli strachu w polityce innych państw Europy Środkowej pisze w numerze Patrycja Bukalska (dział Świat).

„TP" 4/2018

Po co nam język śląski

Anna Dziewit-Meller dopomina się o uznanie śląszczyzny za język. Wywody autorytetów, którymi się podpiera, stoją w sprzeczności z opiniami ludzi, którzy na ten temat wiele rozpraw napisali, płuca wygadali, a zatrudniają ich renomowane polskie uczelnie. I rzecz nie w tym, że owi naukowcy – zasilający m.in. Radę Języka Polskiego – są przeciwni nobilitacji mowy najpierwszej. Oni, ze mną włącznie, choć ja do naukowego autorytetu broń Boże nie aspiruję, jesteśmy za wszechstronną ochroną śląszczyzny. Jesteśmy za tym, by nie tylko przetrwała, ale by zachowała swój walor wszechstronności – różnorodność brzmień, mnogość synonimów, a nade wszystko melodię tak pięknie odróżniającą godającego rybniczanina od np. rządzącego opolanina.

I niech mi nikt nie próbuje udowadniać, że tylko język jest w stanie ochronić śląską godkę, i że tylko parlamentarzyści przez podniesienie ręki spowodują, iż śląszczyzna przetrwa. Wprost przeciwnie: to będzie jej grób. Wiedzą o tym nauczyciele, naukowcy, a przede wszystkim sami Ślązacy, którzy tę swoją różnorodność dostrzegają i są z niej dumni. Także ci, którzy od blisko trzydziestu lat stają w szranki konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku". Przewinęło się ich przez ten konkurs ponad dwa tysiące, i nikt nigdy nie wspominał o tym, co apologeci języka śląskiego nazywają kodyfikacją. A mówi się na tym, jak to sami uczestnicy określają, „Święcie Ślązaków" o różnych sprawach: o mądrości nieuczonych starzyków, o czasach zamierzchłych i współczesnych, o polityce, szkole, rodzinie, a także o tej mowie, którą się posługują. I wiele razy proszą mnie, wręcz nakazują: „Niech pani godo w radiu, co by nie zniszczyli naszyj godki, albo niech panią Pon Bócek broni, co by pani dźwigła w Senacie ręka za tym językiem".

Rozumiem, że wszystkim nam chodzi o to, by przetrwała mowa, którą posługiwaliśmy się w dzieciństwie, bądź nadal jest ona obecna we wzajemnym porozumiewaniu się. Ale lekarstwem na to nigdy nie będzie zadekretowany język. On urodę i różnorodność naszych gwar zniszczy.

MARIA PAŃCZYK-POZDZIEJ, senator RP

„TP" 7 / 2018

Pochwała słabości

Od jakiegoś czasu prześladuje mnie problem wypowiadania się z pozycji „wyżyn autorytetu". Mam przekonanie o niestosowności takiej postawy, i próbuję przyglądać się ludziom – w tym zwłaszcza sobie – pod tym kątem. Okazuje się, że problem trapi nie tylko mnie, i dlatego niezmiernie byłam poruszona, natknąwszy się na artykuł „Pochwała głupoty" Marcina Napiórkowskiego. Ucieszyłam się, bo – potwierdzając moje odczucia – tekst daje też solidne objaśnienie zjawiska i garść porad, jak uniknąć zabierania głosu na każdy temat z poczucia obowiązku „bycia mądrym", który to obyczaj zagościł w naszej kulturze. Funkcjonując w przestrzeni publicznej, pozwalamy sobie na fałsz, bycie nieautentycznym. Poza tym zajmując „pozycję autorytetu", sami zamykamy się na poznanie – bo przecież wszystko wiemy i mamy rację niepodważalną. Wyzbywamy się przez to otwartości i ciekawości. Relacja z drugim staje się niesymetryczna: z rozmowy znika partnerstwo, a dochodzi do dominacji. Kiedy dostrzegam ten niemiły zwyczaj u siebie (przeważnie w sytuacji doradzania innym, „jak mają żyć"), ogarnia mnie smutek.

Sądzę, że taka postawa jest przejawem pychy, albo – na odwrót – skrywanego poczucia niskiej wartości. Pozujemy na wszechwiedzących, a sami o sobie w głębi duszy myślimy, być może, źle. Jeśli tak jest, to zastanawia mnie, dlaczego. Czy dlatego, że człowiek epoki nauki, nie tylko z powodu ogromu wiedzy nie do ogarnięcia, ale także zdany na dozorowanie pracy maszyn w miejsce własnej pracy twórczej, coraz częściej ma bolesne doświadczenie niesprawczości oraz poczucie niekompetencji? Nie ufa sobie, swoim umiejętnościom, także wiedzy? I, by się obronić przed poczuciem bezwartościowości, „nadrabia miną"? Istotne wydaje mi się dla obyczaju wypowiadania się z pozycji rzekomego eksperta również to, że żyjemy w kulturze spektaklu. Pragniemy się pokazać innym takimi, jakimi byśmy chcieli być, a nie takimi, jacy naprawdę jesteśmy. Imponowanie innym za wszelką cenę, przybieranie masek ludzi silnych, udawanie – prowadzi do oddalania się od siebie i okłamywania nie tylko innych, ale też siebie samych. Jestem zatem bardzo wdzięczna autorowi za poruszenie tego tematu. Bardzo bym chciała, by w naszych relacjach częściej gościły, jak postuluje Napiórkowski, słowa odzwierciedlające właściwą nam przecież jako gatunkowi niepewność, niewiedzę, ale i pragnienie jej odnajdywania. Na początek sama spróbuję się przyjrzeć sobie. Rzetelnie.

B. (NAZWISKO DO WIADOMOŚCI REDAKCJI)

Dobry proboszcz Franciszek

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Piotra Sikory „Omylny papież i jego krytycy". Od początku pontyfikatu Franciszka obserwuję ataki na jego nauczanie. Widzę Franciszka, w odróżnieniu od wielu jego poprzedników, jako dobrego proboszcza. Proboszcza, który pochyla się nad swoimi najbiedniejszymi, nieszczęśliwymi i najbardziej poszkodowanymi parafianami. Zgodnie z wytyczną: „paś owce moje". Te najbiedniejsze i zapomniane. Bez oglądania się na okoliczności i uwarunkowania.

Toż Samarytanin nie sięgał do praw, by zbadać zasadność udzielenia pomocy! Nie przesłuchiwał biedaka na okoliczność narodowości, poglądów czy wyznania. A „kazania na górze"? To Chrystus kpił z uczonych w Piśmie przy okazji uzdrowienia w szabat, przywołując przykład z wołem czy osłem, który wpadnie do studni. I tak postępuje Franciszek.

Stąd brak mojego zrozumienia dla jego oponentów, którzy takie czy inne zasady stawiają ponad człowiekiem, zwłaszcza potrzebującym pomocy. Sedno nauki Chrystusa rozumiem jako bezgraniczną miłość i miłosierdzie. Tak też interpretuję postępowanie Franciszka. I na to liczę po zakończeniu mojego grzesznego żywota.

HUBERT TRZASKA

Sprostowanie

W artykule „Słudzy diabła i fałszywi prorocy" Szymona Hołowni („TP" nr 8/18) znalazło się stwierdzenie: „ks. Waldemar Rakocy ze zgromadzenia księży misjonarzy, profesor biblistyki z KUL". Uprzejmie informuję, że ks. prof. Waldemar Rakocy nie jest obecnie pracownikiem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

KATARZYNA BOJKO, Dział Komunikacji KUL

PAWEŁ

Śpiewak:
Synaj i Syjon

Przypomniałem ostatnio słowa proroka Natana, który uprzedził Dawida, że to nie on będzie budowniczym Świątyni, bo ma na rękach krew i życie swe połączył z wojną. W kolejnej mowie prorok wieścił słowami Pana: „Gdy wypełnią się dni twoje i zaśniesz z ojcy twoimi, wzbudzę nasienie twoje po tobie (...) a umocnię królestwo jego. On zbuduje dom imieniowi memu, a Ja utwierdzę stolicę królestwa jego aż na wieki (...) I będzie utwierdzony dom twój, i królestwo twoje aż na wieki przed tobą, a stolica twoja będzie trwała aż na wieki" (2 Sm 7, 2-16).

Natan łączy przyszłość domu Dawida z trwaniem Świątyni. Dom Boga przetrwa Salomona, a panowanie rodu nie będzie miało końca. Przyszłość ludu Izraela została związana z plemieniem oraz państwem Judy i potomkami Dawida. Miłosierdzie i opieka Boga nigdy nie zostaną odjęte od tej rodziny (inaczej niż u Saula). Pada niezwykła obietnica. Zawiązano nowe przymierze podobne do tego z Abrahamem. Wiemy, kto będzie jego depozytariuszem.

Adaptację wieszczby Natana rozwinięto w Psalmie 89: „Postanowiłem przymierze z wybranym moim: przysiągłem Dawidowi, słudze swemu, że aż na wieki utwierdzę nasienie twoje, a zbuduję od narodu do narodu stolicę twoją" (Ps 89, 4-5). „I uczynię, że na wieki będzie trwało nasienie jego, a stolica jego jako dni niebios". Bóg zapowiada, że ukarze każdego z rodu Dawida, kto odstąpi od zakonu i splugawi ustawy i sądy Najwyższego, „ale nie splugawię przymierza mego, a tego, co wyszło z ust moich, nie odmienię".

Bardzo się różni to przymierze od zawartego na górze Synaj. Wtedy obowiązki były podzielone. Pan obiecywał, że dotrzyma zobowiązania wobec ludu wybranego, jeśli ten będzie godnie postępował. Na opiekę Boga lud musi sobie zasłużyć, musi stale odnawiać w sobie przymierze i wierność Najwyższemu. Suweren – Bóg – obiecywał nagrody i bezwzględne kary łącznie z odesłaniem Hebrajczyków do Egiptu. Tutaj w przymierzu znajdujemy jednostronne i twarde zobowiązanie Pana: gwarantuje Dawidowi, że jego ród będzie chroniony i że zawsze będzie wywyższony. Kary, jakie rodzinę mogą spotkać, są te same, co kary zapowiadane w przymierzu synajskim.

Nic tego paktu nie podważa. Przymierze z rodziną Dawida nie umniejsza objawienia na pustyni. Jednak w tym przypadku przymierze nie jest zawarte z całym ludem, lecz tylko z wybrańcami, a poza tym jego trwanie nie zależy od moralnych i politycznych postępków potomków króla. Stoi niejako ponad historią i jej zawiłym biegiem. Nacisk jest tu położony na stałość Boga. On jest gwarantem umowy. Wierność Jego uobecnia się istnieniem Jerozolimy, albo wieczną za nią tęsknotą wygnańców czy uchodźców z ludu Izraela. Miasto Dawida oraz góra Syjon są symbolami tej ponadczasowej wierności Adonaj.

Tak oto los wybrańców Boga zostaje związany z dwoma górami: Synajem oraz Syjonem, który dzisiaj na mapie znajdujemy poza murami miasta. To tutaj znajduje się grób króla Dawida i w tym też miejscu Jezus ze swoimi uczniami jadł ostatnią wieczerzę. Jest też ta góra symbolem całej Jerozolimy i Ziemi Świętej. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Krwawe kulty

Teksty biblijnych czytań mszalnych z czasem musiały ulec skróceniu. Na przykład z opisu ofiary Abrahama wypadły takie fragmenty: Abraham powiedział do swoich sług: „Zostańcie tu z osłem, a ja i chłopiec pójdziemy tam [na górę], oddamy pokłon i wrócimy do was". Abraham włożył na plecy Izaaka drwa, wziął ogień i nóż, i ruszyli w drogę. „W pewnej chwili Izaak rzekł do swojego ojca Abrahama: »Mój Ojcze«. »Jestem, mój synu« – odpowiedział Abraham. Syn zapytał: »Oto ogień i drewno, ale gdzie jest jagnię na całopalną ofiarę?«. Abraham odrzekł: »Mój synu, Bóg znajdzie jagnię na całopalną ofiarę«. I szli dalej razem".

Można do tego opisu podejść psychologicznie. Abraham chce oszczędzić sługom i synowi niepotrzebnego cierpienia, dlatego nie mówi wszystkiego, a nawet kłamie. Ale nie o to chodzi. Abraham, spośród wielu bogów, już wybrał swojego Boga, i naraz ten Bóg żąda od niego, aby zabił syna. Takie praktyki religijne były znane. Koniec końców Bóg nie przyjmuje ofiary z Izaaka, przyjmuje natomiast ofiarę zaufania ze strony Abrahama. I tak rodzi się nowy obraz Boga. Abraham idzie na górę Moira spętany krwiożerczą religią, wróci z niej wolnym człowiekiem. Związanym z Bogiem nie strachem, ale zaufaniem.

Abraham, mówiąc do sług, że obydwaj z synem powrócą do nich, i odpowiadając na pytanie syna, być może już nie kłamał, ale też nie miał jeszcze, jeśli tak można powiedzieć, materialnego dowodu na prawdziwość swoich słów. Wierzył, że Bóg znajdzie właściwe rozwiązanie. Jakie? Oczywiście na miarę Boga, zgodne z Jego logiką. Może więc to opowiadanie jest zapisem przełomu, jaki dokonał się w sferze religii. Abraham może być widziany jako świadek tego momentu w historii ludzkości, w którym porzuciliśmy krwawe kulty i poszli za Bogiem przymierza. Z tego jednak nie wynika, że owa pokusa ugłaskiwania bóstwa za cenę ludzkiego życia tam na górze Moira wygasła. Wciąż jednak zjawiają się kapłani i prorocy tworzący staro-nowych bożków oraz kulty religijno-ateistyczne, żeby składać im ofiary z milionów osób. Pewnie i te ofiary miał Jezus na myśli, gdy mówił, że biednych zawsze będziemy mieli. Biednych dlatego, że dosłownie i w przenośni, również przy naszym udziale, skazanych na śmierć. Jak temu zaradzić?

Papież Franciszek w przemówieniu do Kongregacji Nauki Wiary powiedział: „Autentycznie duszpasterskie jest wszelkie działanie mające na celu wzięcie człowieka za rękę, gdy stracił poczucie swej godności i swego przeznaczenia, aby z ufnością prowadzić go do odkrycia na nowo miłującego ojcostwa Boga, Jego dobrego planu oraz dróg budowania świata bardziej ludzkiego. To jest wielkim zadaniem czekającym waszą Kongregację oraz każdą inną instytucję duszpasterską w Kościele". „Gdy będziemy dążyć do poznania Boga, odkryjemy, że On jest niezawodny jak brzask dnia" – mówi Ozeasz. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Sprawa serca

Na progu Wielkiego Postu (we wtorek poprzedzający Środę Popielcową) Liturgia zabrała nas do łodzi, którą Jezus wraz z uczniami przeprawiali się przez Jezioro Galilejskie (zob. Mk 8, 14-21). Jezus usiłuje im powiedzieć coś bardzo ważnego: „strzeżcie się kwasu faryzeuszy i kwasu Heroda". Oni jednak nie słuchają. Nie są w stanie. Całą myśl mają zaprzątniętą jedną troską: nie wzięli chleba. Zapomnieli chleba. Mają ze sobą tylko jeden bochenek – na tak wielu! I co teraz będzie?! Nie potrafią myśleć o niczym innym...

Jezus jest zdumiony ich niewiarą: dopiero co w cudowny sposób nakarmił siedmioma chlebami tak ich, jak i towarzyszący im tłum 4 tys. ludzi (Mk 8, 19); nieco wcześniej (Mk 6, 34-44) pięcioma chlebami nasycił 5 tys. mężczyzn (i pewnie drugie albo trzecie tyle kobiet i dzieci). Byli nie tylko widzami tych znaków – byli ich uczestnikami i pośrednikami: to oni podawali tłumom cudowny pokarm; widzieli, jak się mnoży w Jego rękach. Teraz jednak – kilka godzin później – fakt, że nie zatroszczyli się o chleb na drogę, zdominował całą ich uwagę.

Jezus opisuje ich postawę ostrym cytatem z proroka Jeremiasza (por. Jr 5, 21): „mając oczy – nie widzicie, i choć macie uszy – nie słyszycie"; i dodaje: „nie pamiętacie" [dopiero co dokonanych cudów]!

Od oceny ważniejsza jest wszakże diagnoza – Pan bowiem identyfikuje wyraźnie źródło/ /przyczynę owej ślepoty i głuchoty, i amnezji. W tym miejscu koniecznie jednak trzeba sięgnąć do tekstu greckiego. W polskim przekładzie (wykorzystanym w lekcjonarzu) Jezus mówi do uczniów: „tak otępiałe są wasze umysły!". W tekście greckim czytamy jednak: „*peporomenen echete ten kardian hymon*" – zatwardziałe/zaślepione macie wasze serca (św. Hieronim przekłada: „*caecatum habetis cor vestrum*").

Problemem uczniów nie jest niewiedza; problemem jest zatwardziałość – ślepota serca. Mają ślepe serca i dlatego ani nie widzą, ani nie słyszą, ani nie pamiętają. Mają kłopot nie z intelektem, tylko z miłością. Ich niezrozumienie bierze się z braku miłości – inaczej bowiem widzisz osobę, którą kochasz; z całą pewnością też inaczej jej słuchasz. Miłość sprawia także, że pamiętasz – nawet najmniejsze gesty i słowa ukochanej osoby zapamiętujesz. Nie możesz nie pamiętać – są ważne, gdyż ta osoba jest ważna.

Dotyczy to naszych relacji z ludźmi; dotyczy również naszych relacji z osobowym Bogiem. W Liście do Efezjan (Ef 4, 18) Paweł mówi o poganach, których rozumienie (*intellectus*) jest pogrążone w ciemnościach; drogi Boże są im obce z powodu niewiedzy (*ignorantia*), której źródłem jest „ślepota/zatwardziałość (łac. *caecitas*; grec. *porosis*) serca".

Wiara jest relacją osobową – nie jest teoretyczną znajomością abstrakcyjnych definicji i formuł. Jest spotkaniem. Rządzi nim miłość. Najpierw jej doświadczamy. Odkrywamy, że jesteśmy chciani – stworzeni, bo wybrani i powołani. Jesteśmy obdarzeni miłością, która wytrzymuje próbę naszego grzechu i odwrócenia się plecami. Bóg, który nas stworzył do komunii ze Sobą – sam, pierwszy o tę komunię nieustannie zabiega. Gotów jest za nią oddać życie. I rzeczywiście je oddaje.

Ile razy na nowo odkryjemy w naszym życiu tę jedyną w sobie relację, ile razy rozpali ona nasze serca – tyle razy nasze oczy i uszy zaczynają nam naprawdę służyć; tęsknimy wtedy też za jeszcze głębszym poznaniem i zrozumieniem Pana – bo wiara szuka rozumienia (*fides quaerens intellectum*). ©

Każdy, kto zdobywa prawdziwą wiedzę, poznaje, skąd przyszedł i dokąd idzie: jak ten, co się upił, a potem wytrzeźwiał ze swego upojenia i wrócił do siebie samego.

EWANGELIA PRAWDY

Odrzucenie pragnień jest odrzuceniem świata. Teraz gdziekolwiek jesteś – jesteś.

ASZTAWAKRAGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (25 II – 4 III)

2. Niedziela Wielkiego Postu: Rdz 22, 1-2. 9-13. 15-18; Ps 116; Rz 8, 31b-34; Mk 9, 2-10;
Poniedziałek: Dn 9, 4b-10; Ps 79; Łk 6, 36-38;
Wtorek: Iz 1, 10. 16-20; Ps 50; Mt 23, 1-12;
Środa: Jr 18, 18-20; Ps 31; Mt 20, 17-28;
Czwartek: Jr 17, 5-10; Ps 1; Łk 16, 19-31;
Piątek: Rdz 37, 3-4. 12-13a. 17b-28; Ps 105; Mt 21, 33-43. 45-46;
Sobota: Mi 7, 14-15. 18-20; Ps 103; Łk 15, 1-3. 11-32;
3. Niedziela Wielkiego Postu: Wj 20, 1-17; Ps 19; 1 Kor 1, 22-25; J 2, 13-25.

BUDOWNICZOWIE NA STO DWA

Żeby w jednym słowie zawrzeć tempo zmian cywilizacyjnych, których doświadczyła Polska w ostatnich 30 latach, i większość związanych z tym problemów, wystarczy powiedzieć po prostu: deweloper.

MAREK RABIJ

Zwiszącego na ścianie rysunku spoglądają na Ewę dwa jelenie naszkicowane węglem. Ewa wbija lodowate spojrzenie w Jurka. On nie podnosi wzroku znad segregatora wypchanego dokumentami, który trzyma na kolanach.

– Ty zacznij – syczy w końcu Ewa do męża – skoro się uparłeś, żeby cała Polska zaglądała nam do portfela.

Jurek raz jeszcze przeczesuje wzrokiem zgromadzone na kolanach *dossier*.

– W zasadzie – mówi po chwili – za całą opowieść wystarczyłyby te jelenie obok Ewki. Dostaliśmy ten szkic od przyjaciela grafika na pięciolecie spłaty kredytu za mieszkanie, którego nam nawet nie zbudowano.

Przez chwilę siedzimy we trójkę w nieznośnej ciszy. Zza okien słychać tramwaje, w kuchni bulgocze agregat starej lodówki. Wkrótce Jerzy uporządkuje jednak dokumenty, które właśnie zsunęły mu się z kolan na sofę, i zacznie opowieść, którą sam zatytułuje, nawiązując do twórczości Edgara Allana Poe, „Zagładą domu...", w miejsce Usherów wstawiając własne nazwisko. Ewa po namowach zgadza się tylko na ujawnienie, że mieszkają we Wrocławiu.

– Tu nie chodzi o wstyd, że się daliśmy oszukać, poszkodowanych było w końcu więcej – tłumaczy Ewa. – Ja się po prostu boję, że jeśli mogli nas bezkarnie okraść, to mogą posunąć się jeszcze dalej.

DARIUSZ JAŚKIEWICZ

Jesień 2016 r.: deweloper „Włodarzewska" wciąż buduje osiedle w osiedlu na warszawskim Ursynowie. Miało być ukończone w 2015 r., przyszli właściciele mieszkań wpłacili ponad 100 mln zł. Po wakacjach 2017 r. sąd orzekł bankructwo dewelopera. Niedoszli mieszkańcy zostali z długami, mieszkańcy okolicy – z niebezpieczną dziurą w ziemi i z niszczejącymi murami za walącym się ogrodzeniem.

Majster z Kajmanów

16 maja 2007 r. Jurek czeka nerwowo pod siedzibą wrocławskiego notariusza na żonę, która spóźnia się już kilkadziesiąt minut na podpisanie aktu zakupu mieszkania. Przy spisywaniu umowy przedwstępnej Ewa też się spóźniła, ale Jerzy przywykł już do tego, że jej kalendarz zawodowy rzadko idzie na kompromis z innymi obowiązkami. Trudno. Rep, czyli przedstawiciel handlowy firmy farmaceutycznej, musi dostosować swoje plany do terminarza i kaprysów lekarzy. W zamian co miesiąc przychodzi wypłata – i to w wysokości wręcz abstrakcyjnej dla kogoś takiego jak Jurek, kto po studiach ugrzązł na uczelni. Bez tych zarobków nie byłoby ich stać na wyprowadzkę z mieszkania po jej dziadku, dwupokojowej klitki wyciętej po wojnie z większego mieszkania w jednej z ocalałych kamienic w centrum Wrocławia.

Wiosną 2007 r. ceny nowych mieszkań nadal idą w górę, mimo że od 2004 r. – od momentu wejścia Polski do Unii – wzrosły już średnio prawie o 100 proc. Polski głód lokalowy najostrzejszą formę przybiera w dużych miastach. We Wrocławiu za metr kwadratowy w najlepszych lokalizacjach w 2007 r. trzeba zapłacić nawet 10 tys. zł, a średnie ceny na rynku wtórnym dobijają do 7,4 tys. zł. Ewa z Jerzym mają dosyć starego budownictwa. Wybierają nowoczesne, jasne 77-metrowe mieszkanie na trzecim piętrze ciekawej plomby opodal centrum, za ponad 623 tys. zł. Rzecz jasna na monitorze komputera – budynek bowiem dopiero ma powstać. Jedną czwartą wartości wpłacają od razu, na resztę biorą kredyt we frankach na 30 lat – z założeniem, że uporają się ze spłatą w ciągu dekady.

– To był jego pomysł – Ewa wskazuje ruchem głowy na męża. – Mówiłam, żeby pooszczędzać jeszcze ze trzy, cztery lata, sprzedać mieszkanie dziadka, nie musielibyśmy się tak zadłużać. Ale Jurek nalegał, bo się bał, że mieszkania podrożeją jeszcze bardziej. Nie podrożały.

– A co by to zmieniło? – ripostuje Jerzy. – Straciłabyś i oszczędności, i dziadkowe mieszkanie.

– Ale kredytu bym nie spłacała na mieszkanie, którego nie mam. I to w walucie, która od tamtej pory podrożała prawie dwukrotnie.

– Nie dwukrotnie, tylko...

– No wygłoś teraz swój debilny argument, że lepiej zostać okradzionym z pożyczonych pieniędzy, niż stracić swoje – głos Ewy przechodzi w krzyk.

– Zejdź ze mnie, proszę uprzejmie, bo to nie ja ci nie wybudowałem tego cholernego bloku! – Jerzy też krzyczy.

Atmosfera gęstnieje, lepiej wrócić do roku 2007. Budowa ruszyła jesienią. W lutym 2008 r. z ziemi wyłoniły się fundamenty. W maju na gotowym parterze zaczęło rosnąć pierwsze piętro. W tym tempie do końca roku budynek powinien był być gotowy w stanie surowym, ale pod koniec czerwca budowa nagle opustoszała. W lipcu pojawiło się na niej kilku robotników, coś tam pozabezpieczali, ale prace stały w miejscu. – Szlag mnie trafiał, bo przecież lato to idealny czas na budowę, ciepło, dzień długi – Jerzy układa znów papiery w segregatorze. – Uspokajano nas, że przestój wynika z problemów z wykonawcą, który zszedł nieoczekiwanie z budowy. Nowy miał się pojawić najpóźniej we wrześniu.

Po wakacjach prace nie ruszyły, a w biurze dewelopera dodatkowo zamilkł telefon. W tym samym czasie w USA jeden z największych banków świata, Lehman Brothers, padł pod ciężarem złych kredytów hipotecznych. Znękana sekretarka w siedzibie wrocławskiego dewelopera odbierała telefony od kolejnych przestraszonych klientów, tłumacząc wszystkim, że wie tyle samo, ile oni: właściciel przestał przychodzić do biura, zwolniono też większość pracowników. – Ewka od razu powiedziała, żeby iść z tym na policję – mówi Jerzy. – Z własnej kieszeni wyłożyliśmy przecież deweloperowi ponad 150 tys. zł. Dodatkowo co miesiąc spłacaliśmy prawie 3 tys. zł kredytu.

Nie wiadomo, czy włączenie w sprawę policji rzeczywiście pomogło, ale właściciel firmy w końcu przemówił. W połowie listopada zaprosił wszystkich klientów na spotkanie w swoim biurze i oznajmił, że zmieni się nie tylko wykonawca na placu budowy.

Jerzy: – Facet, na oko trzydziestoparolatek, bardzo elokwentny, nawet sympatyczny, zapewnił nas, że wszystkie zobowiązania poprzedniego inwestora przejmuje nowa spółka, która dokończy budowę, zatem nie mamy powodu do niepokoju. Brzmiało to wiarygodnie, więc...

Ewa: – Chyba dla ciebie brzmiało wiarygodnie. Zmusiłam go (wskazuje ruchem głowy na męża), żebyśmy znów poszli na policję.

Jerzy: – Gdzie nas oczywiście olali.

Ewa: – Bo oficjalnie nic się nie stało. Firma, z którą podpisaliśmy umowę, odsprzedała inwestycję nowej, która zobowiązała się ją dokończyć na warunkach, które mieliśmy w umowie. Ale zaczęłam podejrzewać, że coś tu śmierdzi.

W 2008 r. dziesięć największych firm deweloperskich wydało łącznie na reklamę blisko 36,5 mln zł – o 30 proc. więcej niż rok wcześniej. Banki zachęcały do kredytu hipotecznego ustami kolejnych celebrytów. Skutecznie – wartość kredytów mieszkaniowych w Polsce sięgnęła kwoty będącej równowartością 20 proc. polskiego PKB. Ale budownictwo mieszkaniowe, jak mawiają ekonomiści, to także czuły probierz stanu gospodarki: jako pierwsze ↦

↦ reaguje na oznaki ożywienia i również pierwsze wpada w kryzysowe otępienie. Już w 2008 r. rynek mieszkaniowy zaczął hamować. W kolejnym banki mocno ograniczyły dostęp do kredytów indeksowanych kursem franka oraz euro i popyt na mieszkania spadł jeszcze bardziej. We Wrocławiu rynek skurczył się w trzy lata o jakieś 60 proc.

– A na naszej budowie zacieki na niezabezpieczonych ścianach zdążyły się w tym czasie zazielenić, poza tym nic się nie działo – ironizuje Ewa. – Nowy wykonawca okazał się spółką z Cypru, w dokumentach rejestrowych znaleźliśmy tylko adres miejscowej kancelarii prawnej, która reprezentowała właściciela. Pierwsza firma, z którą podpisaliśmy umowę, zakończyła działalność. Właściciel wyjechał z Polski.

Niedoszli lokatorzy zaczęli się zastanawiać, jak wyjść z impasu. Pojawił się pomysł, żeby dokończyć budowę samodzielnie – o ile uda się dojść do porozumienia z jej cypryjskim gospodarzem. Koszty? Rzeczoznawca samo doprowadzenie inwestycji do stanu surowego zamkniętego oszacował na ponad 2 mln zł, a większość poszkodowanych nie ma żadnych szans na kolejny kredyt.

Jerzy: – Z punktu widzenia naszego banku sytuacja była klarowna. Zgodnie z terminarzem wypłacił wykonawcy trzy transze kredytu, łącznie 194 tys. zł – i tyle plus odsetki jesteśmy winni. Niedokończona budowa to sprawa między nami i deweloperem.

Ewa: – Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Dowiedzieliśmy się tylko, że cypryjska spółka była wydmuszką, kontrolowaną przez firmę z Kajmanów.

W mieszkaniu znowu zapada męcząca cisza, którą przerywa Jerzy.

– Mamy w końcu swoje nowe mieszkanie, kupione w całości za gotówkę, na rynku wtórnym. W 2015 r. skończyliśmy spłacać tamten kredyt, próbujemy zapomnieć, przez co przeszliśmy i jakim kosztem.

Ewa: – Od dewelopera nie kupię nawet budy dla psa.

Mistrzowie mimikry

Karol Kępka, rzecznik Polskiego Związku Firm Deweloperskich, dziękuje za telefon. Stowarzyszenie, które reprezentuje, dba przecież o wizerunek branży, istotnie splamiony przez kilka afer. W szczycie budowlanej hossy z połowy minionej dekady kto żyw brał się za deweloperkę, nierzadko wyłącznie z pieniędzmi wpłacanymi przez klientów. Przy tak wąskim marginesie inwestycyjnego błędu problemy były tylko kwestią czasu. Na szczęście – jak zapewnia rzecznik – rynek wyeliminował amatorów, a konsolidacja wzmocniła dużych kosztem mniejszych. – Ale o tym najlepiej niech pan porozmawia z naszym prezesem, zdzwońmy się w przyszłym tygodniu – proponuje.

> W wolnorynkowej mitologii postać dewelopera symbolizuje nadal umiejętność lawirowania **pośród luk w przepisach.**

Nie porozmawiam. Od tej pory rzecznik Kępka nie odbiera bowiem telefonu. Pytania o mechanizmy branżowej samokontroli, które chroniłyby klientów obok prawa, muszą więc pozostać bez odpowiedzi. Tak samo jak fundamentalna kwestia, czy i kiedy wolny rynek przestanie kojarzyć się tej branży z wolną amerykanką. Bo sądząc choćby po publikacjach w prasie lokalnej, relacjom deweloperów z klientami i prawem wciąż daleko do ideału.

Zielona Góra. Deweloper kupuje od miasta działkę z promesą budowy kortów tenisowych dla mieszkańców, które ostatecznie zmieniają się w osiedle mieszkaniowe.

Kraków. Deweloper inwestuje pieniądze klientów w fundusz inwestycyjny, z nadzieją, że na tym sowicie zarobi i dopiero wtedy zacznie budowę. Zyski zmieniają się w straty, inwestycja zamiera.

Warszawa. Deweloper sprzedaje mieszkania z garażem w budynku, który okazuje się nie mieć garaży.

Trójmiasto. Przed osiedlem, reklamowanym jako inwestycja z widokiem na Zatokę Gdańską, nieoczekiwanie wyrasta kolejne. Nowe bloki stawia im przed nosem ten sam inwestor.

Ponownie stolica. Na Białołęce rolnik składa wniosek o przekwalifikowanie gruntów rolnych pod rozbudowę gospodarstwa. Kiedy dostaje pozwolenie, sprzedaje całe gospodarstwo deweloperowi, który nie mógłby kupić tej ziemi jako rolnej, ale może nabyć grunty budowlane. Ten trik branża ćwiczy zresztą w całym kraju.

Lublin. Prawo zabrania budowy mieszkań o powierzchni poniżej 20 m², deweloper wprowadza więc do sprzedaży kilkunastometrowe mikrolokale w bloku, który nazywa akademikiem.

Kraków. Na ponad 30 hektarach w części aglomeracji przeznaczonej w planie zagospodarowania przestrzennego pod rolnictwo deweloper planuje budowę kompleksu mieszkaniowego. Urzędnicy ochoczo zmieniają plan zagospodarowania, a radni równie szybko dają na to zgodę – choć zazwyczaj takie zmiany idą jak po grudzie. W tym czasie wychodzi na jaw, że prezes firmy wsparł kwotą 25 tys. zł kampanię wyborczą prezydenta miasta.

Nic więc dziwnego, że w wolnorynkowej mitologii postać dewelopera symbolizuje nadal umiejętność lawirowania pośród białych plam planów zagospodarowania przestrzennego i luk w przepisach. Gra się w końcu tak, jak pozwala przeciwnik, a na polskim rynku mieszkaniowym, dotkniętym przerostem popytu nad podażą, nikt długo nie śmiał stawiać firmom właściwie żadnych wymagań i progów. Niewidzialna ręka rynku miała w końcu zapewnić Polakom to, czego przez 45 lat nie była w stanie dostarczyć w odpowiedniej ilości gospodarka centralnie sterowana. Dlatego w polskim prawie nadal istnieje furtka, która pozwala legalnie oddać do użytku mieszkania w budynku wzniesionym bez pozwolenia. Na tzw. ustawę deweloperską, porządkującą warunki zakupu lokali na korzyść kupujących, klienci musieli czekać do 2011 r. Dopiero od dwóch lat nabywcy mieszkań mogą po tzw. wydzieleniu ich nieruchomości wpisać się do księgi wieczystej budynku obok banku, który udzielił deweloperowi kredytu na budowę, zabezpieczywszy tę pożyczkę na hipotece. Dzięki tej drobnej z pozoru zmianie ewentualne bankructwo dewelopera nie zostawia klienta na lodzie.

Zaspokojony głód

Z czysto statystycznej perspektywy deweloperzy sprostali wyzwaniu zawartemu w samej nazwie ich profesji. Jeszcze w 2002 r., jak podaje Narodowy Bank Polski, w całym kraju oddawano do użytku niespełna 100 tys. domów i mieszkań. W 2009 r. – już 160 tys., z czego połowę zbudowali właśnie deweloperzy. W tym samym czasie liczba mieszkań przypadających na każdy tysiąc mieszkańców Polski wzrosła z 310 do niemal 350, a przeciętny metraż w przeliczeniu na lokatora skoczył z 21 do ponad 24 m². Co prawda wciąż daleko nam do mieszkaniowego komfortu Europy Zachodniej, bo do osiągnięcia choćby unijnej średniej liczby mieszkań na głowę wciąż brakuje nad Wisłą ok. 3 mln lokali, ale pierwszy polski głód mieszkaniowy został z grubsza zaspokojony.

Jakim kosztem – indywidualnym i społecznym – to już inna sprawa.

Najcenniejszym składnikiem polskiego majątku – jak wynika z cyklicznego rapor-

tu NBP o sytuacji mieszkaniowej Polaków – są właśnie nieruchomości. Nie oszczędności w banku, akcje, obligacje, jednostki uczestnictwa funduszu inwestycyjnego. Wszystko, co mamy, wciąż pompujemy w pierwszej kolejności w mieszkanie, ku uciesze firm budowlanych, projektantów wnętrz, sprzedawców mebli, a nawet banków – mimo że taki zakup z roku na rok w coraz większym stopniu finansujemy jednak z oszczędności.

Roczne zarobki w przeciętnym gospodarstwie domowym, mającym mieszkanie własnościowe, nadal nie przekraczają 50 proc. wartości lokalu, co dowodzi nie tylko relatywnie niskiej siły nabywczej, lecz również determinacji, z jaką przeciętna polska rodzina walczy o własny kąt – zwłaszcza w dużych miastach, gdzie nieruchomości są bardzo drogie. Łączna wartość nieruchomości mieszkaniowych w 16 miastach wojewódzkich przekracza dziś wartość wszystkich pozostałych mieszkań i domów na terenie Polski. Kredyt mieszkaniowy i wachlarz rozmaitych opłat eksploatacyjnych pochłania przeciętnie ok. 40 proc. comiesięcznych dochodów polskiego gospodarstwa domowego.

W rezultacie rynek mieszkaniowy – jak mówi się w samej branży – „nadal żre". Co prawda klientów trudniej dziś namówić na zakup dziury w ziemi, która dopiero stanie się blokiem, ale właściwie wszystkie oddawane mieszkania znajdują nabywców. W 2016 r. tylko deweloperzy oddali do użytku 78 tys. nowych mieszkań, co było najwyższym wynikiem w dziejach tej branży. Podliczanie wyników za rok ubiegły nadal trwa, sądząc jednak po prognozach, rekord z roku 2016 zostanie wyraźnie poprawiony.

Nieco gorzej wygląda to od strony rentowności. Przykładowo, w czwartym kwartale 2007 r. ceny mieszkań na rynku pierwotnym w Warszawie wzrosły o 39 proc., podczas gdy w ostatnim kwartale roku 2016 dynamika cen wyniosła zaledwie 3 proc. Jeszcze gorzej wygląda to od strony kosztowej, bo jeśli w polskiej gospodarce nastał rynek pracownika, to w budowlance wykwalifikowani robotnicy są dziś wręcz dyktatorami. W Krakowie nie da się w tej chwili zatrudnić doświadczonego murarza za mniej niż 30 zł za godzinę. Działki budowlane ostatnio nieco potaniały, ale w porównaniu z cenami z początku ubiegłej dekady, kiedy rynek nabierał błyskawicznie rozpędu, są wciąż upiornie wysokie.

Nic dziwnego, że NBP szacuje dziś rentowność deweloperów średnio na ok. 15-20 proc. Powrót czasów, kiedy z każdych 100 zł wpłaconych przez klienta w kieszeni dewelopera zostawało na czysto nawet 50 zł, wydaje się nierealny.

„Apartament" po polsku jest nieustawnym mieszkaniem z małymi pokojami i zbyt dużym przedpokojem – to jeden z najczęstszych trików na wciśnięcie klientom zbędnego metrażu.

Nie da się zatem wykluczyć, że branżą znów wstrząśnie, i to wkrótce, fala bankructw. Sęk w tym, że – jak podkreśla Grzegorz Błachnio z firmy Euler Hermes, oferującej ubezpieczenia m.in. od ryzyka inwestycyjnego – wychwycenie rosnącej podatności deweloperów na niewypłacalność jest wysoce utrudniona. Wiele firm w tej branży zajmuje się bowiem równolegle innymi działalnościami, a część z nich – w tym kilka największych – zarejestrowano w GUS jako np. spółki handlowe lub nawet doradcze. W efekcie nie bardzo wiadomo, kogo wrzucać do tego koszyka, a kogo nie.

Miasto w ruinie

Nie ulega za to wątpliwości, że to na deweloperów spływa dziś odium za architektoniczny chaos polskich miast. W dużej części zasłużenie, bo pogoń za rentownością pchnęła ich do niemal rabunkowej gospodarki gruntami, wycinania ostatnich fragmentów zieleni, zagęszczania zabudowy osiedlowej kosztem części wspólnych i wciskania budynków-plomb w najmniejsze szczeliny zabudowy. „Apartament" po polsku stał się w ten sposób karykaturą samego siebie, nieustawnym mieszkaniem z małymi pokojami oddzielonymi zbyt dużym przedpokojem (to jeden z ulubionych trików deweloperów na wciśnięcie klientom zbędnego metrażu), w sztampowo nudnym budynku. Tylko czy za wygląd polskich osiedli odpowiadają wyłącznie ci, którzy je budują?

Prof. Marek Kozak z Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych Uniwersytetu Warszawskiego listę winowajców radzi rozszerzyć o gminy, które aż palą się dziś do sprzedaży kolejnych działek pod osiedla, ale nie kwapią się do rozbudowy dróg, szkół i reszty infrastruktury, która teren zabudowany zmienia w miasto. Po trzech kwartałach 2017 r. zadłużenie polskich gmin sięgnęło 54,6 mld zł. W porównaniu z rokiem 2014, kiedy długi samorządów dobiły do rekordowych 58 mld zł, inwestycyjna bonanza gmin zdaje się hamować, ale oczekiwania Warszawy, że władze lokalne wykorzystają fundusze unijne (co wiąże się z koniecznością wydania identycznej kwoty z własnej kieszeni lub z kredytu), pozostają niezmienne. Tak samo jak polityczna strategia zrzucania samorządowcom na głowy kolejnych centralnych zadań, na które gminy mają sobie same znaleźć fundusze.

W efekcie miasta łatają dziś budżety, głównie wyprzedając grunty. Kraków – jedna z bardziej zadłużonych polskich metropolii – od paru lat pozbywa się działek wartych średnio 100 mln zł rocznie. Przy takiej wyprzedaży planowanie przestrzenne siłą rzeczy schodzi na dalszy plan. Jak dalece władze miejskie próbują ułatwiać życie potencjalnym inwestorom, świadczy przypadek miejskiej działki przy ul. Wita Stwosza w Krakowie, którą miasto wystawiło na sprzedaż za 7,2 mln zł, wystąpiwszy wcześniej z wnioskiem... do siebie samego o wydanie terenowi tzw. wuzetki, czyli warunków zagospodarowania i zabudowy, która pozwoli postawić tam biurowiec z garażem podziemnym.

Mieszkańcy na postępujące zagęszczanie centrum reagują coraz częściej ucieczką na peryferie, co deweloperów cieszy, bo grunty na rogatkach są tańsze. Wyprowadzka z centrum owocuje jednak najczęściej zamianą jednych problemów (hałas) na inne (korki podczas dojazdów). Mimo to mit zatłoczonego centrum i idylli przedmieść jest w Polsce – jak twierdzi prof. Kozak – wciąż wyjątkowo żywy.

– Wiele aglomeracji, z Warszawą na czele, do dziś nie uzupełniło utraty tkanki miejskiej z czasów wojny. Wychowani w tych pustych przestrzeniach źle reagujemy na próby zagęszczenia zabudowy i nie dostrzegamy, że w większości dużych miast Europy centra są zabudowane jeszcze gęściej.

Być może przesadą jest więc oczekiwać od deweloperów, że zaczną odpowiedzialnie gospodarować wspólną przestrzenią polskich miast, na pewno jednak można tego wymagać od samorządów – zwłaszcza w roku wyborczym. Po 29 latach budowlanej wolnej amerykanki w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu czy Zielonej Górze paradoksalnie jest jeszcze wiele do zepsucia. Jak szacuje GUS, miejska Polska pomieści jeszcze mieszkania dla od 50 do nawet 400 mln osób. Wszystko zależy od tego, jak się to miejsce zdefiniuje. ©℗

MAREK RABIJ

Co skrywa maska

KACPER GIERLACH

Na ulicach polskich miast coraz więcej ludzi w antysmogowych maseczkach. Czy każda zapewnia sensowną ochronę?

JAKUB PORZYCKI / FORUM

Protest przeciwko zaniedbaniom rządzących w sprawie smogu, Kraków, 25 lutego 2017 r.

Jeszcze dwa lata temu ich widok zaskakiwał, dziś ćwiczyć w nich mają nawet krakowscy piłkarze. Niestety, choć o zanieczyszczeniach powietrza jest głośno kolejny rok, a świadomość problemu dociera nawet do polityków, to rzetelnych informacji o maskach jak na lekarstwo.

Bez pyłu, ale z bakteriami

Przed pyłami zawieszonymi – najbardziej niebezpieczną składową smogu – skutecznie chronią półmaski przeciwpyłowe zgodne z europejską normą EN 149 (półmaski, bo zakrywają tylko część twarzy – nos, usta i brodę). Doskonale radzą sobie z filtrowaniem cząstek o średnicy 10 mikrometrów, jak i tysiąc razy mniejszych. Używa się ich przede wszystkim w przemyśle (lakiernie, szlifiernie etc.), stąd dostępne są w marketach budowlanych czy sklepach bhp, ale odkąd smog stał się sprawą publiczną, widać je także w innych punktach handlowych. Kosztują kilkanaście złotych, czasem mniej, za trzydzieści kupimy model z wyższej półki. Na ogół są to produkty jednorazowe, zaprojektowane do użycia maksymalnie przez jedną zmianę roboczą (8 godzin), ale przed smogiem będą chronić znacznie dłużej, nawet miesiącami.

Stężenia pyłów w smogu, nawet te w Polsce, są i tak znacznie niższe od spotykanych w przemyśle. Co więcej, zapchana pyłem maseczka wciąż skutecznie chroni. Jest inny powód ograniczający czas ich użycia – zagrożenie biologiczne. Niestety, używane maski bardzo szybko stają się rozsadnikiem bakterii.

– Ciepło i wilgoć w wydychanym powietrzu plus np. złuszczony naskórek tworzą im w materiale filtracyjnym wymarzone warunki życia. Dlatego właśnie warto zmieniać maski jak najczęściej. Na trochę dłużej starczą maseczki wielokrotnego użytku, ale te również powinny być wymienianie już po kilku dniach. W przeciwnym razie chronimy się przed pyłem, ale narażamy na wdychanie bakterii – mówi dr inż. Agnieszka Brochocka, kierownik Pracowni Sprzętu Ochrony Układu Oddechowego Centralnego Instytutu Ochrony Pracy.

Parametry tych masek regulują unijne przepisy oraz normy, a ich spełniania pilnują niezależne tzw. jednostki notyfikowane. Jak rozpoznać prawdziwą półmaskę przeciwpyłową – środek ochrony indywidualnej? Musi się na niej znajdować znak CE z czterocyfrowym numerem jednostki notyfikowanej, symbol normy – EN 149 oraz data publikacji normy: 2001+A:2009. Ponadto klasa ochrony: od najniższej FFP1 do najwyższej FFP3. Półmaski jednorazowe są oznaczane literą NR, wielokrotnego użytku – R. Może, ale nie musi, widnieć na nich litera D. Możliwe oznakowanie maski wygląda więc następująco: CE xxxx EN 149 2001+A1:2009 FFP1 NR D.

Półmaski tej samej klasy nie są sobie równe, jedne mogą być wygodniejsze od innych, niemniej każda oferuje ochronę na minimalnym, wymaganym przez normę poziomie.

Smog to nie tylko pyły zawieszone, ale też szkodliwe związki lotne, np. tlenki azotu w spalinach samochodów. Czy można się przed nimi skutecznie chronić? Dr Brochocka: – W praktyce bardzo trudno. Wymagałoby to noszenia znacznie bardziej złożonego sprzętu, np. półmasek wyposażonych w specjalistyczne, wymienne elementy oczyszczające, jak pochłaniacze. Włókniny węglowe dodawane przez producentów do niektórych półmasek przeciwpyłowych mają bardzo małą pojemność sorpcyjną. Według naszych badań działają bardzo krótko, przez minuty, a nawet sekundy. O tym, aby taka maska chroniła przez cały dzień, np. rowerzystę w mieście, możemy zapomnieć.

Smog przecieka bokiem

Na rynku istnieje ogromny wybór masek, w których wymienne filtry okryte są syntetycznym materiałem, najczęściej neoprenem. Zapinane na rzep z tyłu głowy, dostępne w wielu kolorach. Dotychczas miały świetny PR. Można je było zobaczyć na twarzach reporterów telewizyjnych, a w renomowanych tytułach prasowych przeczytać, że są jedyną skuteczną ochroną przed smogiem. Jedna z nich trafiła nawet na okładkę magazynu „Vogue". Internetowe serwisy wszelkiej maści publikują recenzje, szafiarki zachwalają wygląd. Nie dziwi więc, że termin „maska antysmogowa" klienci często kojarzą właśnie z nimi. Czy słusznie?

Maski neoprenowe nie są zgodne z unijną dyrektywą o środkach ochrony indywidualnej. Producenci certyfikowanego sprzętu nie muszą przekonywać, że ich produkt działa, wystarczy oznaczenie

EN149:2001. Skoro maski neoprenowe takiego znaku nie mają, ich wytwórcy muszą inaczej przekonać, że ich maska warta jest swojej ceny. Przefiltrujmy ich opowieści, aby oddzielić pozory od prawdy.

Filtry stosowane w maskach neoprenowych mają, jak często zapewniają producenci, wysoką skuteczność, zatrzymując ponad 99 proc. cząstek. Skoro filtr użyty w masce jest tak skuteczny, to użytkownik oddycha powietrzem oczyszczonym z 99 proc. zanieczyszczeń? Nie. Skuteczność filtra to jedno, a maski – to zupełnie co innego. Doskonały filtr noszony w kieszeni spodni wciąż będzie doskonałym filtrem, tylko co z tego? To nie on chroni użytkownika, ale maska jako całość. Jeśli jest nieszczelna, to nawet najlepszy filtr niewiele pomoże. Kluczowym parametrem oceny skuteczności masek jest coś, co europejska norma EN 149 określa jako tzw. całkowity przeciek wewnętrzny, na który składają się zanieczyszczenia przepuszczane przez filtr, zawory wydechowe i uszczelnienie do twarzy. Dopiero to daje prawdziwy obraz skuteczności produktu. Dla certyfikowanych półmasek można przywołać wymierne dane, np. klasa ochrony FFP3 oznacza całkowity przeciek wewnętrzny o wartości do 5 proc. zanieczyszczeń. O całkowitym przecieku masek neoprenowych na ogół nie wiadomo nic.

„Według naszych badań" – to często wykorzystywane przez producentów sformułowanie. Według laboratoryjnych badań producentów ich filtr ma zatrzymywać niemal wszystkie pyły albo pochłaniać długą listę toksycznych związków chemicznych. Badania może i przeprowadzono, ale ich wyników nie opublikowano, więc nie sposób ocenić ich rzetelności. Albo opublikowano, ale są niedokładne – niezależne laboratorium testowało jakiś filtr firmy X, ale nie wiadomo, który konkretnie z gamy oferowanej przez producenta.

Gdy producent pisze: „wyprodukowano według kryteriów normy EN 149", to wcale nie znaczy spełniania normy. Sitko kuchenne też spełnia kryteria normy EN 149 (stawia mały opór powietrza). Kluczem jest słowo „wszystkie". Spełnianie normy oznacza spełnienie wszystkich jej kryteriów, a nie tylko wybranych.

Producenci sprzętu neoprenowego sięgają też po autorytet profesjonalistów. Przynajmniej dwóch wytwórców masek podkreśla wykorzystanie technologii opracowanej na zlecenie wojska w ponurych czasach zimnej wojny. Brzmi elitarnie, tyle że ta technologia dziś jest w powszechnym użyciu.

SMOG, którym oddychamy zimową porą, składa się z wielu niebezpiecznych związków, ale najgorsze są tzw. pyły zawieszone, a więc mikroskopijne cząstki stałe pochodzące np. z domowych pieców czy rur wydechowych silników Diesla. Wojewódzkie Inspektoraty Ochrony Środowiska monitorują stężenia pyłów o średnicy cząstek 10 mikrometrów i mniejszych (PM10) oraz o średnicy 2,5 mikrometra i mniejszych (PM2,5). Każde stężenie pyłów występujących w smogu jest zagrożeniem, nie istnieje bezpieczna dawka. W Polsce stężenia osiągają drastyczne wartości, na tle Europy – rekordowe. Gdyby arbitralnie ustalony przez rząd poziom alarmowy (300 mikrogramów na metr sześcienny) odpowiadał wartościom europejskim (np. we Francji 80 mikrogramów), alarmy ogłaszano by nie kilka, ale kilkadziesiąt razy w roku. Niektóre trwałyby tygodniami.

Czytaj niezbędnik smogowy „Tygodnika" na powszech.net/smog

Czasami można się natknąć na maski neoprenowe oznaczone: CE xxxx EN 149 FFP1 (S) D, a więc bardzo podobnie do certyfikowanych środków ochrony indywidualnej. Symbole użyte przez producenta potwierdzają spełnianie mniej restrykcyjnej normy z lat 90., od dawna nieobowiązującej. Choć można mieć zastrzeżenia do takiego oznakowania produktu, jest to już jednak wymierna informacja o skuteczności maski.

Zamiast szalika

Czy maski neoprenowe w ogóle chronią? W pewnym stopniu tak, podobnie jak szalik. Pytanie: w jakim stopniu? O ogromnej części produktów nie wiadomo prawie nic. Brakuje rzetelnych badań pozwalających ocenić skuteczność maski jako całości. Więcej wiadomo o tych, bardzo nielicznych, maskach, które zostały uznane za zgodne z normą unijną z lat 90. Oferują potwierdzoną ochronę przed pyłem zawieszonym, kosztują jednak ponad 200 zł. Półmaskę przeciwpyłową tej samej albo wyższej klasy ochrony można kupić już za 10 zł, dodatkowo będzie nas chronić przed kroplami cieczy, które również, w postaci mgieł, występują w smogu. Sprzedawcy masek neoprenowych zwracają uwagę, że łatwiej w nich biegać czy jeździć na rowerze, bowiem stawiają mniejsze opory powietrza od półmasek certyfikowanych. Rzeczywiście, uprawianie sportu w półmaskach bywa utrapieniem, są jednak modele o obniżonych oporach powietrza, znacznie tańsze od neoprenowych.

Kolejnym atutem masek neoprenowych ma być żywotność ich filtrów, których według producentów można używać nawet miesiąc. Jednak – znów – nie wiadomo, jak ją szacowano. Według specjalistów noszenie na twarzy kompresu, który żyje własnym życiem, to stąpanie po kruchym lodzie. Konsekwencją mogą być przewlekłe choroby układu oddechowego.

Niewątpliwą zaletą masek neoprenowych jest ich wzornictwo, dalekie od standardów producentów sprzętu bhp. Nie każdy jest skłonny założyć białą maseczkę rodem z placu budowy.

Jak powstają legendy

Problem zanieczyszczonego powietrza to jedno, masek mających przed nim chronić to drugie, ale razem pokazały jeszcze jedno zagrożenie. W ciągu ostatnich lat można było w mediach wyczytać np., że certyfikowana półmaska przeciwpyłowa nie chroni przed drobnym pyłem (choć do tego została zaprojektowana i wyprodukowana), dobre maski spełniają amerykańską normę N99 (chociaż amerykańska instytucja wydająca certyfikaty nie widziała ich na oczy), a najlepiej poszukać produktu z filtrem HEPA (których nie produkuje się od ćwierćwiecza).

Niedawno Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumenta zlecił CIOP kontrolę kilku masek, w tym jednej neoprenowej. Wykazała ona niezgodność produktów z normą EN 149 oraz unijną dyrektywą o środkach ochrony indywidualnej (czyli o produktach mających chronić użytkownika przed zagrożeniem). Wedle UOKiK oznacza to, że są sprzedawane nielegalnie. Dla producentów i importerów to dramatyczna wiadomość. Producent zakwestionowanej maski neoprenowej odwołuje się od decyzji, inni zapowiadają rozmowy.

W kwietniu urząd dostanie realną broń do porządkowania rynku antysmogowego – wejdą w życie przepisy, które pozwolą nakładać kary finansowe na osoby wprowadzające do obrotu nielegalne produkty. Nieoficjalnie pracownicy UOKiK dziwią się firmom handlującym maskami neoprenowymi, że inwestują pieniądze w sprzęt, który nie spełnia regulacji, zamiast zlecić zaprojektowanie produktu zgodnego nie tylko z trendami, ale i normami. Rozmowy trwają. Czas pokaże, czy przeważy interes producentów, czy bezpieczeństwo konsumentów. ©

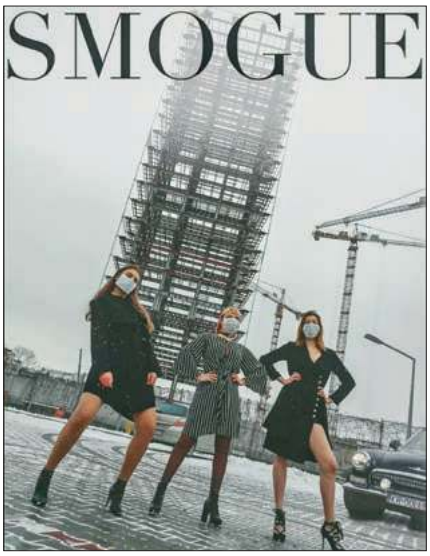

GRZEGORZ ALEXANDER ŁACH / WHOMAN / THE VINTAGE DOLLS

FB / POPULARZY

FB / ZIELBLĄG

Okładka pierwszego numeru „Vogue Polska" (z prawej) natychmiast stała się przedmiotem przeróbek udostępnianych w internecie

Oddajcie nam kolorowe sny

MATEUSZ HALAWA

Klasa średnia zaczyna wątpić w spełnienie marzeń, że w końcu będzie u nas po zachodniemu. Dlatego na widok Pałacu Kultury przeżywa tożsamościowy kryzys.

Dwie modelki (Małgorzata Bela i Anja Rubik) stoją na Placu Defilad przy czarnej wołdze, a w tle widać Pałac Kultury: dawno żadna okładka magazynu – i to związanego z modą, a nie polityką – nie wywołała takiego oddźwięku jak ta pierwszego numeru polskiego „Vogue'a". Wrzenie w sieci i poza nią szybko wyszło poza tzw. branżę i jak zwykle okazało się, że mówienie, iż o gustach się nie dyskutuje, nie tylko jest nieprawdą – ale że dyskusje o gustach są najciekawsze.

W ramach swoich zajęć na uczelni współprowadzę wspólne warsztaty krytyczne i projektowe ze studentami i studentkami Parsons School of Design z Nowego Jorku. Zajęcia odbywają się w Pałacu Kultury. Wraz ze swoim otoczeniem jest on przedmiotem naszych badań i eksperymentów. Gdy opowiadam o tym projekcie, słyszę często niepokój: „Ale pokazujecie tym nowojorczykom coś jeszcze? Inną Warszawę?". Ten niepokój powraca też w internetowych komentarzach na temat okładki „Vogue'a". Że przecież bardzo dużo się u nas zmieniło, że Pałac jest „nie nasz", że to niesprawiedliwe tak zredukować miasto, a nawet państwo, do Pałacu, który zresztą wielu chciałoby wyburzyć.

Na zajęciach pracujemy z Michałem Murawskim, antropologiem badającym PKiN i autorem książki „Kompleks Pałacu" (jakże aktualny dziś tytuł!). Interesuje nas, w jaki sposób stalinowski wieżowiec żyje w kapitalistycznej Warszawie. To napięcie między przeszłością a przyszłością, uporczywym trwaniem dawnych projektów a współczesnymi aspiracjami podsyca również kontrowersje wokół okładki „Vogue'a".

Zdjęcie Juergena Tellera rozgrywa je skutecznie, z jednej strony wprowadzając dodatkowy, tautologiczny i teatralny rekwizyt czarnej wołgi, który jeszcze mocniej mówi: „to się dzieje za żelazną kurtyną", a z drugiej strony grając z na wskroś kapitalistyczną kulturą mody i jej konsumpcyjnym spojrzeniem. Zamiast rozładować to napięcie, „Vogue" je podtrzymuje i dodaje mu erotyzmu.

Ma być jak w Dubaju

Tymczasem oba te porządki wydają się dla wielu oglądających wykluczać. Chcieliby (jak bystrze zauważył ASZdziennik), żeby na okładkach panował raczej Dubaj, hiperkapitalistyczna utopia ulizanej reklamowej fotografii, nieobciążona przeszłością, nawet jeśli faktycznie konsumuje się ją w smogu na placu Defilad (parę przeróbek okładki krążących w sieci miało winietę „Smogue"). To oczywiście klasyczny dylemat kultury popularnej: czy ludzie chcą od niej realizmu, czy eskapizmu? Jak kiedyś powiedział mi rozmówca w etnograficznych badaniach na Podlasiu: „Nie po to sobie kupiłem plazmowy telewizor, żeby mi Podlasie na nim pokazywali".

Tak się złożyło, że pierwszy raz zobaczyłem na Facebooku okładkę „Vogue'a" jadąc tramwajem przez Marszałkowską. Pod wpisem ludzie się oburzali: „Polska tak nie wygląda!". Wyjrzałem przez okno. Wyglądała dokładnie tak (minus modelki i wołga). Oburzenie brało się więc z czegoś innego: z nadmiaru pewnej rzeczywistości, a niedoboru innej.

Rozmawiamy więc o realizmie przedstawiania i stylizowania świata, a rozmowa ta jest specyficznie środkowoeuropejską grą w strategiczne odsłanianie i zasłanianie rzeczy przed zachodnim spojrzeniem, w tym przypadku reprezentowanym przez wielką globalną markę. Innymi słowy, okładka budzi klasyczny niepokój peryferii: jak nas widzą? Czy nie ma wstydu, czy wypadamy dobrze?

Oczywiście zachodnie spojrzenie od wieków jest kolonialne i ma skłonność do orientalizmu: twierdzi, że ten wschód jest jakiś inny, i tak go pokazuje. Dlatego w internetowych komentarzach oskarżano

FB / VOGUE POLSKA

polską redakcję „Vogue'a" niemal o zdradę. Że zamiast pokazać Polskę dumnie, przystała na zachodni stereotyp, iż niedźwiedzie biegają u nas po ulicach.

Jeśli ta dynamika rozmowy o wizerunku zbiorowości, prawdzie i dumie przypomina nam inną dyskusję na dalece poważniejszy temat, nie jest to przypadek. Badająca różne aspekty kulturowe transformacji po 1989 r. Magda Szcześniak w książce „Normy widzialności" pokazała, w jaki sposób tożsamość rodzącej się klasy średniej była wytwarzana już od lat 80. przez kulturę wizualną. Dawno wyparty socrealizm został zastąpiony przez realizm kapitalistyczny reklam, wizualizacji i zdjęć stockowych. „Imidż", jak mówiło się w latach 90., stał się wehikułem społecznego awansu i przewartościowania hierarchii.

Oto dlaczego socrealistyczny Pałac na okładce „Vogue'a" wywołuje w klasie średniej tożsamościowy kryzys.

Realizm kapitalistyczny

Idźmy dalej: zdjęcie wydaje się krytykom niedopracowane. „Perspektywa się wali" – protestują, bo realizm kapitalistyczny naszej transformacji widział wartość w panowaniu nad „imidżem". Od czego jest Photoshop, jeśli nie od zmieniania naszego życia na lepsze? A tu nagle niemal reporterskie zdjęcie. „Nie napracował się pan", słyszą w takiej sytuacji fotografowie.

Po drugie, w Europie Środkowo-Wschodniej gama kolorystyczna to sprawa polityczna, a na okładce jakoś tak buro. Przecież opowieść o transformacji to opowieść o odrzuceniu szarości i triumfie koloru – wystarczy kogoś zapytać, jak było w PRL, od razu powie, że „szaro". Nie przypadkiem na segment czasopism, w którym funkcjonuje „Vogue", mawia się w Polsce „czasopisma kolorowe".

Po trzecie wreszcie, i chyba najważniejsze, sprzeciw wielu budzi wystudiowany anachronizm zdjęcia Tellera, natychmiast wychwycony przez tych, którzy umieszczali obok niego odległą o 58 lat fotografię modelki, wołgi i Pałacu autorstwa Romualda Broniarka. Realizm kapitalistyczny, pracowicie podtrzymywany latami przez kolorowe pisma, opierał się przecież na hiperaktualności (trend, moda), wychyleniu w przyszłość i zanegowaniu przeszłości, przynajmniej tej, której nie da się przetworzyć na styl retro. Zwłaszcza klasy średnie żyły obietnicą, że przeszłość będzie coraz dalej, a Zachód coraz bliżej, bo historię wyobrażaliśmy sobie jednocześnie w kategoriach czasu, czyli postępu ku nowoczesności, i przestrzeni, czyli przesuwania się na Zachód. Wejście na rynek ważnej zachodniej marki było zawsze zaliczeniem kolejnego etapu: jest coraz bardziej kolorowo, coraz bardziej zachodnio i coraz bardziej „normalnie".

Rzecz w tym, że ta wizja kolorowej zachodniej przyszłości, która organizowała wyobraźnię klasy średniej, jest z różnych powodów w kryzysie. Czytając emocjonalne wpisy ludzi domagających się więcej realizmu kapitalistycznego w kolorowych magazynach, ma się wrażenie, że niespodziewany rezonans okładki „Vogue'a" polega na tym, iż niechcący potwierdziła wiele częściowo nieświadomych obaw własnej grupy docelowej na temat przyszłości.

©℗

MATEUSZ HALAWA *pracuje jako asystent w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN oraz jako kierownik zespołu nauk humanistycznych i społecznych School of Form Uniwersytetu SWPS.*

Vogue, czyli moda

■ **17 GRUDNIA 1892 R.** wydano w USA pierwszy numer tygodnika „Vogue". Założone przez biznesmena Arthura Turnure'a pismo miało być skierowane do nowojorskich elit i przez nie współtworzone.

■ **W 1909 R.** magazyn został przejęty przez wydawnictwo Condé Nast (które wydaje go i licencjonuje edycje zagraniczne do dziś) i stał się dwutygodnikiem dla kobiet, a główną tematyką zostały moda i styl życia.

■ **W 1916 R.** wydano pierwszą zagraniczną edycję magazynu – „British Vogue". W 1920 r. ukazał się pierwszy numer edycji francuskiej, „Vogue Paris" (przez znawców świata mody uznawanej za najbardziej interesującą artystycznie).

■ **W 1932 R.** po raz pierwszy w wydaniu amerykańskim pojawiła się na okładce kolorowa fotografia – Edward Steichen sportretował kobietę z piłką plażową. Wcześniej na okładkach widniały rysunki i grafiki. Zdjęcia okładkowe zaczęli robić czołowi światowi fotograficy – Richard Avedon i Norman Parkinson, Helmut Newton i Peter Lindbergh.

■ **W LATACH 60.** powołano nową redaktorkę naczelną amerykańskiej edycji – Dianę Vreeland. Skupiła się na modzie współczesnej i awangardowej, nadając pismu bardziej artystyczny wyraz. Na łamach magazynu zaczęto poruszać tematykę emancypacyjną i dotyczącą rewolucji seksualnej.

■ **W SIERPNIU 1974 R.** na okładce amerykańskiego „Vogue'a" wystąpiła pierwsza czarnoskóra modelka, Beverly Johnson. Wtedy pismo już od roku ukazywało się jako miesięcznik (w tej formule wydawane jest do dziś).

■ **W CZERWCU 1988 R.** redaktorką naczelną amerykańskiej edycji została Anna Wintour, która – by zapewnić pismu mocną pozycję na rynku – ukierunkowała je na modę dostępną dla szerszej grupy czytelników, zrywając z tradycją wystudiowanych okładek z modelkami w strojach z najwyższej półki. Pozostaje do dziś jedną z najbardziej wpływowych postaci w świecie wydawnictw poświęconych modzie i stylowi życia, jej imię nosi dział stroju i kostiumu nowojorskiego Metropolitan Museum. Stała się pierwowzorem głównej bohaterki książki i filmu „Diabeł ubiera się u Prady".

■ **W LUTYM BR.** ukazał się pierwszy numer polskiej edycji miesięcznika. To dwudziesta trzecia edycja magazynu na świecie. Dotychczas wychodził m.in. we Włoszech, Australii, Tajlandii, Ukrainie i Japonii, jest także wersja arabska oraz meksykańska i latynoamerykańska. ©℗

Opr. EB

Niepoliczalni

MICHAŁ OKOŃSKI

Pisanie tekstu o tym, jak szacować liczbę Żydów, których w czasie wojny zabili Polacy, jest doświadczeniem upiornym. W gąszczu cyfr ginie ludzki los.

Podczas II wojny światowej z rąk Polaków zginęło / mogło zginąć (niepotrzebne skreślić) kilkadziesiąt tysięcy, 120 tys., 200 tys. Żydów albo – jeśli by chcieć uniknąć liczb – „więcej Żydów niż Niemców". Każda publikacja na ten temat wywołuje emocje, którym pewnie trudno się dziwić, zwłaszcza że liczba 200 tys. żydowskich ofiar Polaków pada także w zagranicznych mediach, komplikując obronę wizerunku naszego kraju jako krzywdzonego i niewinnego. Na łamach „TP" podał ją przed tygodniem minister edukacji Izraela Naftali Bennett, powołując się przy tym na szacunki prof. Jana Grabowskiego z Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Skąd Grabowski wziął te 200 tys.?

Wiemy, że w 1939 r. obywatelami Polski było ok. 3,3 mln Żydów. Wiemy też (w „Tygodniku" mówił o tym choćby prof. Jacek Leociak), że liczba Żydów żyjących na terytorium okupowanej go kraju przed zakończeniem drugiej fazy Zagłady (faza pierwsza to przymusowe skupienie Żydów w gettach, druga – wywożenie do obozów śmierci, trzecia – polowania na tych, którzy ukryli się przed wywózkami) mogła wynosić ok. 1,6 mln osób. Próbujący zbadać temat jeszcze w PRL wieloletni pracownik Żydowskiego Instytutu Historycznego i uczestnik powstania w getcie w Białymstoku Szymon Datner założył, że co dziesiątemu spośród tych ok. 1,6 mln udało się uciec na tzw. stronę aryjską – pozostali, rzecz jasna, zginęli z rąk Niemców.

To pierwsze ważne zastrzeżenie: mamy do czynienia z założeniem, wnioskowaniem statystycznym. „Historyk taki jak Datner, który przejrzał setki dokumentów i badał całe serie indywidualnych relacji, widział, że pewne mechanizmy się w nich powtarzały: jeśli w trzech-czterech badanych gettach uciekła grupa licząca ok. 10 proc., to można przyjąć, że z całego tego terytorium uciekło też 10 proc." – tłumaczy Leociak. Między wynikającą z szacunku Datnera liczbą ok. 160 tys. tych, którzy uniknęli deportacji, a 30-60 tys. tych, którzy zdołali przeżyć po tzw. stronie aryjskiej (w kwestii proporcji między nimi a tymi, którzy zdołali ocaleć w innych miejscach, np. w ZSRR, odsyłam do wywiadu z Leociakiem), brakuje 100-130 tys. Żydów.

> Oskarżani o uprawianie **„pedagogiki wstydu"** badacze mogą ulegać pokusie wykrzyczenia swojego protestu przeciwko zrzucaniu odpowiedzialności za straszliwe czyny części rodaków.

Prof. Grabowski zawyża tę liczbę, powołując się również na Datnera, ale z wywiadu znajdującego się w albumie Małgorzaty Niezabitowskiej i Tomasza Tomaszewskiego „Ostatni. Współcześni Żydzi polscy", w którym naukowiec z ŻIH mówił, że „rzeczywistym, jeśli mi tak wolno wyrazić, problemem dla Polaków było ok. 200-250 tys. Żydów, którzy próbowali się uratować". Grabowski – przyjmując oczywiście, że ucieczką ratowało się 10 proc. tych, którzy przeżyli fazę wywózek, a liczbę ocalałych szacując na 40-60 tys., dochodzi do 200 tys. późniejszych ofiar *Judenjagd* (niemiecka nazwa „polowań na Żydów") i tę liczbę podaje w rozmowach z dziennikarzami.

Co jednak przy tym istotne, i co stanowi drugie zastrzeżenie: fakt, że tylu brakuje, nie oznacza jeszcze, że tylu zamordowali Polacy. „Niewątpliwie część zmarła na skutek potwornych warunków, w jakich się ukrywali od 1942 r. przez kolejne dwa lata" – mówi Leociak. Część zrezygnowała z ukrywania się i wróciła np. do tzw. gett zbiorczych. Po akcjach deportacyjnych Niemcy organizowali obławy na tych, którzy zdołali uciec.

Dopiero w tym miejscu można postawić pytanie o udział Polaków – zarówno tych, którzy uczestniczyli (jako funkcjonariusze policji granatowej, strażacy czy wcieleni do służby budowlanej, Baudienstu) w polowaniach niemieckich, jak i tych, którzy donosili Niemcom o żydowskich kryjówkach lub doprowadzali szukających schronienia na ich posterunki, a w końcu tych, którzy zabijali z własnej inicjatywy. Dokładnych liczb nie poznamy nigdy, choć we wstępie do wydanej przez Centrum Badań nad Zagładą Żydów książki „Zarys krajobrazu" Krzysztof Persak górną granicę liczby ofiar „miejscowych pomocników okupanta" szacuje na 120 tys. Zapewne nie było ich aż tylu – ale z pewnością nie mniej niż kilkadziesiąt tysięcy.

Za kilka tygodni ukaże się kolejna książka Centrum, „Dalej jest noc" – efekt projektu badawczego obejmującego dziewięć dawnych powiatów Generalnej Guberni; o części z nich, dotyczących Miechowskiego, mówił „Tygodnikowi" prof. Dariusz Libionka. Na skutek szerokiej kwerendy, obejmującej świadectwa i dokumenty żydowskie, niemieckie i polskie (także podziemne), znajdziemy tam opisy setek konkretnych ludzkich tragedii. Co prowadzi do zastrzeżenia trzeciego, najważniejszego: tej historii nigdy się nie zrozumie sprowadzając ją do statystyk. W każdą stronę zresztą – składając kilka dni temu kwiaty pod tablicą upamiętniającą Irenę Sendlerową, prezydent Andrzej Duda powtarzał, że uratowała ona tysiące żydowskich dzieci, choć Anna Bikont wykazała, iż także te szacunki są zawyżone.

W debacie o sprawach dotyczących życia i śmierci trzeba być precyzyjnym. Odsądzani często od czci i wiary, oskarżani o uprawianie „pedagogiki wstydu" czy „polityki antyhistorycznej", badacze mogą ulegać pokusie wykrzyczenia swojego protestu przeciwko próbie zrzucenia przez rządzących dziś Polską odpowiedzialności za straszliwe czyny części rodaków w czasie okupacji. Trudno także zachować spokój, gdy np. premier Morawiecki rozmnaża liczbę pomagających Żydom do setek tysięcy. Przystępując do licytacji, nie doprowadzi się jednak do żadnego oczyszczenia. Zresztą: czy kilkadziesiąt tysięcy ofiar czyni tę historię mniej straszliwą, a wynikające z niej nasze dzisiejsze powinności mniej istotne, niż gdyby ofiar było 200 tysięcy? ©℗

ANNA

Dziewit-Meller: *Kinder niespodzianka*

Uwaga – niestety znowu będzie o Żydach, ale tym razem prawie wcale nie będzie o Polsce. No, może poza wstępem, w którym przypomnę, ile radości w pewnych kręgach mogły przynieść wieści ze świata nauki. Oto badacze z Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Bydgoszczy w puli DNA mitochondrialnego (w skrócie mtDNA), pobranego od 2500 osób pochodących z różnych populacji słowiańskich z naszej okolicy, wydzielili tzw. haplogrupy, czyli zbiory cząsteczek mtDNA pochodzących od wspólnego przodka.

Ponieważ – jak czytamy w prasie – mtDNA dziedziczy się tylko w linii żeńskiej, nie dochodzi w nim do rekombinacji materiału genetycznego, nie ma więc domieszki materiału ojcowskiego. Każda haplogrupa ma więc swoją matkę „założycielkę", która pojawiła się w określonym miejscu i czasie. Naukowcom z CM UMK wyszło, że w badanych przez nich haplogrupach występuje szereg mniejszych podhaplogrup, które najprawdopodobniej powstały tu, w naszej wspaniałej Europie Środkowo-Wschodniej. Zdaniem naukowców w odniesieniu do niektórych linii żeńskich możemy więc mówić o ciągłości genetycznej na tym obszarze od epoki brązu aż do naszych czasów.

Ciągłość genetyczna – to brzmi dumnie, zwłaszcza w dobie dbania o czystość. My Słowianie! Ale – uwaga! – nigdy nie wiesz, o dumny potomku Bożygniewów, Mściwojów i Domażyrów, czy jakiś członek rodziny nie spłatał ci przed wiekami figla i nie sprzedał jakiegoś złego pochodzenia, którego byś sobie absolutnie nie życzył. Gdybyś oczywiście miał na to jakiś wpływ.

O tym, że to jednak wielka szkoda, iż nie wybieramy sobie tego, kim się rodzimy, przekonał się Csanád Szegedi, węgierski polityk, jeden z niegdysiejszych liderów Jobbiku, partii, która tak imponuje wielu naszym rodakom. Csanád był królem ksenofobii. Nikt tak wspaniale jak on nie potrafił budzić nienawiści na tle rasowym, nikomu tak dobrze nie szło budowanie wizji świata opartej na konieczności walki z lobby żydowskim, niewielu dorównywało mu w byciu agresywnym antysemitą, który zwalcza „przedsiębiorstwo Holokaust" i któremu blisko do wszelkiej maści negacjonistów. Z dumą stanowił też część Węgierskiej Gwardii Narodowej, paramilitarnej i nacjonalistycznej organizacji, której czarne umundurowanie z emblematami nawiązującymi do tzw. pasu Arpadów odnosiło się wprost do mundurów strzałokrzyżowców. Zdelegalizowane w 2009 r., nieustająco odradza się pod innymi nazwami, a za cel stawia sobie oczywiście „obronę węgierskości".

Szegedi – rzutki i charyzmatyczny młodzian – był idolem ultraprawicowej młodzieży węgierskiej. Lecz – jak powiada mądrość ludowa – nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Powiedzieć, że go zdetronizowano, to nic nie powiedzieć. Stosowną metaforą będzie tu raczej publiczna dekapitacja, z ponownym przyszyciem głowy, a potem odstrzeleniem jej za pomocą haubicy. Oto bowiem znajdujący się jeszcze bardziej na prawo od Szegediego (choć doprawdy nie wiem, jak to możliwe) trolle internetowi zdołali wykryć, że ten grzmiący o zażydzeniu Węgier antysemita i ksenofob to... Żyd. W filmie dokumentalnym „Keep quiet", poświęconym tej fantastycznej pomyłce losu, jest scena, w której troll, który spotkał się z Szegedim, puszcza twórcom filmu nagranie audio z tego doprawdy historycznego spotkania. Chwila, gdy Szegedi dowiaduje się, że węgierskości trzeba bronić również przed nim, jest niesamowita. W grobowej ciszy, która zapadła, słychać niemal, jak wali się z posad świat tego człowieka.

Co gorsza, rewelacje z sieci potwierdza wkrótce pozostająca we względnie dobrej formie babcia Szegediego, która przyznaje wnukowi, że owszem – jest Żydówką, podobnie jak jej rodzice, a także jej córka, czyli jego mama, a co za tym idzie – i on. No i że cała reszta zginęła w Auschwitz, w którym jednak, jak się okazuje, faktycznie zginęło całkiem sporo ludności pochodzenia żydowskiego. Nie mówiła mu nic, bo nie bardzo wiedziała, jak to zrobić, gdy się tak mocno zaangażował w Jobbik. Ale – owszem – było jej strasznie przykro.

Koledzy z Jobbiku wstrzymali oddech. Jeden z nich wyraźnie zagubiony w tej jakże nieoczywistej sytuacji, przez chwilę nawet namawiał Szegediego do pozostania w strukturach jako pożyteczny Żyd („Nie jesteś jakimś zwykłym Żydem, twoja babcia przeżyła Auschwitz, wykorzystajmy to!" – mówił, ale chyba już w momencie wypowiadania tych słów czuł, że coś tu nie gra). W filmie widzimy, jak Szegedi usiłuje podnieść się po całkowitym kryzysie tożsamości. Wszystko, czemu zawierzył swoje życie, zostało mu odebrane, został jak ten Himilsbach z angielskim.

Co jednak najciekawsze, usiłując odbudować siebie po rozpadzie, swoje kroki skierował do synagogi. I tak oto pierwszy neonazista Węgier, w wyniku chichotu losu i zemsty puli genowej, stał się ortodoksyjnym żydem. Nie bez przeszkód jednak – środowiska żydowskie z obrzydzeniem przyjęły jego konwersję, widząc w niej wyłącznie rozpaczliwą próbę podpięcia się pod cokolwiek, byle nie zostać samemu w świecie, który przecież pomógł stworzyć, gloryfikując „węgierskość" w opozycji do wszystkiego, co nią nie jest. Dziś Szegedi mieszka w Izraelu i głosi jego chwałę. Co, ku przestrodze naszym rodzimym amatorom wafelków, przypominam. Nigdy nie wiesz, czy więcej w tobie Mściwoja, czy jednak Abrahama. ©

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 w Radio Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

STANISLAV KRASILNIKOV / TASS / FORUM

TYGODNIK WIARA

ROZWODNICY POD RYGOREM

Polscy biskupi wciąż nie opublikowali zapowiadanych od dawna wytycznych dotyczących komunii dla rozwiedzionych, którzy żyją w nowych związkach. Co jest przyczyną tej zwłoki?

ARTUR SPORNIAK

W internecie trwa akcja zbierania podpisów pod petycją do przewodniczącego Episkopatu abp. Stanisława Gądeckiego, aby biskupi, przygotowując wytyczne dotyczące duszpasterstwa małżeństw i rodzin, zachowali dotychczasowe nauczanie zabraniające dostępu do komunii osobom rozwiedzionym żyjącym w nowych związkach. Wytyczne mają aplikować papieską adhortację „*Amoris laetitia*" do polskich warunków, zatem powinny odnieść się do zaproponowanej w tym dokumencie możliwości dopuszczenia tych osób do komunii. W chwili zamykania numeru pod petycją zebrano już 133 tys. podpisów.

Skąd niepokój inicjatora akcji – ultrakonserwatywnego Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Ks. Piotra Skargi? Przecież polscy biskupi wielokrotnie zastrzegali, że nie widzą możliwości zmiany dyscypliny Kościoła w tej sprawie. Abp Henryk Hoser zapowiadał, że wytyczne będą interpretować „*Amoris laetitia*" w duchu „*Familiaris consortio*" Jana Pawła II. Zatem warunkiem koniecznym dopuszczenia do komunii będzie – jak dotychczas – podjęcie decyzji o życiu „jak brat z siostrą", w pełnej wstrzemięźliwości seksualnej.

W rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym" w czerwcu 2017 r. abp Hoser uznał, że dopuszczenie do komunii rozwiedzionych oznaczałoby zejście na pozycje etyki sytuacjonistycznej. Sama petycja przypomina „zdecydowane stanowisko polskich biskupów, którzy podczas synodów poświęconych rodzinie odważnie stanęli w obronie nauczania Kościoła i duchowego dziedzictwa Papieża Polaka".

Reforma po polsku

Niepokój krytyków papieża, że rozwój wypadków może nie pójść zgodnie z ich życzeniem, jest jednak uzasadniony. Rzeczywiście, początkowo prace nad wytycznymi postępowały bardzo dynamicznie – wydawało się, że lada moment zostaną ogłoszone.

W opublikowanej w kwietniu 2016 r. adhortacji „*Amoris laetitia*" Franciszek stwierdził, że zadaniem kapłanów jest towarzyszenie małżeństwom na drodze rozeznania zgodnie z wytycznymi biskupa. To charakterystyczne podejście Franciszka, który dąży do poszerzenia synodalności Kościoła – chce cedować odpowiedzialność na biskupów. Poza tym stawia sobie za cel jedynie zapoczątkowywanie nowych procesów i pozostawia je własnemu biegowi.

Początkowo spowodowało to zamieszanie – powstało wiele różnych interpretacji adhortacji w kwestii dopuszczania do komunii osób rozwiedzionych. Konserwatywny watykanista Sandro Magister w rozmowie publikowanej w lutowym numerze „W drodze" zauważa: „Franciszek pozwala, aby istniały interpretacje jego dokumentu, które są sobie przeciwstawne". Można dodać: od zupełnie liberalnych po bardzo konserwatywne. Wydawało się pewne, że polskie wytyczne będą należeć do tej drugiej grupy. ↦

↦ „Nadszedł czas, żeby w warunkach polskich powiedzieć, jak ma obecnie wyglądać przygotowanie do małżeństwa i towarzyszenie małżonkom po zawarciu ślubu aż do śmierci" – mówił abp Stanisław Gądecki na początku zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski w marcu 2017 r. Biskupi wysłuchali wówczas opinii dwóch ekspertów. Ks. Jacek Goleń, pracownik Katedry Duszpasterstwa Rodzin KUL, mówił o konieczności zreformowania zgodnie ze wskazaniami „*Amoris laetitia*" pracy przygotowującej narzeczonych do małżeństwa. To przygotowanie powinno być bardziej nastawione na pogłębienie wiary przyszłych małżonków. Zdaniem eksperta dotychczasowy trzymiesięczny kurs dla narzeczonych jest niewystarczający. Z kolei kanonista z UKSW ks. Jan Krajczyński pokazał, na czym powinno polegać rozeznawanie sytuacji nieprawidłowych.

Wystąpienia ekspertów, wypowiedzi samych biskupów zaangażowanych w pracę nad wytycznymi (abp. Hosera i bp. Jana Wątroby, kierującego zespołem redakcyjnym) oraz krajowego duszpasterza rodzin ks. Przemysława Drąga pozwalają wyrobić sobie pogląd na temat kształtu opracowywanego dokumentu. Zreformowany zostanie sposób przygotowania do małżeństwa: stanie się bardziej wymagające dla kandydatów. Odpowiedzialnymi za towarzyszenie osobom rozwiedzionym, rozeznawanie ich sytuacji i proces integracji ze wspólnotą Kościoła staną się proboszczowie. W każdej diecezji powołani zostaną duszpasterze związków niesakramentalnych.

W opublikowanej rozszerzonej wersji referatu ks. Krajczyński postuluje rewizję dotychczasowej dyscypliny kościelnej, jednakże nie w kwestii dostępu rozwiedzionych do komunii, lecz udziału w takich gremiach, jak rady duszpasterskie i synody partykularne („dzięki zaangażowaniu tych ludzi w działalność wymienionych zespołów można będzie lepiej zorganizować samo duszpasterstwo osób rozwiedzionych żyjących w nowych związkach"). Być może postulat ten znajdzie się w wytycznych.

Wstrzymana publikacja

W maju 2017 r. przy okazji obrad Rady Stałej Episkopatu na Jasnej Górze poinformowano, że „trwają prace nad ostateczną redakcją dokumentu". Bp Wątroba ujawnił wówczas strukturę wytycznych: kilkudziesięciostronicowy dokument będzie składać się z trzech części poświęconych przygotowaniu do małżeństwa, duszpasterstwu rodzin oraz związkom niesakramentalnym. W kwestii możliwości przyjmowania komunii przez osoby w „nieregularnych sytuacjach" biskup podkreślił, że w doktrynie Kościoła nic się nie zmieniło. Natomiast rozeznawanie sytuacji takich osób ma pomóc m.in. w upewnieniu się, czy pierwszy związek sakramentalny był zawarty ważnie.

> Jeśli wytyczne ukazałyby się, jak zapowiadano, z utrzymaniem warunku wstrzemięźliwości seksualnej dla rozwodników, oznaczałoby to **publiczne zignorowanie decyzji papieża.**

W czerwcu projekt był praktycznie gotowy. W komunikacie z zebrania plenarnego KEP w Zakopanem (6-7 czerwca) znalazła się informacja: „Po dyskusji projekt wytycznych został skierowany do końcowej redakcji", a trzech biskupów – Gądecki, Hoser i Wątroba – zapewniało dziennikarzy, że wytyczne powinny zostać ostatecznie przyjęte na październikowym zebraniu plenarnym KEP. Tymczasem komunikat z jesiennego zebrania zawierał enigmatyczne zdanie: „Biskupi kontynuowali prace nad dokumentami dotyczącymi duszpasterstwa małżeństw i rodzin". Co się stało?

Zapytaliśmy o to rzecznika Episkopatu ks. Pawła Rytela-Andrianika. Nie chciał on jednak ujawnić szczegółów stanu prac nad wytycznymi. Odmówił także odpowiedzi na pytanie, czy zatwierdzenia dokumentu można się spodziewać na najbliższym, wiosennym zebraniu Episkopatu. – Prace wciąż trwają, nie wiadomo kiedy się skończą – powiedział.

Decyzja papieża

Nietrudno jednak domyślić się przyczyny tego nagłego zahamowania prac. W czerwcu 2017 r. biskupi nie mogli jeszcze wiedzieć, co zamierzył Franciszek. Papież był od czasu opublikowania „*Amoris laetitia*" nieustannie atakowany przez środowiska konserwatywne, domagające się jasnego stwierdzenia, czy otworzył dostęp do komunii dla związków nieregularnych bez warunku powstrzymania się od współżycia. Postanowił zatem odpowiedzieć.

A zrobił to – jak ma w zwyczaju – w niestandardowy sposób. Polecił opublikować w oficjalnym roczniku watykańskim „Acta Apostolicae Sedis" list biskupów regionu Buenos Aires – którzy we wrześniu 2016 r. zaproponowali interpretację adhortacji, a gdy spowodowała ona dyskusję, zapytali prywatnie Franciszka, co o niej sądzi – oraz swoją odpowiedź na ten list. Co prawda, oba listy trafiły do tomu 10/2016, ale towarzyszący im list sekretarza stanu kard. Pietro Parolina informujący o decyzji papieża nosi datę 5 czerwca 2017 r. Zatem dokumenty zostały opublikowane po tej dacie.

Decyzja ta zamyka dyskusję, czy papież rzeczywiście chciał dopuścić do komunii osoby w związkach nieregularnych. „Jeśli dochodzi się do rozpoznania, że w konkretnym przypadku istnieją okoliczności łagodzące odpowiedzialność i winę (por. AL 301-302), szczególnie jeśli bierze się pod uwagę dobro dzieci z nowego związku, »*Amoris laetitia*« otwiera możliwość przystąpienia do sakramentów: pojednania i Eucharystii (por. AL przypisy 336 i 351). One dzięki sile łaski przyczyniają się do dalszego dojrzewania i wzrostu takich osób" – napisali argentyńscy biskupi. Przy czym zastrzegli: „Należy jednak unikać rozumienia tej możliwości jako nieograniczonego dostępu do sakramentów dla osób żyjących w sytuacjach nieregularnych albo uznania, że jakakolwiek sytuacja to usprawiedliwia". Franciszek odpowiedział: „Pismo jest bardzo dobre i w pełni wyjaśnia sens ósmego rozdziału »*Amoris laetitia*«. Nie ma innych interpretacji".

Ponieważ wypowiedzi te trafiły do „Acta Apostolicae Sedis", nabrały charakteru doktrynalnego. Nie można w tej chwili utrzymywać, że papież nie chciał rozszerzyć nauczania zawartego w adhortacji Jana Pawła II „*Familiaris consortio*". To postawiło polskich biskupów w trudnej sytuacji. Jeśli wytyczne ukazałyby się w takiej postaci, jaką zapowiadano, czyli z utrzymaniem warunku wstrzemięźliwości seksualnej, oznaczałoby to publiczne zignorowanie decyzji papieża.

Dlaczego jednak Franciszek, ryzykując zamieszanie doktrynalne, z taką determinacją chce dopuścić rozwiedzionych do komunii?

Dylemat Jana

„Wiem, że gdybyśmy z mężem powstrzymali się od współżycia, mogłabym przystępować do sakramentów. Dla mnie to byłoby warte przemyślenia, ale mój mąż nigdy na to się nie zgodzi. Jesteśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem, więc niech bę-

dzie, jak jest" – pisała Klara, żona rozwodnika. „Raz ksiądz powiedział mojej córce: »Dziecko, życzę ci, byś założyła szczęśliwą rodzinę, nie taką, w jakiej tkwią twoi rodzice«. (...) Bardzo chciałam, by nie była papierowym katolikiem. Ale teraz – po wielu latach – ona jest zrażona do Kościoła, który odrzucił jej matkę" – żaliła się żyjąca w związku niesakramentalnym Katarzyna.

Świadectwa te opublikowane zostały dwadzieścia lat temu w kwartalniku „Post Scriptum" (dodatku do miesięcznika „List"), który w całości poświęcony został małżeństwom żyjącym w związkach nieregularnych. Wtedy wydawało się, że doktryna jest tak niewzruszona, iż dla tych osób nie ma cienia nadziei.

Przytoczmy z tego zbioru jeszcze jedno wyznanie. Jan opowiada, że pierwsze małżeństwa jego i jego drugiej żony „były niefortunne". Natomiast w swoim związku odkryli miłość. „Moja żona – pisał Jan – zmarła w ubiegłym roku na chorobę nowotworową. Osobiście dopilnowałem, by kapłani szpitalni spełnili ostatni wobec człowieka obowiązek. Dostąpiła spowiedzi, komunii świętej i namaszczenia chorych. Odeszła pogodzona z ludźmi i z Bogiem. W styczniu 1997 r. miałem kolejną wizytę duszpasterską, którą przyjmowałem już bez żony. Ksiądz powiedział, że teraz mogę przystępować do sakramentów. Ja jednak odpowiedziałem, że nie mogę, bo wciąż czuję się związany ze zmarłą żoną, tak jak i za jej życia. Tak rzeczywiście jest. Ksiądz był zdziwiony, może nawet oburzony."

Dzisiaj Jan zapewne cieszy się otwarciem przez papieża Franciszka możliwości komunii dla osób żyjących w związkach nieregularnych. Być może nie postrzega już przystępowania do sakramentów jako gestu przekreślania miłości do bliskiej osoby.

Zderzenie wartości

Świadectwa te dobrze pokazują, na czym polega główna trudność z doktryną o nierozerwalności małżeństwa. Nierozerwalność jest niewątpliwie wartością – małżeństwo realizujące się w miłości aż do śmierci jest uprzywilejowanym miejscem rozwoju człowieka, a także najlepszą przestrzenią dla rodzicielstwa. To na pewno ideał, o który należy dbać. Jeśli jednak uczynimy z nierozerwalności normę absolutną – a tak naukę Jezusa odczytuje Kościół – może dochodzić do konfliktu wartości: wartość nierozerwalności może stanąć na drodze wartości rodziny. Kościół od początku miał tego świadomość, czego dowodem jest ustanowienie już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa instytucji separacji.

> Zdarzają się sytuacje, że nie ma wyjścia i każde rozwiązanie wiąże się ze złem moralnym: albo wystąpimy przeciwko nierozerwalności małżeństwa, albo **przeciwko dobru nowej rodziny.**

Zdarzają się sytuacje, że nie ma wyjścia i każde rozwiązanie wiąże się ze złem moralnym: albo wystąpimy przeciwko nierozerwalności małżeństwa, albo przeciwko dobru nowej rodziny. Zwróćmy także uwagę na to, że perspektywa osób uwikłanych w trudne sytuacje jest inna niż obrońców nierozerwalności małżeństwa. Dla tych pierwszych zawsze silniejszym moralnie wezwaniem będzie ochrona najbliższych przed krzywdą niż obrona jurydycznej koncepcji węzła małżeńskiego, odwołującej się do katolickiej teologii małżeństwa.

Ignorowanie rzeczywistych dylematów, przed którymi stają osoby w sytuacjach nieregularnych, np. przez domaganie się stanięcia po stronie nierozerwalności, sprawia, iż sakrament małżeństwa zaczyna bardziej przypominać klątwę niż źródło dobrodziejstw. Ostatecznie prowadzi do obrazu Boga, który zakłada pułapkę na słabego człowieka. Tym bardziej że w Kościele ciągle dość łatwo zawrzeć małżeństwo, jeśli nie ma przeszkód kanonicznych, także w sposób niefrasobliwy – do ważności węzła wystarczy mieć dość oględne pojęcie o małżeństwie, nie trzeba zdawać sobie sprawy z tego, jak trudne jest to powołanie. Poważne błędy szybko stają w zasięgu ręki (np. zignorowanie pierwszych kryzysów). Potem niczym kula śniegowa nieporozumienia nawarstwiają się i pracują przeciwko miłości.

Kłopot z doktryną

Czy oznacza to, że Kościół powinien zrelatywizować nauczanie o nierozerwalności małżeństwa? Uważam, że byłby to błąd. Nie można ignorować słów Jezusa: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela". Zwłaszcza że miały one wówczas wyraźnie kontrkulturową wymowę – Jezus zbyt wiele ryzykował, by ten trudny wymóg miał być błahą sprawą. I ta kontrkulturowość nierozerwalności powinna stanowić dla nas nieustanne wyzwanie.

Nie oznacza to jednak, że możemy ignorować rzeczywistość ludzkiej słabości. Niestety doktryna dotychczas w niewystarczający sposób uwzględniała realne dylematy moralne katolików w drugich związkach. I to jest prawdziwa przyczyna obecnego zamieszania w Kościele. Nie chodzi o to, by zaprzeczać nierozerwalności, ale też nie możemy pomniejszać wartości, które chcą chronić nowe związki, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z osobą porzuconą lub wychowującą dzieci. Uznając rzeczywisty konflikt tych wartości, łatwiej dostrzeżemy „uwarunkowania i okoliczności łagodzące", które zdaniem papieża, zdejmują winę i umożliwiają – po roztropnym zbadaniu i długotrwałym towarzyszeniu – dostęp do komunii.

Franciszek zdaje się po prostu głębiej dostrzegać powagę tych dylematów i jest wyczulony na ich skutki dosięgające ludzi. Można powiedzieć, że po Soborze Watykańskim II jest pierwszym papieżem miłosierdzia, który tak rozumie swoją misję. „Duszpasterstwo w kluczu misyjnym nie ma obsesji na punkcie niespójnego przekazu doktryn, które próbuje się narzucić. Gdy przyjmujemy cel duszpasterski i styl misyjny, który rzeczywiście dotarłby do wszystkich bez wyjątku i bez wykluczeń, to przepowiadanie skoncentruje się na tym, co istotne, na tym, co jest piękniejsze, większe, bardziej pociągające i jednocześnie bardziej potrzebne" – pisał Franciszek w programowej adhortacji „*Evangelii gaudium*". „Rozumiem tych, którzy wolą duszpasterstwo bardziej rygorystyczne, niepozostawiające miejsca na żadne zamieszanie. Szczerze jednak wierzę, że Jezus Chrystus pragnie Kościoła zwracającego uwagę na dobro, jakie Duch Święty szerzy pośród słabości" – zauważa w „*Amoris laetitia*".

Co zrobią biskupi

W kwestii ostatecznego kształtu polskich wytycznych na razie skazani jesteśmy na spekulacje. Niewykluczone jednak, że polscy biskupi wykorzystają do pewnego stopnia pomysł Franciszka. Na przykład w głównym tekście znajdzie się przestroga przed świętokradczym przyjmowaniem komunii, a w przypisie – informacja, że w niektórych sytuacjach duszpasterz, po wnikliwym rozeznaniu i długotrwałym towarzyszeniu oraz za zgodą biskupa, zezwoli na udział osoby w sytuacji nieregularnej w sakramencie Eucharystii. ©℗

ARTUR SPORNIAK

Katedry wśród minaretów

TEKST I ZDJĘCIA MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z TURCJI

Niektóre pamiętają pierwszych chrześcijan, inne to pamiątka po Grekach i Ormianach. Tylko niektóre doczekały się renowacji i wzmianki w przewodniku. Większość niszczeje.

Kościół? Łatwo trafić. W górę rzeki, w prawo i już, jakieś pięć minut drogi – mówi dozorca w ciemnym uniformie i wskazuje ręką kierunek. Jestem w Akşehir, niewielkim miasteczku w prowincji Konya. Wychodzę z cmentarza, gdzie znajduje się mauzoleum najbardziej znanego tutejszego mieszkańca, XIII-wiecznego filozofa Hodży Nasreddina, o którym tureckie dzieci uczą się w szkołach, i z mapką w ręku ruszam chodnikiem wzdłuż rzeczki.

Według mapki i życzliwego dozorcy powinnam być już na miejscu, ale kościoła wciąż ani śladu.

– Tu za rogiem w prawo, potem w lewo. Ale to daleko, dziecko, lepiej weź taksówkę – radzą dwie starsze panie w obszernych szarawarach, które zagaduję o drogę. Ruszam i po chwili docieram jednak na miejsce. Nieotynkowana budowla różni się od pozostałych, słońce wydobywa z wyblakłych cegieł nieco czerwieni. Tu, gdzie spodziewałam się wejścia, jest owalna ściana prezbiterium.

Obchodzę budynek i zaglądam przez drzwi, zza których dochodzi hałas. W środku jest jasno, białe ściany dosłownie świecą w promieniach wpadającego przez liczne okna słońca. Na środku sterta desek i betoniarka, do której robotnik z papierosem w zębach sypie piasek. „Odnawiają!" – myślę uszczęśliwiona i zagaduję do mężczyzny, który wypluwa i czubkiem buta gasi niedopałek. Wraz z nim gaśnie mój optymizm. Odnawiają, owszem, ale pobliski budynek. W zrujnowanym kościele urządzili sobie mieszalnię betonu.

Przetrwały tylko cegły

W 1862 r., gdy powstał niszczejący dzisiaj kościół Świętej Maryi Panny, okolice Akşehir zamieszkiwało co najmniej kilkuset chrześcijan narodowości ormiańskiej. Obok kościoła znajdowała się plebania (dziś mieści się w niej szkoła podstawowa). Na stronach poświęconych ormiańskiej ludności Anatolii znajduję nawet nazwiska księży, którzy pełnili tu posługę. Był więc ks. Haygazn Torkomyan, ks. Sukias Karkaryan i ks. Arandzar. Dwaj pierwsi zginęli podczas „przesiedlenia", jak w Turcji mówi się na rzeź Ormian, o ostatnim wiadomo tylko, że też musiał uciekać.

21 sierpnia 1915 r. – czytam na stronie Armenian On Web – tysiące Ormian zostało wypędzonych na stepy Konyi. Czy byli wśród nich księża z Akşehir i ich wierni? A może uciekali później? Nie dowiem się tego, bo ci, którzy opisują w internecie poszczególne ormiańskie osady i kościoły, na żywo nie chcą rozmawiać. Sprawa ludobójstwa Ormian to wciąż w Turcji drażliwy temat. Nie brak nad Bosforem takich, którzy wierzą, że ich kraj pełen jest potomków ormiańskich chrześcijan, którzy tylko udają, że przeszli na islam. Obowiązujące od przeszło roku przepisy o stanie wyjątkowym nikogo nie nastrajają do zwierzeń. O niszczejących zabytkach nie chcą

Kościół „winogronowy" w Niğde

rozmawiać nawet pracownicy stambulskiego Patriarchatu Kościoła Ormiańskiego. Co zresztą mieliby powiedzieć? Obietnic, że pełne niegdyś kościoły zostaną odnowione, słyszeli już mnóstwo.

Kilka lat temu składał je również ówczesny burmistrz Akşehir. Miastem rządzi już ktoś inny, a prace wciąż się nie rozpoczęły. W sierpniu lokalne gazety znów napisały, że kościół zostanie jednak wyremontowany. Obecny burmistrz dr Salih Akkaya planuje stworzyć w budynku kościoła centrum kultury. Dawna plebania zamieniona zostanie w hotel. Listy intencyjne w tej sprawie już podpisano, a pieniądze w budżecie – zarezerwowano.

Garaż pod krzyżem

Kościół z Akşehir dawno już stracił pierwotną funkcję, z remontem zyska nowe życie i na powrót wypełni się ludźmi. Zapewne znajdzie się też miejsce na informację, że to dawna chrześcijańska świątynia. XVIII-wieczny kościół w Tekkeköy (prowincja Samsun) nie zmienił przeznaczenia. Zmienili się jedynie wierni – w meczet zamienili go lokalni muzułmanie.

Nie wszystkie miejsca kultu mają tyle szczęścia. W Bitlis opuszczoną ormiańską świątynię planowano zamienić w miejskie muzeum, ale nie pomogła nawet wizyta arcybiskupa Arama Ateşyana. Po puczu wojskowym z 2016 r. kilka osób zaangażowanych w projekt zostało aresztowanych, inne straciły stanowiska. Zamiast muzeum jest więc „parking" dla ciężarówek z pobliskiej budowy, a ciężki sprzęt dzień po dniu uszkadza te ściany budynku, które jeszcze pozostały. Losy kościoła w wiosce Gez wciąż nie są przesądzone. Kilkakrotnie przymierzano się do jego wyburzenia, lecz organizacje zrzeszające pozostałych w Turcji Ormian protestowały, bo – jak twierdzą – traktat pokojowy podpisany w 1923 r. w Lozannie zakazuje wyburzania i wykorzystywania niezgodnie z przeznaczeniem dawnych miejsc kultu czy cmentarzy. Tymczasem niektóre wydziały ksiąg wieczystych kwalifikują dawne ormiańskie ziemie jako nieużytki, a budynki jako pustostany. Jakiś czas temu władze prowincji Erzincan sprywatyzowały budynek dawnego ormiańskiego klasztoru w wiosce Tortan oraz ziemię, na której stoi. By zorganizować nabożeństwo, ormiańska mniejszość musi każdorazowo występować o stosowne pozwolenie do... szesnastu nowych właścicieli.

Czy to samo stanie się z kościołem w Gez? Batalia trwa, chętnych do zapłacenia za ewentualną renowację brak. Świątynia z szarego kamienia niszczeje, podczas gdy tuż obok powstają nowe bloki.

Nie modlić się, teren prywatny

Nie wszystkie kościoły w Turcji zniszczył jednak człowiek. Te we wsiach Mudurga, Müdürge i Çayırtepe w prowincji Erzurum po prostu się rozpadły. Przed dwoma laty trzęsienie ziemi zniszczyło datowany na 1867 r. kamienny kościółek Zbawiciela – ostatnią pamiątkę po Ormianach w miejscowości Kığı. Z dwóch kościołów w wiosce Germuş, oddalonej o jakieś 10 kilometrów od miasta Şanlıurfa, znanego niegdyś centrum chrześcijaństwa syryjskiego, został już tylko jeden. On też przez lata niszczał, odwiedzany jednak często przez turystów. Z tego powodu władze regionu zaczęły rozważać jego renowację. „Odnowienie kościoła będzie z pożytkiem dla turystyki. Chcielibyśmy też, aby na powrót stał się miejscem kultu dla chrześcijan" – mówił nadzorujący prace Mehmet Güzeler portalowi Urfanatik.

Tak dzieje się jednak rzadko i wcale nie dlatego, że tureckie władze miałyby coś przeciwko. Paradoksalnie właśnie w ostatniej dekadzie, gdy zelżał nacisk na świeckość kraju, wiatr w żagle złapali nie tylko stanowiący większość mieszkańców kraju muzułmanie, ale i przedstawiciele innych wyznań. Tworząc tzw. derneki, czyli stowarzyszenia, wspólnoty religijne zyskują osobowość prawną. To ułatwia ↦

Kościół ormiański w Akşehir

↦ regulowanie spraw własności czy dzierżawy. Rzecz w tym, że najczęściej chrześcijańskie wspólnoty religijne nie dysponują po prostu wystarczającymi środkami, by na własną rękę przeprowadzić remont. Jeśli zaś zrobi to państwo, to ono ma ostatnie słowo w kwestii użytkowania budynku. Na przykład efeskie ruiny bazyliki św. Jana czy kapadockie skalne kościoły zakwalifikowane są jako państwowe *acik hava muzesi* (muzea na wolnym powietrzu), jednak – za zgodą władz – odbywają się tam nabożeństwa.

Bilet do nieba

Przekształcenie kościoła w muzeum nie jest jednak gwarancją, że państwo zadba o budynki czy ich ruiny. Czasem po prostu za kilka lir kupuje się bilet, a następnie patrzy, jak czas, pogoda i wandale obracają je w proch. Kilka takich przykładów jest w słynnej turystycznej prowincji Muğla. Wystarczy wsiąść na turystyczny stateczek, by dopłynąć do Wyspy św. Mikołaja. Po zejściu na ląd trafiamy przed zwykły stoliczek. Bileter inkasuje pięć lir, z przykrytego niewielkim kamykiem (ochrona przed wiatrem) stosu wyciąga bilet i wskazuje drogę. Nie ma tu, jak w innych muzeach na wolnym powietrzu, bramek. By zwiedzić ruiny jedenastu (!) powstałych między V a XIII wiekiem bazylik i podziwiać wyblakłe fragmenty zachowanych fresków, wystarczy po prostu piąć się w górę. W latach 90. prace archeologiczne prowadzili tu Japończycy z uniwersytetu w Osace, łatwo jednak o wrażenie, że władze prowincji nie przywiązują specjalnej wagi do skarbu, który jest ich własnością. Zachowane ściany świątyń nie są pomazane sprejem głównie dlatego, że to wyspa, na którą najpierw trzeba dopłynąć. Łatwo natknąć się za to na śmieci leżące obok podniszczonych tabliczek informacyjnych.

Do kościoła w Kayaköy – osadzie opuszczonej przez Greków (wieś pod koniec XIX wieku spustoszyły pożar i trzęsienie ziemi, w 1923 r. zaś nastąpiła wymiana ludności między nowo powstałą Republiką Turecką a Grecją, w wyniku której opuścili ją ostatni mieszkańcy) – w ogóle nie sposób się dostać. Za wstęp na teren wioski również płaci się pięć lir, między dziesiątkami rozsianych na wzgórzu kamiennych ścian spacerują powolne żółwie i biegają jaszczurki. Kościół jednak (o dziwo zachowany w znacznie lepszym stanie niż reszta budynków) ostatnio został ogrodzony, strzeże go tabliczka z zakazem wstępu. Zachwycające żebrowe sklepienie, masywne kolumny i absydy podziwiam tylko na zdjęciach. W przyszłości może się to zmienić, gdyż mieszkańcy pobliskiej miejscowości Fethiye wystąpili o wpisanie wsi na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Jeśli kościół dotrwa (w minionym roku egejskie wybrzeże Turcji nawiedziło kilka trzęsień ziemi), być może znów będą

Kościół na Wyspie św. Mikołaja

w nim odprawiane msze, zwłaszcza że chrześcijan (głównie przyjezdnych, którzy nabyli tu działki i domy letnie) jest w tym regionie sporo.

Księża do meczetów

Grecy to po Ormianach kolejna grupa chrześcijan, którzy z Turcji praktycznie zniknęli, pozostawiając po sobie puste świątynie. Şirince, wioska położona w górach otaczających dawny Efez, przez Greków zamieszkana była już w XV wieku. Wybudowany tam kościół św. Jana Chrzciciela nie jest aż tak stary, powstał w 1832 r. Gdy przed pięciu laty odwiedziłam go po raz pierwszy, w środku straszyły zaniedbane mury, jedyny zaś zachowany fragment ściennych malowideł chroniła przezroczysta płyta pleksi. Po renowacji świątynia odzyskała dawną funkcję, regularnie odbywają się w niej nabożeństwa, a obchody narodzin i męczeństwa patrona bywają – dowiaduję się od polskich zakonników pełniących posługę w nieodległym sanktuarium Meryem Ana Evi – wyjątkowo huczne i mają charakter ekumeniczny. Przed dwoma laty mszę koncelebrowali tu wspólnie hierarchowie katoliccy i prawosławni.

Wierni i turyści mają nadzieję, że podobnie stanie się z liczącym dokładnie 160 lat greckim *üzümlü kilisesi* (kościołem „winogronowym", zwanym tak od ozdabiającego wejście wykutego w kamieniu motywu winogron). Świątynia ulokowana w kapadockim miasteczku Niğde, dokładnie naprzeciwko wyjścia ze słynnego podziemnego miasta, natychmiast przyciąga wzrok. Nieczęsto widuje się w Turcji dzwonnice, a tutejsza zachowała się w doskonałym stanie. I ten zachwycający architekturą oraz malowidłami ściennymi kościół niszczeje, zazwyczaj zamknięty na kłódkę (jedyne nabożeństwo w roku odbywa się tu w ostatnią niedzielę maja). Ściany okalającego go muru od góry do dołu pokryte są bazgrołami. Prócz tradycyjnych „Mehmedów kochających Ayse" znajdziemy też napisy świadczące o tym, że nie wszyscy mieszkańcy zadowoleni są ze spadku po wysiedlonych prawosławnych Grekach. „Księży nie ma, poszli do meczetu" – głosi jeden z bardziej wyważonych napisów. O rychłej renowacji świątyni tureckie gazety pisały już cztery lata temu, jednak od tamtej pory nic się nie wydarzyło. Przybyło tylko bazgrołów.

Kłopot z chrześcijańskimi świątyniami w Turcji jest jeszcze jeden. Czasami niszczeją, bo brak jest wiernych i księży, którzy mogliby się nimi opiekować. Izmirski kościół św. Heleny przez kilka ostatnich lat zamknięty był na cztery spusty. Ta „krótka" przerwa w użytkowaniu świątyni wystarczyła, by zawaliła się część dachu, a ulewne deszcze zalały ściany. Kilka miesięcy temu w osobie ks. Dariusza tutejsza wspólnota zyskała duszpasterza, a kościół gospodarza. Remont ruszył, a msze odbywają się regularnie przy aprobacie muzułmańskiej społeczności.

Pozostałe świątynie będą zapewne musiały czekać, aż lokalne władze zrozumieją, że dbałość o kościoły chrześcijańskie może przynieść zysk i ściągnąć do muzułmańskiej Turcji jeszcze więcej turystów i pielgrzymów. Lokalni mieszkańcy już to wiedzą. Przed wejściem do miasteczka Kayaköy stoją kramy z błyskotkami i kapciami wydzierganymi na szydełku, a prowadząca prowizoryczną knajpkę starsza pani w chuście z daleka zaprasza na herbatę. ©

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Służyć czy strzec

JÓZEF MAJEWSKI

Trwa przestrajanie stylu działalności Kongregacji Nauki Wiary – to wniosek, który płynie z kolejnego spotkania Franciszka z watykańską strażniczką ortodoksji.

VATICANNEWS.VA

Abp Luis Francisco Ladaria, prefekt Kongregacji Nauki Wiary

Jest najstarszą i najważniejszą z dziewięciu kongregacji watykańskich, szczególnym narzędziem papieża w głoszeniu i strzeżeniu doktryny Kościoła. O wadze tej dykasterii świadczy fakt, że jej prefekt, Joseph Ratzinger, został w 2005 r. papieżem. Dowodzi też tego praktyka ukształtowana za Jana Pawła II: wszystkie kurialne dykasterie przed publikacją swoich dokumentów muszą je przedkładać Kongregacji Nauki Wiary (KNW) do doktrynalnej oceny.

Dyscyplina duszpasterska

Pierwsze spotkanie Franciszka z KNW, przy okazji jej styczniowej sesji plenarnej, odbyło się w 2014 r. Papież delikatnie, acz klarownie wyjawił wówczas, jak widzi jej pracę: „od najwcześniejszych dni Kościoła istniała pokusa ideologicznego ujmowania doktryny czy redukowania jej do zbioru abstrakcyjnych i statycznych teorii". Tymczasem doktryna wiary to coś konkretnego i dynamicznego, a jej jedynym celem jest „służba życiu Ludu Bożego i zapewnienie wierze mocnego fundamentu". Papież podkreślił też, że badanie ortodoksji teologów „jest bardzo delikatnym zadaniem", które zakłada „konieczność konstruktywnego dialogu i cierpliwości. Jeśli prawda domaga się wierności, to zawsze wzrasta dzięki miłosiernej i braterskiej pomocy tym, od których wymaga się pogłębienia i rewizji poglądów".

W styczniu 2016 r. papież stwierdził, że ostatecznym źródłem i uzasadnieniem zadań powierzonych KNW jest miłosierdzie Boże, bo „chociaż Bóg w sobie jest tajemnicą, Jego efektywne miłosierdzie stało się w Jezusie miłosierdziem afektywnym". Oznacza to, że „wiara chrześcijańska nie jest tylko wiedzą do przechowywania w pamięci, ale prawdą, by żyć w miłości".

Z kolei w kwietniu 2017 r. Franciszek mianował prefektem KNW, w miejsce konserwatywnego kard. Gerharda L. Müllera, abp. Luisa Francisca Ladarię SJ, człowieka „teologicznego środka". Kilka miesięcy wcześniej postawił go na czele watykańskiej komisji studiującej kwestię diakonatu kobiet.

26 stycznia 2018 r. Franciszek, w zwyczajowo krótkim, dwustronicowym przemówieniu, aż pięć razy użył słowa „duszpasterski" i raz „pasterz". Doktrynalna i dyscyplinarna misja Kongregacji ma – powiedział – „wybitnie duszpasterski" charakter. „Autentycznymi duszpasterzami są ci, którzy nie porzucają człowieka (...) w sidłach dezorientacji i błędów, ale z pomocą prawdy i miłosierdzia na powrót prowadzą go do odkrycia jego prawdziwego oblicza w dobru".

Przesadna centralizacja

Franciszek wyraził wdzięczność KNW za codzienne zaangażowanie „we wspieraniu nauczania biskupów", czyli Magisterium Kościoła. Innymi słowy: Kongregacja nie wyrasta ponad biskupów, ale im służy. To charakterystyczny rys Franciszkowego myślenia.

W 2014 r. papież akcentował współpracę KNW z biskupami Kościołów lokalnych, jak też z komisjami doktrynalnymi konferencji episkopatów. Dwa lata później mówił o konieczności promowania kolegialności i synodalności (współpraca, wspólny namysł i decydowanie) na wszystkich poziomach życia kościelnego, czego przykładem – podkreślił – jest spotkanie Kongregacji z przedstawicielami komisji doktrynalnych konferencji episkopatów Europy w 2015 r., by wspólnie zająć się doktrynalnymi i duszpasterskimi wyzwaniami współczesności. Franciszek wezwał KNW, „by kontynuowała i wzmacniała współpracę z organami doradczymi, które pomagają konferencjom biskupów i indywidualnym biskupom w ich trosce o świętą doktrynę w czasach gwałtownych zmian i rosnącej złożoności problemów".

We Franciszkowym akcentowaniu służebnej roli watykańskiej strażniczki ortodoksji można również usłyszeć przesłanie skierowane do samych biskupów: że KNW nie jest po to, by zastępować ich – i konferencje episkopatów – w nauczaniu, ale by ich wspierać. W ostatnich czterech dekadach gwałtowne zmiany w świecie i Kościele lawinowo generowały nowe, a trudne problemy teologiczne, etyczne i doktrynalne, prowadząc do sporów. W tej sytuacji część biskupów, obciążonych codziennymi zadaniami i niemających odpowiedniego zaplecza teologicznego, odpowiedzialność za rozwiązywanie problemów zaczęła cedować na KNW. W rezultacie – i wbrew intencjom II Soboru Watykańskiego, któremu leżała na sercu decentralizacja Kościoła – rosło teologiczno-doktrynalne znaczenie tej kongregacji i w ogóle rzymskiego centrum, gdzie z kolei – o czym przekonywali tacy kardynałowie, jak Walter Kasper, Godfried Danneels, Franz König czy Carlo Maria Martini – zaczęły odradzać się przedsoborowe, centralistyczne tendencje.

Franciszkowi w relacjach z KNW wyraźnie chodzi o decentralizację Kościoła. To jeden z kluczowych punktów jego programu, wyłożonego w adhortacji „*Evangelii gaudium*" (nr 16 i 32): „Nie jest stosowne, żeby papież zastępował lokalne episkopaty w rozeznaniu wszystkich problemów wyłaniających się na ich terytoriach. W tym sensie dostrzegam potrzebę przyjęcia zbawiennej »decentralizacji«. (...) Przesadna centralizacja zamiast pomagać, komplikuje życie Kościoła". ©

Z perspektywy wygnania

SZYMON HIŻYCKI OSB

Czy mnisi i święci z początków Kościoła mogą nas czegoś nauczyć? Przyjrzyjmy się im w Wielkim Poście – dzisiaj kilka uwag o św. Atanazym Wielkim.

DOMENA PUBLICZNA

Maestro de San Ildefonso, „Św. Atanazy z Aleksandrii", Museo Nacional de Escultura, Valladolid, Hiszpania

O ile jakoś radzimy sobie pośród powodzenia i lubimy odnosić sukcesy, o tyle dużo trudniej przychodzi nam przyjąć porażki śmiałych planów i fiasko mniej lub bardziej wytrwałej pracy. Życie nie jest romansem. W tych nieromantycznych okolicznościach trzeba badać, jak nie tyle mężnie porażki znosić, co umiejętnie na swoją korzyść je obracać.

Święty Atanazy z Aleksandrii (ok. 295–373) angażował się w dyskusje, które w dużej mierze ukształtowały świat, w jakim żyjemy. Już samo to pokazuje, jak wielkie napięcie charakteryzowało jego życie. O ileż inaczej potoczyłaby się historia, gdyby nie została przez niego napisana pierwsza biografia mnicha – „Żywot św. Antoniego"? Co by się stało z Kościołem, gdyby nie triumf wyznania wiary w prawdziwe bóstwo Chrystusa, zdefiniowane w Nicei, o które św. Atanazy tak wytrwale walczył? Dzisiaj, kiedy sprawy ortodoksji czy heterodoksji są dla nas kwestią drugorzędną, może i tej cnocie, czyli czystości wiary, warto przyjrzeć się bliżej. Nasz bohater miał najwięcej kłopotów z tego właśnie powodu. A że sam łatwego charakteru chyba raczej nie miał (swoją drogą warto podkreślić, że wielu świętych mężów czasów starożytnych to raczej rogate dusze), nie sprzyjało to uspokojeniu sytuacji. Na dodatek toczył spory z melecjanami, czyli schizmatycką grupą, która nie uznawała oficjalnej hierarchii kościelnej, uważając, że są to ludzie wyświęceni przez tych, którzy zaparli się wiary w czasie prześladowań, i tworzyła własną – tę prawdziwą i świętą. Cóż, jak widać, święci i świętsi w Kościele są od bardzo, bardzo dawna...

Jak Atanazy wykorzystywał spotykające go trudności?

Zacznijmy od tego, że aż pięć razy musiał opuszczać Aleksandrię i udawać się na wygnanie. Zróbmy krótką statystykę: biskupem był 45 lat, wyganiano go pięć razy (w tym jeden raz ukrywał się na egipskiej pustyni, prawdopodobnie pośród mnichów; źródła pokazują nam żołnierzy wysłanych na poszukiwania go i nakazujących przysięgać całym wspólnotom, że nie ukrywają Atanazego ani nie wiedzą o miejscu jego pobytu), na wygnaniu spędził w sumie 17 lat. Dodajmy: wielokrotnie w ciągu tych lat groziła mu śmierć; układ, który chciał go odsunąć, wydawał się z betonu. Po co tracić życie? Cóż, i święty straciłby cierpliwość; no, chyba że jest się św. Atanazym. Przez ten czas nasz bohater nie tylko nawiązał liczne kontakty z ludźmi, którym podobnie jak i jemu bliskie było ortodoksyjne wyznanie wiary w bóstwo Chrystusa, ale przede wszystkim poświęcał się pisaniu. W latach wygnania, najprawdopodobniej, powstał „Żywot św. Antoniego", bestsellerowe dzieło (według pewnego niemieckiego badacza z XIX w. najbardziej niebezpieczna książka kiedykolwiek napisana), które przemieniło we wspólnocie Kościoła myślenie o tym, co to znaczy być świętym i jak wejść do nieba. Wcześniej czczono męczenników; św. Atanazy pokazał inny typ bożego człowieka: ascetę, który z miłości do Boga udaje się na pustynię i z miłości do ludzi poświęca im czas, udziela duchowych rad, modli się za nich i z nimi pracuje. Czy nasz biskup miałby czas na przemyślenie i napisanie tych wszystkich dzieł („O Wcieleniu", „Mów przeciwko arianom", „Historii arian" i wielu innych), gdyby przytłoczony obowiązkami biskupa stale rezydował w Aleksandrii?

Skoro i my czasem musimy pójść na wygnanie, ktoś nas nie słucha, dzieje się cokolwiek nie po naszej myśli, może to szansa jak u św. Atanazego – zmień perspektywę myślenia, zajmij się czymś, o czym do tej pory nie myślałeś, bądź wierny swoim poglądom, a jednocześnie staraj się je przemyśleć i znaleźć argumenty (może wówczas zrozumiesz jakiś błąd?). Może takie wyzwanie pozwoli ci zobaczyć i zrozumieć coś, co w innych warunkach byłoby przed tobą na zawsze ukryte. ©

O. SZYMON HIŻYCKI *(ur. 1980) jest opatem klasztoru benedyktynów w Tyńcu, patrologiem i badaczem początków monastycyzmu.*

SZYMON

Hołownia:
Nadzieja kontra rozpacz

Trafiła mi ostatnio w ręce przegapiona parę lat temu mini-autobiografia Heleny Kazimirczak-Połońskiej. Ta Rosjanka (urodzona w 1902 r. na Wołyniu, zmarła 90 lat później w Petersburgu) była astronomką, badaczką ruchu komet, zaś w latach 50. i 60. XX w. – pionierką wdrażania w nauce bloku wschodniego elektronicznych technik obliczeniowych. Książkę zatytułowano „Modlitwa otwiera niebo", choć jest to raczej opowieść o tym, że modlitwa często nieba jednak nie otwiera. O najtragiczniejszym momencie jej życia – gdy w 1948 r. w jakimś koszmarnym jak z horrorów, prowincjonalnym szpitalu zakaźnym na sowieckiej Ukrainie umierał jej jedenastoletni syn – Połońska pisze, że „nie miała siły zamienić się w modlitewny płomień, płomienną strzałę, która przebiłaby Niebo"; że „czuła dotykiem duchowym, że przed Bogiem jest mur nie do przebicia, a jej modlitwa wraca do niej jak fala odbita od Nieba".

Mały Sergiusz umiera na poszkarlatynową sepsę. W szpitalnej kostnicy nie ma nawet prześcieradła, by okryć ciało chłopca. Kładą go, nagiego, na podłodze, a matka nie przestaje robić sobie wyrzutów, że nie dość troszczyła się o jego zdrowie, pochłonięta walką o to, by synowi i mieszkającej z nimi starej matce udało się przeżyć kolejny dzień. Helena pracuje wtedy po 18 godzin dziennie, wykładając na uczelni pedagogicznej w Chersoniu. Sypia – z zegarkiem w ręku – po dwie godziny na dobę. W przerwach między wykładami biega z obiadami z uczelnianej stołówki, aby nakarmić niesamodzielną matkę.

Dyrekcja szkoły oczekuje, że katorżniczym wysiłkiem przykryje brak zaangażowania ideologicznego – Połońska otwarcie mówi, że jest wierząca. To na nią partia składa odpowiedzialność za przygotowanie odpowiedniej liczby młodzieży robotniczo-chłopskiej do studiów wyższych. Jest zmuszana do pisania i wystawiania ze studentami agitacyjnych przedstawień, wygłaszania referatów z marksizmu-leninizmu. Mimo to po śmierci Sergiusza władze informują ją, że jeśli pogrzeb będzie miał charakter religijny, straci pracę. Połońska zgadza się na świecki pogrzeb. Nabożeństwo za zmarłego odprawia się w nocy, w domu prawosławnego księdza, on też potajemnie idzie następnego dnia na grób, by dopełnić obrzędów. Połońska kończy rok akademicki, organizuje opiekę matce i załatwia sobie pracę w Instytucie Astronomii Teoretycznej Akademii Nauk ZSRR w Leningradzie, dokąd natychmiast wyjeżdża.

Po paru latach zostaje aresztowana pod zarzutem szpiegostwa. Zwolniona z kazamatów wraca na Ukrainę, wykłada w Odessie. Po śmierci Stalina wraca do Leningradu, sowieckie władze pozwalają jej wreszcie zrobić doktorat (który już raz, z wyróżnieniem, obroniła w 1934 r. na Uniwersytecie Warszawskim – sowiecka komisja ds. tytułów naukowych uznała jednak, że taki burżuazyjny papier nie jest wiele wart).

Jej Alma Mater był jednak uniwersytet we Lwowie. Do Warszawy przeniosła się w 1932 r., tam poznała męża, ichtiologa Leona Kazimirczaka. Po wybuchu wojny wyjechała z synem do Lwowa, do stolicy wróciła w 1944 r., gdzie rodzinę podzielił wybuch powstania warszawskiego. Połońska natychmiast rusza na poszukiwanie męża i matki. Setki kilometrów przebytych na piechotę, z poranionymi i przemarzniętymi nogami, wchodzenie do i uciekanie z obozów, przebijanie się do spalonej Warszawy, walka o cokolwiek, co można by wymienić na jedzenie. Matkę udaje się znaleźć, mąż okazuje się być zesłany na roboty do Austrii. Połońska decyduje, że weźmie udział w powojennej repatriacji do ZSRR. Sowieci rzecz jasna obiecują złote góry, na miejscu okazuje się jednak, że nie czeka nic. Gdy wydaje się, że nadludzkim wysiłkiem udało się już połączyć elementy układanki, że odtąd będzie już z górki, przychodzi kolejny kataklizm: złodzieje czyszczą mieszkanie (niewielki pokój) Połońskiej ze wszystkiego z meblami włącznie, kradną miesięczny przydział kartek żywnościowych albo kwartalną pensję, przyjęci z dobrego serca dzicy lokatorzy nie chcą się wyprowadzić, a w końcu – wszystko trawi pożar. Połońska pracuje więc w składziku na węgiel. W jednej ręce trzyma lampę naftową, drugą przewraca kartki, za biurko służy jej taboret. Nie je, żeby tylko mieć na sok ze świeżych owoców dla dziecka, nie ma kiedy wyleczyć zakażeń stale poranionych nóg.

Ta biografia to kompletny katalog nieszczęść, jakie mogą dotknąć człowieka. Pięter, warstw tragizmu samej postaci – też. Połońska w 1927 r. została pobłogosławiona przez swojego mistrza duchowego, wielkiego Sergiusza Bułgakowa, na wstąpienie w stan mniszy. Mimo to zawarła małżeństwo. Jako Rosjance w komunistycznej Polsce z pewnością nie byłoby źle, ale ona, kierowana wyższymi pobudkami (że przecież w ojczyźnie bardziej się Bogu przyda), jedzie na *de facto* katorgę, rozbijając przy okazji rodzinę (zapewniano ją, że mąż będzie mógł do niej dojechać, nie wpuszczono go jednak, a jej nie chciano wypuścić). W poczuciu odpowiedzialności za syna i matkę, zgadza się na gwałt zadawany przez system, który ostatecznie i tak zabiera jej tych, dla których wypruwała sobie godność i żyły. Będąc spełnionym naukowcem, do spełnienia duchowego przybliża się w drugiej połowie życia, gdy zostaje w końcu mniszką (najpierw czymś na kształt naszej świeckiej osoby konsekrowanej, *monachinią w miru*, mniszką w świecie). W latach 80. traci wzrok i zdolność poruszania się, co ogranicza jej aktywność w prawosławnych kręgach Leningradu (wykładała, pracowała z młodzieżą, niewidomymi, więźniami).

Połońska przez całe życie próbowała pogodzić ogień z wodą: pragnienie bycia mniszką z byciem żoną i matką, bycie chrześcijanką z byciem częścią ateistycznego systemu, bycie Rosjanką z przedwojennym polskim paszportem z byciem obywatelką ZSRR. Znamienne, że do swoich wspomnień (obejmujących lata 1944-48) Połońska postanowiła dołączyć wykład z lat 80. o św. Aleksandrze Newskim, który odpierając Krzyżaków, Litwinów i Szwedów z jednej strony, z drugiej zmuszony był kolaborować z okupującymi wtedy zalążki Rosji Mongołami, tłumacząc sobie, że tylko w ten sposób może ocalić ojczyznę i więcej ludzkich istnień.

Biografia Heleny Połońskiej przypomniała mi, że „modlitwa otwiera niebo". Czasem wcale nie przez to, że robi nam raj na ziemi, ale pomaga znaleźć nadzieję, a nie rozpacz w konstatacji, że ziemia rajem nie jest. Że Pan, jak zauważa Połońska, każdemu stawia wymagania w zależności od jego sytuacji, możliwości, talentów (syna wdowy z Nain wskrzesza nawet bez jej prośby, młodzieńcowi, który chce iść za Nim, każe wyrzec się wszystkiego, co ma). I że życie człowieka wierzącego to nie zawsze bieg po miejsce na podium, po ideał, bo wieniec zwycięstwa odłożono zdaje się w Niebie również dla tych, których bohaterstwem było to, że udało im się ten maraton w ogóle dokończyć. ©

ALPHA ZERO NA PUSTYNI

Obawy, które żywimy wobec Sztucznej Inteligencji, są tak naprawdę obawami przed Sztuczną Wolnością. Lecz cóż to jest wolność?

PIOTR SIKORA

CHRIS RATCLIFFE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Co by było, gdyby najlepszy obecnie na świecie gracz w szachy o nieco ekscentrycznym (ale czyż szachiści nie bywają ekscentryczni?) pseudonimie „AlphaZero" stwierdził: „Rzucam w diabły tę planszówkę – jej status kulturowy znacznie przekracza jej rzeczywistą wartość – i odtąd zajmę się działalnością polityczną"?

Zapewne ogromna liczba ludzi zareagowałaby paniką, a przynajmniej lękiem. A wszystko dlatego, że AlphaZero to nie człowiek, lecz program komputerowy.

Być może fakt, że komputery wygrywają z ludźmi w szachy, narusza nieco naszą dumę człowieka rozumnego, być może wzbudza niepokój co do naszej ludzkiej wyjątkowości. Ale naprawdę boimy się raczej tego, że maszyny i programy stworzone przez nas, by nam ułatwiać życie – a więc by nam służyć – wymkną się nam spod kontroli i – wykorzystując swe przewagi w rozgrywaniu gier strategicznych, w obliczeniach i zapamiętywaniu danych – postanowią przejąć od nas władzę nad światem. Nam zaś pozostanie w najlepszym razie egzystencja swego rodzaju zwierząt domowych, wegetujących, lepiej lub gorzej, na łasce nowych panów świata. W najgorszym zaś – jak w filmie „Matrix" – rola bateryjek zasilających krzemowe (albo inne) inteligentne maszyny.

Innymi słowy – boimy się nie tyle Sztucznej Inteligencji, co Sztucznej Wolności, która (dzięki swej inteligencji) będzie zdolna odebrać wolność nam.

Decyzje i złudzenia

Lęk ten jest o tyle problematyczny, że odwołuje się do pojęcia, które niby wszyscy rozumiemy, ale które przy dokładniejszym spojrzeniu zaczyna wyglądać jak niedbale ułożona układanka z niezbyt pasujących do siebie elementów: naszych marzeń, intuicji, życiowych doświadczeń i wyników naukowych eksperymentów. Słynne sceptyczne pytanie Piłata można bowiem dziś bardzo łatwo strawestować, pytając: „Cóż to jest wolność?" – pytając w podobny sposób, w jaki zrobił to prokurator Judei, czyli sugerując, że czegoś takiego w ogóle nie ma.

W tej samej bowiem dziedzinie nauki, która w dużej mierze związana jest z sukcesami w budowaniu Sztucznej Inteligencji – w naukach kognitywnych – przeprowadza się eksperymenty, których wyniki zdają się przeczyć istnieniu ludzkiej wolności (przynajmniej w tym sensie tego słowa, który stał się dominujący w czasach nowożytnych – jako niezdeterminowania naszych świadomych decyzji przez żadne czynniki zewnętrzne).

Badania, które szerzej opisuje Łukasz Kwiatek w artykule „Życie bez wolnej woli" na stronie GraniceNauki.pl (czytaj na powszech.net/wolnawola) wskazują, że to, co odbieramy jako własny wolny akt wyboru, jest zdeterminowane przez stan naszego mózgu, który to stan pojawia się do kilku sekund wcześniej niż moment naszej świadomej decyzji. Innymi słowy: jeśli wolnym wyborem miałaby być tylko taka decyzja, która jest podjęta świadomie przy braku determinacji spoza świadomości podmiotu, to być może żadne nasze decyzje nie są w tym sensie wolne.

Inne badania (również opisane we wspomnianym artykule) dowodzą, że w pewnych sytuacjach, w których zakłócona jest komunikacja pomiędzy różnymi ośrodkami w mózgu, człowiek z pełnym przekonaniem wskazuje fałszywe przyczyny i motywy swojego zachowania. A to oznacza też, że nie jest wolny: jeśli nie wie, co naprawdę kieruje jego zachowaniem, nie ma też nad tym kontroli.

Tak więc to, co się dzieje na poziomie świadomości, gdy myślimy, że podejmujemy wolne wybory, niekoniecznie odpowiada rzeczywistości. W momencie, gdy – jak się nam wydaje – podejmujemy decyzję „zjem szarlotkę, nie sernik", sprawa jest już od jakiegoś czasu przesądzona na poziomie mózgowym. Możemy też być szczerze przekonani, że wstajemy zza biurka, gdyż samodzielnie doszliśmy do przekonania, że dobrze byłoby rozruszać mięśnie, podczas gdy tak naprawdę reagujemy na (niedochodzące do naszej świadomości, ale odbierane przez zmysły i rejestrowane przez mózg) polecenia z zewnątrz. Wolność decyzji zaczyna wyglądać na złudzenie.

Warto więc mieć świadomość, że w tradycji chrześcijańskiej – tak ceniącej ludzką wolność – od starożytności istnieje nurt, którego najwybitniejsi przedstawiciele nie zdziwiliby się wcale, czytając o odkryciach neurobiologów, o których pisze Łukasz Kwiatek. Owszem, nie mieli oni pojęcia o tym, co się dzieje w mózgu. Przeniknęli jednak dogłębnie funkcjonowanie ludzkiej wolności od strony, by tak rzec, psychiczno-duchowej. Zdali sobie sprawę, że ludzkie działanie – nawet to postrzegane przez samego działającego jako wynik jego wolnych wyborów – pozostaje zdeterminowane przez wiele czynników. Część z tych czynników rozpoznali jako ograniczenie wolności. Ale także samego aktu wolnego wyboru wcale nie wiązali z brakiem jakichkolwiek jego przyczyn. Uznawali, że ludzkie działanie jest wolne tylko wtedy, gdy jest działaniem celowym – cel zaś sam w sobie jest swego rodzaju przyczyną, określoną przez rozmaite pragnienia, potrzeby, intencje działającego podmiotu.

Przyglądając się naszym problemom, teolodzy ci przypomnieliby nam również, że w ewangelicznej perspektywie przekonanie, iż każdy człowiek jest równie wolny – tj. ma równie nieskrępowaną władzę podejmowania decyzji – jest nowożytnym złudzeniem. Jak mówi Jezus w Ewangelii Jana: „Każdy, kto popełnia [dosł. „czyni"] grzech, jest niewolnikiem grzechu" (J 8, 34). Jeśli jesteśmy grzesznikami (a któż nie jest!) – nie jesteśmy (w pełni) wolni. Symboliczno-mityczna narracja z początków Księgi Rodzaju, opowiadająca o grzechu Adama i Ewy i wygnaniu pierwszych rodziców z raju, ujawnia świadomość, że kondycja ludzka daleka jest od ideału. A dotyczy to także ludzkiej wolności.

Uwikłani w biologię

Na początku IV wieku św. Atanazy Wielki z Aleksandrii w następujący sposób tłumaczył istotę „upadku" człowieka: „Odszedłszy od postrzegania jednego i bytującego, mianowicie Boga, i od pragnienia Go, odtąd w rozbieżne i cząstkowe pożądania zabrnęli cielesne". W kontekście pytania o ludzką wolność najistotniejsza jest ostatnia część powyższego stwierdzenia: człowiek jest uwikłany w „rozbieżne i cząstkowe pożądania cielesne", tj. w rozmaite biologiczne (a więc i mózgowe) mechanizmy, które mniej lub bardziej determinują jego działanie. Wizję Atanazego rozwija inny Ojciec Kościoła z IV wieku, św. Grzegorz z Nyssy. Biologiczne mechanizmy, w które w obecnej kondycji ludzie są uwikłani, nazywa „namiętnościami", i twierdzi, że one „ujarzmiają człowieka", gdyż „namiętność popędza jak batem duszę, swą niewolnicę". ↦

↦ Owszem, Grzegorz głosi też pochwałę ludzkiej wolności. Istotą chrześcijańskiej, czy szerzej: w pełni ludzkiej egzystencji są dla niego wydarzające się przez całe życie duchowe narodziny. One zaś „nie są skutkiem działania zewnętrznego, lecz zależą od wolnego wyboru. Tak więc w pewnym sensie sami jesteśmy swoimi rodzicami, rodzimy siebie takimi, jakimi chcemy być, i z własnej woli kształtujemy siebie zgodnie z wybranym przez nas wzorcem". Rysuje się tu zatem napięcie pomiędzy zawsze w chrześcijaństwie obecną obroną ludzkiej wolności a rozpoznaniem licznych tej wolności ograniczeń.

Pozorny paradoks ludzkiej egzystencji – rozpiętej pomiędzy uwikłaniem w biologię a wolnością umożliwiającą wręcz autokreację – znika, gdy zauważymy, że Grzegorz opisuje tu pewien proces. Uwikłanie jest jego stanem początkowym, wolność jest zdolnością nabywaną stopniowo: „Jeśli ktoś nieznacznie oderwie swą myśl od ciała, a także uwolni się z więzów namiętności i bezmyślnych działań, po czym szczerze, czystym umysłem spojrzy na własną duszę, w jej naturze wyraźnie dostrzeże miłość Boga ku nam oraz wolę Stwórcy. Dzięki takiemu spojrzeniu odkryje, że do istoty i natury człowieka należy pragnienie tego, co piękne i dobre, i że z naturą tą ściśle wiąże się niewzruszona i szczęśliwa miłość do rozumnego i błogosławionego Obrazu, którego człowiek stanowi odwzorowanie". Proces ów wymaga od człowieka ćwiczenia i wysiłku: „Miłość względem Boga nie powstaje w nas tak po prostu samoczynnie, lecz dzięki wielu trudom, usilnemu staraniu oraz współdziałaniu Chrystusa".

Rozproszenie początkiem zła

Kluczowym odkryciem wielu mnichów, tzw. Ojców Pustyni, które pozwoliło na dokładniejsze opisanie ludzkiej drogi ku wolności, było odkrycie, że „codzienna" świadomość wielu (jeśli nie większości) ludzi jest bardzo płytka – tj. nie sięga prawdziwych przyczyn kierujących naszym zachowaniem. Bez podjęcia pewnego wysiłku i treningu świadomości ludzie zazwyczaj ulegają złudzeniom co do tego, dlaczego postępują tak, a nie inaczej. Konfabulowanie na temat prawdziwych przyczyn własnego działania ma miejsce, powiedzieliby Ojcowie Pustyni, nie tylko w eksperymentalnych sytuacjach, takich jak opisane w artykule Łukasza Kwiatka. Także w wielu sytuacjach codziennego życia.

Jak zauważa Ewagriusz z Pontu, umysł często jest „wodzony" bez swojej woli, „pociąga go bowiem i ogarnia namiętna myśl, co sprawia, że nie może zachować stałości". Trzeba tu zaznaczyć, że w tej perspektywie umysł jest rzeczywistością znacznie szerszą niż sfera świadomości – z jednej strony posiada aspekty blisko powiązane z ciałem, z drugiej – sięga rzeczywistości Boskiej. Podobnie słowo „myśli" (*logismoi*) nie oznacza tu po prostu wyraźnie uświadomionej treści (ani tym bardziej treści ujętej w – wewnętrzne – słowa). Myśli-*logismoi* to wszelkie poruszenia umysłu. Skoro zaś świadomość jest tylko jednym z aspektów jego aktywności, w dodatku o wielopoziomowej strukturze, to umysłowymi poruszeniami są także nieuświadomione pragnienia, obawy, nastroje, emocje. One zaś – jako „ogarnięte i pociągane przez namiętności" – powodowane są rozmaitymi biologicznymi przyczynami i uwarunkowaniami. Także to, co jawi się podmiotowi jako jego wolna decyzja, jest często skutkiem splotu nie osobowych, lecz biologicznych przyczyn.

> Bez pewnego wysiłku i treningu świadomości **ludzie zazwyczaj ulegają złudzeniom** co do tego, dlaczego postępują tak, a nie inaczej. Także w wielu sytuacjach codziennego życia.

Kluczowym aspektem drogi ku wolności jest opanowanie *logismoi* – a więc swego rodzaju samokontrola. Dlatego inny Ojciec Pustyni, Marek Eremita, pisze: „Jeśli ktoś ulega myślom, one go zaślepią. Wprawdzie zobaczy, jak działają grzechy, ale nie dojrzy ich przyczyn". Często to sytuacja, gdy do świadomości człowieka dochodzi dopiero zewnętrzne działanie, przy braku zrozumienia jego rzeczywistych powodów.

Aby wyjść z takiego złudzenia, potrzebna jest duchowa praca, ćwiczenie, nazywane *nepsis*, co można przetłumaczyć słowem „czujność" lub „trzeźwość". Dokładniej ją i jej rolę opisuje mnich z VII w., Hezychiusz z Synaju: „to duchowe ćwiczenie, które jeśli stosowane wytrwale i gorliwie, z Bożą pomocą pozwala człowiekowi całkowicie uwolnić się od namiętnych myśli i słów oraz ze złych uczynków". Czujność ta jest „stałym skupieniem umysłu stojącym u bram serca". Chodzi tu o ćwiczenie uważności, które pozwala uświadamiać sobie, co się dzieje w naszym – szeroko pojętym – umyśle. Dzięki takiemu ćwiczeniu świadomość wyostrza się i pogłębia, umożliwiając rozpoznawanie wcześniej nieuświadamianych przyczyn działania. Dopiero „kto bacznie spogląda w swe serce, dostrzega w nim stan swojego wnętrza", konkluduje Hezychiusz.

Strumień życia

Ważnym aspektem ludzkiego działania jest w tej perspektywie także powiązanie pomiędzy wcześniejszymi i późniejszymi decyzjami człowieka. Ludzkie życie jest ciągłym procesem. Funkcjonowanie ludzkiej wolności nie składa się z oderwanych od siebie „aktów woli". Ojcowie Pustyni podkreślają, że ćwiczenie uważnej trzeźwości musi być podejmowane wytrwale i nieustannie. Zaobserwowany przez współczesnych neurobiologów fakt, że istnieje stan mózgu, który wyznacza działanie jeszcze przed świadomym podjęciem decyzji, nie powinno być jakimś zaskoczeniem czy problemem teoretycznym: stan ten jest w dużej mierze rezultatem wcześniejszych zachowań (a także myśli, intencji itp.) danego człowieka. Aktualna decyzja okazuje się w dużej mierze konsekwencją wcześniejszych wyborów. Każdy wybór ma zaś pozytywny lub negatywny wpływ na wolność wyborów następnych.

Bliższe spojrzenie na wolność, jakie odnajdujemy w tradycji chrześcijańskiej myśli i duchowości, wskazuje zatem, po pierwsze, że wolność nie oznacza całkowitego niezdeterminowania poszczególnych działań. Nie istnieją bowiem działania, które nie pozostawałyby pod wpływem zewnętrznych wobec naszej świadomości uwarunkowań. Co więcej, sama świadomość podlega wpływom, z których często nie zdajemy sobie sprawy i które pozostają poza naszą kontrolą. Uzyskiwanie wolności jest długotrwałym i nigdy nie zakończonym procesem, w którym bardzo ważną rolę pełni poszerzanie pola świadomości – zarówno w odniesieniu do samego siebie, jak i całości rzeczywistości. Najwięcej ograniczeń naszego działania płynie bowiem z biologicznych uwarunkowań naszej natury – ewolucyjnie zaprogramowanej tak, by zapewnić przetrwanie naszym genom. Aby się więc uwolnić, choćby częściowo, od wpływu takich mechanizmów, trzeba posiadać szerszą perspektywę – obejmującą także te mechanizmy, ale również inne (wyższe) cele i motywy. Trzeba posiadać całościowy obraz świata, na którego tle można zrozumieć i ocenić rozmaite mechanizmy, które warunkują nasze

działanie. By świadomie wybierać poszczególne cele życiowe, trzeba być zdolnym spojrzeć na swoje życie jako na całość – *sub specie aeternitatis*.

Zobaczmy to na przykładach. Oto rozmaite biologiczne mechanizmy i psychospołeczny trening/tresura powodują, że chcę zjeść kolejny kawałek sernika, ostatni z wielu, które leżały przede mną na stole. Czy mogę choćby do pewnego stopnia uwolnić się od wpływu tych mechanizmów? Tak, jeśli mam wystarczająco bogaty obraz świata: pozwalający na uzyskanie świadomości zarówno tego pragnienia (i jego siły, i jego źródeł), jak negatywnych zdrowotnych konsekwencji jedzenia nadmiernej ilości słodyczy; jeszcze lepiej, jeśli mój obraz świata obejmuje koncepcję osoby (co pozwala mi np. pojąć, że obok w pokoju jest ktoś drugi, kto też lubi sernik, a jeszcze nie zjadł ani kawałka) oraz ideę dobra czy wartości dzielenia się z bliskimi (co otwiera przede mną możliwość zastopowania własnego łakomstwa i ukierunkowania działania przez motyw, by podać ostatni kawałek sernika drugiemu).

Tego typu zależność nie dotyczy tylko prostych pojedynczych decyzji. Pasja i duma szachisty może się przerodzić w obsesję, by osiągnąć takie mistrzostwo, by znów zacząć wygrywać nawet z najlepszymi komputerami. Tej obsesji może zostać podporządkowane całe życie – niszcząc wszelkie relacje z bliskimi, sprawiając im krzywdę i ból. Taka obsesja może zniewolić. By odzyskać wolność, trzeba być zdolnym do uświadomienia sobie, że szachy to nie cały świat, a o osobowej wartości nie decyduje zdolność zamatowania AlphaZero.

Daleko do Sztucznej Wolności

Ostatni przykład wskazuje, gdzie leży problem ze Sztuczną Wolnością – i dlaczego trudno się, na razie, spodziewać, że AlphaZero zdecyduje się rzucić szachy i zająć się polityką. Jak podkreślają specjaliści (por. „Przedszkole AI", „TP" 1-2/2018; czytaj na powszech.net/ai), obecne systemy Sztucznej Inteligencji nie mają „współdzielonego ogólnego obrazu świata" i, jak dotąd, wszelkie próby nauczenia ich takiego obrazu spełzły na niczym. Nie widać też żadnej realnej perspektywy, jak to zrobić. Tak więc AlphaZero może skuteczniej niż jakikolwiek człowiek dobierać strategie wygrania partii szachów, ale nie dysponuje obrazem świata, w którym istnieją inne wartości, cele, potrzeby, motywy; na tle którego może rozpoznać czy nadać całościowy sens swojej egzystencji i w tej perspektywie wybierać konkretne „sztuczno-życiowe" cele. I to właśnie stanowi fundamentalną przeszkodę dla uzyskania przez niego i jemu podobne systemy (sztucznej) wolności.

Oczywiście – trudno przewidzieć, czy sztuczne inteligentne systemy osiągną kiedyś taki poziom samoświadomości i tak całościowy obraz świata, że pojawi się Sztuczna Wolność. Trudno też przewidywać, jakiego rodzaju mechanizmy – bo przecież nie mechanizmy biologiczne! – będą stanowić ograniczenie tej Sztucznej Wolności.

Spekulacje na ten temat nie są jednak bezwartościowe. Mogą pomóc nam dostrzec, jakby w lustrze, naturę i granice naszej własnej wolności. A to niemało. ©℗

PIOTR SIKORA

Opowiadamy o książkach

W ciągu kilku tygodni od premiery podcast literacki „Tygodnika Powszechnego" – „Book's not dead" stał się jednym z największych w Polsce. Znani z łamów „Tygodnika" KATARZYNA TRZECIAK i MICHAŁ SOWIŃSKI w każdym odcinku rozmawiają z pisarką lub pisarzem, a aktorzy krakowskich teatrów czytają fragmenty książek gości podcastu. Podcasty trwają ok. 15-20 minut i świetnie sprawdzają się np. w podróży – można ich słuchać przez aplikację **SoundCloud** lub na stronie **soundcloud.com/booksnotdead**.

By nie przeoczyć kolejnych odcinków, kliknij w „**OBSERWUJĘ/FOLLOW**"!

TYGODNIK POWSZECHNY

Book's not dead

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KORUPCJA I GNIEW

Z jednej strony rząd, powszechnie uważany za beneficjenta i protektora wszechobecnej korupcji. Z drugiej „rumuńskie CBA" i wspierająca je ulica. Stawką tego starcia jest przyszłość kraju.

KAMIL CAŁUS Z BUKARESZTU

ROBERT GHEMENT / EPA / PAP

Polityczna ofensywa, wymierzona w symbol rumuńskiego sukcesu i reform – prokuraturę antykorupcyjną – trwa tutaj już od kilkunastu miesięcy. Władze państwa oskarżają kierownictwo prokuratury (to mniej więcej odpowiednik polskiego CBA) o próby podważenia demokratycznego porządku. Forsowane przez rząd zmiany w prawie mają ograniczyć kompetencje tej instytucji – tak aby skorumpowani politycy uniknęli odpowiedzialności.

Ulica reaguje największymi w historii kraju manifestacjami. Także Zachód – zwłaszcza Komisja Europejska – coraz ostrzej krytykuje postępowanie władz.

Pożar i szok

Cofnijmy się o ponad dwa lata. 30 października 2015 r. w bukareszteńskim klubie Colectiv wybuchł pożar. Zginęło ponad 60 ludzi, bawiących się na koncercie rockowym, a 200 odniosło rany. To był szok dla całego kraju. Ale żałoba szybko ustąpiła miejsca złości i oczekiwaniu, że winni (jak miało się okazać, nietrudno było ich ustalić) zostaną ukarani. A im więcej faktów wychodziło na jaw, tym bardziej oczywiste się stawało, że do tragedii by nie doszło, gdyby nie powszechna korupcja i związana z nią tolerancja dla nieprzestrzegania norm przeciwpożarowych.

Temperatura społecznego gniewu wzrosła, gdy pojawiła się pogłoska – później potwierdzona – że leki użyte do ratowania życia rannych były złej jakości. Tu również główną przyczyną miało być łapówkarstwo, tym razem w służbie zdrowia. Gniew tłumów skierował się więc przeciw całej elicie politycznej, w powszechnej opinii będącej uosobieniem korupcji – oraz jej głównym beneficjentem i protektorem.

Kilka dni po pożarze manifestacje gromadziły w całym kraju nawet do 100 tys. uczestników. Demonstranci nie oszczędzali nikogo. Żądania dymisji gabinetu Victora Ponty – do niedawna lidera tradycyjnie najsilniejszej w parlamencie postkomunistycznej Partii Socjaldemokratycznej (PSD) – mieszały się z okrzykami wymierzonymi w opozycję: „Precz ze wszystkimi!" i „Rewolucja jedynym rozwiązaniem!".

„Rumuńskie CBA" w akcji

Tragedia w klubie Colectiv wyzwoliła ogromne pokłady niechęci i nieufności Rumunów wobec klasy politycznej. Te zaś nawarstwiały się już od lat. W dużej mierze dzięki działaniom Krajowego Dyrektoriatu Antykorupcyjnego (w skrócie: DNA), powołanego do walki z nadużyciami na najwyższych szczeblach, który ujawniał prawdziwą twarz rumuńskiej elity.

– Manifestacje z listopada 2015 r. pokazały, że walkę z korupcją mamy w swoim DNA – półżartem mówi dziś jeden z ich uczestników. Dyrektoriat stał się symbolem sprzeciwu wobec nadużyć władzy.

Gdy w 2013 r. kierownictwo nad tą instytucją przejęła młoda, bezkompromisowa i ambitna prokurator Laura Kövesi, aktywność „rumuńskiego CBA" radykalnie wzrosła. Media niemal co tydzień informowały o zarzutach DNA wobec ludzi z pierwszych stron gazet.

Najwięcej spraw dotyczyło rządzących socjaldemokratów z PSD. W 2014 r. za szantaż i przekupstwo skazany został na cztery lata więzienia Adrian Năstase, były premier z ramienia tej partii. Potem, we wrześniu 2015 r., kraj obiegły zdjęcia Sorina Oprescu, mera stolicy i byłego senatora z ramienia PSD, którego policja wyprowadzała z domu w kajdankach. Wedle aktu

Protest przeciwko reorganizacji sądów i Najwyższej Rady Sądowniczej, Bukareszt, grudzień 2017 r.

oskarżenia miał m.in. otrzymywać procent od dochodów firm, które zarabiały na kontraktach ze stołecznym ratuszem.

Niedługo później – i nieco ponad miesiąc przed tragicznym pożarem – także urzędujący premier Victor Ponta został oficjalnie postawiony w stan oskarżenia, w związku z podejrzeniem o udział w praniu brudnych pieniędzy, fałszowanie dokumentów i oszustwa fiskalne. Nie był to pierwszy skandal, w który uwikłany był Ponta. Trzy lata wcześniej wyszło na jaw, że dopuścił się on plagiatu, kopiując co najmniej połowę swej pracy doktorskiej.

Skompromitowany Ponta – pragnąc ratować resztki wizerunku swego ugrupowania – podał się do dymisji. Stało się to już kilka dni po rozpoczęciu listopadowych protestów. Zgodnie z sugestiami protestujących rządy w kraju – na kolejnych kilkanaście miesięcy, które zostały do wyborów, objął apolityczny „gabinet techniczny", pod przewodnictwem byłego unijnego komisarza ds. rolnictwa Daciana Cioloşa.

Demonstranci odnieśli więc doraźny sukces. A siłę masowych protestów mieli wykorzystać ponownie już rok później.

Powrót skorumpowanych

Po serii spektakularnych sukcesów popularność DNA zaczęła szybować w górę. Zarządzany przez Kövesi, znalazł się na czwartym miejscu w rankingu społecznego zaufania (m.in. po Cerkwi i armii).

Wrażenie robiła też jego skuteczność. Ponad 90 proc. spraw kierowanych przez DNA do sądów w 2016 r. kończyło się wyrokami skazującymi. DNA stawał się coraz większym zagrożeniem dla uwikłanej w skandale elity politycznej. Szczególnie narażeni byli tu socjaldemokraci, pozostający u władzy od lat. ↦

↦ Politycy tej partii krytykowali więc działalność prokuratury, sugerując polityczne motywy prowadzonych przez nią spraw. Próbowali też osłabić DNA przez ograniczanie jego kompetencji. Paradoksalnie – choć niezaskakująco – działania te spotykały się z nieoficjalnym wsparciem pewnej części polityków opozycji, którzy obawiali się, że również mogą się stać obiektem zainteresowania śledczych.

Ale próby ograniczenia kompetencji DNA nie przynosiły rezultatów. Skompromitowanemu rządowi trudno było walczyć z instytucją, którą Komisja Europejska stawiała za wzór na skalę unijną, i którą do końca swej kadencji w grudniu 2014 r. wspierał prezydent Traian Băsescu.

Pozycja obozu władzy w tym starciu zmieniła się jednak radykalnie wraz z wyborami parlamentarnymi w grudniu 2016 r. Mimo skandali i protestów PSD zdołała odnieść w nich wielki sukces, zdobywając 45 proc. głosów. Jak się okazało, rok odpoczynku od polityki, który zafundowały socjaldemokratom (i społeczeństwu) „techniczne" rządy Daciana Cioloşa, a także sprawna kampania wyborcza – skupiona wokół kwestii socjalno-gospodarczych – i wreszcie słabość opozycji wystarczyły, aby socjaldemokraci otrzymali silny mandat do rządzenia.

Mając tak dobry wynik, mogli oni podjąć bardziej stanowcze próby neutralizacji DNA. Tym bardziej że działania prokuratorów coraz wyraźniej uderzały w interesy najbardziej prominentnych członków partii. W kwietniu 2016 r. nowy przewodniczący socjaldemokratów, Liviu Dragnea, skazany został na dwa lata więzienia w zawieszeniu za oszustwa podczas organizacji referendum w sprawie odwołania prezydenta Băsescu w 2012 r. (akt oskarżenia przygotował DNA). Wyrok uniemożliwił mu objęcie stanowiska premiera, co byłoby naturalnym efektem zwycięstwa PSD.

Wojownik z tylnego fotela

Nie mogąc zostać szefem rządu, Dragnea postanowił przeforsować na to stanowisko polityka mało znanego i pozbawionego wpływów w partii – Sorina Grindeanu, byłego ministra ds. łączności.

Już kilka dni po zaprzysiężeniu nowy gabinet podjął w przyspieszonym trybie – zarezerwowanym dla sytuacji wyjątkowych – decyzję o przyjęciu szeregu poprawek do kodeksu karnego i zapowiedział częściową amnestię dla więźniów. Nowe regulacje m.in. depenalizowały lub zmieniały kwalifikację części przestępstw, szczególnie tych dotyczących nadużycia władzy w ramach pełnionego urzędu.

Tłumaczenia rządu, który powoływał się na rzekomo dramatyczną sytuację humanitarną w przepełnionych więzieniach i konieczność dostosowania prawodawstwa do orzeczenia Sądu Konstytucyjnego (nakazał on doprecyzować pojęcie „nadużycia urzędu"), nie przemawiały jednak do większości obserwatorów. Prezydent Klaus Iohannis, część wymiaru sprawiedliwości i zachodnie instytucje krytykowały zmiany w prawie.

Także społeczeństwo nie miało wątpliwości, że rzeczywistym powodem zmian jest próba ochrony interesów polityków koalicji rządzącej, zamieszanych w afery korupcyjne. Otwarcie sugerowano, że głównym beneficjentem poprawek będzie sam Dragnea, wobec którego trwało kolejne śledztwo, dotyczące właśnie nadużycia władzy we wcześniejszym okresie jego kariery. Zmiany w prawie mogłyby oznaczać dla niego osłabienie zarzutów prokuratorskich lub zupełne zarzucenie śledztwa.

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że osobą odpowiedzialną za nowe regulacje prawne był minister sprawiedliwości Florin Iordache. Kilka lat wcześniej brał on udział w próbie przeforsowania prawa, które – podobnie jak w tym przypadku – utrudniłoby ściganie przestępstw korupcyjnych.

Zbyt silni, aby odejść

Próba wprowadzenia bocznymi drzwiami nowego prawa skończyła się największymi w historii kraju demonstracjami. W szczytowych momentach na ulicach Bukaresztu i największych miast gromadziło się ponad pół miliona ludzi. Takich tłumów nie widziano nawet podczas rewolucji antykomunistycznej w 1989 r.

Pod presją demonstrantów rząd wycofał się ze zmian w prawie. Ale nie zamierzał spełnić innych żądań ulicy. Powołując się na mocny mandat, uzyskany zaledwie kilka tygodni wcześniej, gabinet Grindeanu nie widział powodu, by ustępować. Ostatecznie zdymisjonowano tylko jednego ministra – kozłem ofiarnym stał się wspomniany Iordache.

Nie oznaczało to jednak, że rząd zaprzestał walki z DNA i zabiegów mających zabezpieczyć interesy skorumpowanych członków elity. Premier Grindeanu przyznał publicznie – z rozbrajającą szczerością – że zmiany i tak będzie trzeba wprowadzić, ze względu na konieczność dopasowania prawa do orzeczenia Sądu Konstytucyjnego, tyle że teraz już w trybie normalnym, nie przyspieszonym.

W międzyczasie protesty osłabły – choć ludzie zbierali się na regularne, niewielkie demonstracje pod siedzibą rządu.

Kolejne próby modyfikacji prawa podjęto w listopadzie 2017 r. Kierowana przez socjaldemokratów koalicja zaproponowała kilka ustaw, zmieniających status sędziów i prokuratorów, i reorganizujących sądy oraz Najwyższą Radę Sądowniczą.

Podobnie jak niecały rok wcześniej, i tym razem środowiska prawnicze, przedstawiciele sądownictwa i organizacji pozarządowych argumentowali, że nowe regulacje – jeśli zostaną wprowadzone – ograniczą niezależność wymiaru sprawiedliwości oraz zwiększą kontrolę rządu nad prokuraturą, w tym DNA. Część ekspertów podkreślała też, że zmiany mogą doprowadzić do spadku efektywności wymiaru sprawiedliwości, co spowolni rozpatrywanie spraw dotyczących polityków. A nawet mogą sprawić, że przedawnią się stawiane im zarzuty.

Protesty uliczne rozgorzały na nowo – ale były już kilka razy mniejsze niż rok wcześniej. Tym razem rząd nie ugiął się więc pod presją – ani obywateli, ani krytyki płynącej także z zagranicy – i nie wycofał się z proponowanych zmian. Te jednak, dzięki decyzji prezydenta Iohannisa i części opozycji parlamentarnej, trafiły do Sądu Konstytucyjnego.

Bitwa się zaostrza

Tymczasem – równolegle do działań mających osłabić DNA przez modyfikację prawa – obóz władzy zaostrzył kampanię dyskredytowania tej instytucji. Kampania taka trwała już zresztą od dawna. Teraz jednym z jej motywów stała się teza, że istnieje tzw. państwo równoległe: grupa osób kierujących ważnymi instytucjami (w tym DNA i służbami specjalnymi), które chcą odsunąć demokratycznie wybranych polityków i przejąć kontrolę nad krajem pod płaszczykiem walki z korupcją.

Zarzut ten – powtarzany także przez lidera PSD, Liviu Dragneę – sformułowany został wprost w rezolucji przyjętej w listopadzie 2017 r. przez członków PSD. A rezolucję przyjęto kilka dni po tym, jak DNA postawił Dragnei szereg nowych zarzutów. Jeden dotyczył organizacji grupy przestępczej (działającej od 2001 r. do dziś), której celem było wyprowadzanie pieniędzy z kontraktów finansowanych ze środków publicznych i unijnych.

Po rozpoczęciu kolejnej sprawy wobec lidera PSD, ataki na szefową DNA wyraźnie się wzmogły. W styczniu Inspekcja Sądowa wszczęła postępowanie dyscyplinarne wobec Laury Kövesi i jej zastępcy – zarzucając jej, że podczas narady prokuratorów miała żądać, by szybciej „dobrano się" do premiera. Rzekome nagranie z tego

spotkania upubliczniła stacja telewizyjna, której właścicielem jest Dan Voiculescu – biznesmen i polityk skazany po śledztwie DNA.

Nie był to koniec ataków. Niecały miesiąc później była prokurator antykorupcyjna Mihaiela Iorga oświadczyła, że Kövesi miała ją prosić o przyspieszenie śledztwa w sprawie prawdopodobnego kandydata na premiera. Jeszcze mocniejsze zarzuty wysunął były poseł Vlad Cosma: oświadczył, że w 2015 r. prokuratorzy antykorupcyjni prosili go o podrzucenie dowodów przeciw ówczesnemu premierowi Victorowi Poncie.

Wystąpienia Iorgi i Cosmy stały się pretekstem do kolejnych działań rządu, na czele którego od początku stycznia stoi Viorica Dăncilă, zaufana Dragnei. Oświadczyła ona, że sytuacja wokół DNA „martwi wszystkich Rumunów" i że podejmie „odpowiednie" kroki. Wicepremier Paul Stănescu sugerował, że Kövesi powinna odejść. Zaś Dragnea w działaniach DNA doszukał się metod policji politycznej.

W odpowiedzi Laura Kövesi zwołała w minionym tygodniu konferencję prasową. Ujawniła, że były poseł Cosma oskarżył prokuratorów po tym, jak nie udało mu się wynegocjować z DNA niższych wyroków. Po raz kolejny odrzuciła oskarżenia i ostrzegła: „Ta sprawa nie dotyczy jednej tylko Kövesi, lecz obliczona jest na podporządkowanie państwa rumuńskiego i upokorzenie jego obywateli. Wymiar sprawiedliwości jest atakowany".

Coraz mniej nadziei

Z tygodnia na tydzień czarne chmury gęstnieją więc nad rumuńską historią antykorupcyjnego sukcesu. Większość Rumunów nie ma wątpliwości, że władze chcą w najbliższych miesiącach „zneutralizować" DNA – oraz wiszące nad nimi z jego strony zagrożenie. I to bez względu na koszty, także międzynarodowe. Czasu rząd ma mało, bo śledztwa – w tym te wymierzone w kluczowych polityków – trwają.

Teoretycznie wpływ na działania rządu mogliby mieć partnerzy zachodni, szczególnie Unia i USA, którzy z niepokojem obserwują sytuację. Ale rząd w Bukareszcie, który jeszcze niedawno powstrzymywał się od ostrych reakcji na krytykę z zewnątrz, teraz obiera coraz bardziej konfrontacyjne stanowisko, głównie wobec Brukseli. Pod koniec stycznia Liviu Dragnea uznał, że oświadczenie Komisji Europejskiej, ostrzegające Bukareszt przed zmianami w systemie prawnym, jest „zaskakujące", i dodał opryskliwie, że Komisja jest niedoinformowana.

> Jeśli rząd podejmie ostateczną próbę zniszczenia „rumuńskiego CBA", wtedy Bukareszt znów może się stać sceną **masowych protestów.**

Kilka dni później szefową rządu została wspomniana Viorica Dăncilă, która już w 2017 r., broniąc zmian w kodeksie karnym na forum Parlamentu Europejskiego, krytykowała Komisję za „atakowanie legalnego rządu rumuńskiego". Symbolem tej postawy wobec Brukseli w ostatnich dniach było zdjęcie nowego rządu, na którym zabrakło flag Unii – wcześniej zawsze obecnych na takich fotografiach.

Wrażenia na obozie władzy nie robią też już chyba protesty, które odżyły z początkiem roku. Zresztą daleko im do skali i intensywności tych z lutego 2017 r. A dramatyzmu sytuacji dopełnia fatalny wizerunek opozycji, która powszechnie uważana jest za zdezorganizowaną oraz – często – za pozbawioną moralnego prawa do reprezentowania protestujących. Część demonstrantów twierdzi wręcz, że wielu polityków opozycji po cichu kibicuje rządowi w jego walce z DNA.

Wszystko to coraz bardziej pozbawia Rumunów nadziei – i jednoznacznych autorytetów w przestrzeni publicznej.

Teorie i narracje

Strategia rządu – obliczona na podkopywanie wizerunku służb antykorupcyjnych – zdaje się więc przynosić pewne rezultaty. Choć DNA wciąż cieszy się szacunkiem, to w rozmowach coraz częściej usłyszeć można wątpliwości co do intencji prokurator Kövesi. Mnożą się teorie spiskowe, podsycane przez komentarze internetowych trolli czy wpisy mniej lub bardziej anonimowych blogerów.

Najwyraźniej teza o „państwie równoległym" pada na podatny grunt w Rumunii – doświadczonej traumą Securitate, wszechwładnej komunistycznej tajnej policji. Wielu jest w stanie uznać za prawdopodobne, że służby specjalne starają się kontrolować instytucje publiczne. Popularny wśród części Rumunów jest pogląd, że sam prezydent Iohannis, który otwarcie wspiera walkę z korupcją wśród rządzących, ma być w istocie kontrolowany przez stojące za nim służby, które miałyby go szantażować. Dlatego głowa państwa ma – zgodnie z oskarżeniami PSD – przymykać oko na „państwo równoległe".

Wedle jeszcze innych interpretacji DNA ma działać w interesie zachodniego biznesu. Pogląd taki wpisuje się w populistyczną narrację rządu, uderzającą w międzynarodowe korporacje działające w Rumunii. A także w nową narrację, jakoby instytucje unijne naruszały rumuńską suwerenność.

– Zwolennicy tej karkołomnej tezy sugerują, że śledztwa DNA przeciw prominentnym rumuńskim biznesmenom mają wyrugować ich z rynku i zrobić miejsce dla przedsiębiorców z Unii i USA – mówi anonimowo ekspertka jednego z niezależnych bukareszteńskich think tanków.

Wspomina ona przy tym o niedawnej spektakularnej porażce DNA, związanej z tzw. sprawą Microsoftu. Na początku lutego DNA wycofał zarzuty wobec siedmiu byłych ministrów, którzy byli oskarżeni o współudział w aferze związanej z zakupem oprogramowania dla szkół od amerykańskiego koncernu po zawyżonej cenie (skarb państwa miał stracić 67 mln dolarów). Przyczyną zarzucenia śledztwa było przedawnienie. – W oczach niektórych obserwatorów sprawa jest jasna: o ile rumuńscy przedsiębiorcy są skazywani, o tyle osoby uwikłane w interesy z zachodnimi koncernami mogą spać spokojnie – podsumowuje ekspertka.

Czekając na ciąg dalszy

Po ostatnich działaniach władz dziś jedyną ochronę zapewnia prokuraturze antykorupcyjnej prezydent Iohannis. Bo choć minister sprawiedliwości może złożyć wniosek o odwołanie Kövesi, to właśnie głowa państwa musi tę decyzję zaakceptować. To zaś jest mało prawdopodobne.

Co dalej? Wydaje się, że jeśli rząd podejmie w najbliższym czasie próbę faktycznego pozbycia się szefowej DNA i rozmontowania całego systemu antykorupcyjnego, wówczas Bukareszt – podobnie jak na początku roku 2017 – znów może się stać sceną masowych ulicznych protestów.

Ich skala pokaże, czy władzom udało się dostatecznie mocno podważyć zaufanie obywateli do prokurator Laury Kövesi – nadal bezkompromisowej, ale pewnie już nie tak optymistycznej jak wtedy, gdy pięć lat temu stawała na czele DNA. ©

KAMIL CAŁUS

DAREK DELMANOWICZ / PAP

Granica polsko-ukraińska w Malhowicach: harcerze przekazują betlejemskie światełko pokoju, 5 stycznia 2018 r.

Zagubieni w dialogu

WOJCIECH KONOŃCZUK

Nowelizacja ustawy o IPN wywołała na Ukrainie wielkie emocje. Ukraińcy już dawno przestali rozumieć, o co chodzi Polsce, a Polska nie wie, jak im to wytłumaczyć.

Pierwsze ukraińskie reakcje po przyjęciu przez Sejm zmian do ustawy o IPN wyrażały głównie niedowierzanie. W Kijowie wiedziano, że projekt od kilkunastu miesięcy leży w sejmowej „zamrażarce", ale chyba nie sądzono, że zostanie przyjęty. Stąd na poziomie oficjalnym Ukraina zareagowała mocniej dopiero po zatwierdzeniu ustawy przez Senat – oraz po fali krytyki ze strony Izraela, środowisk żydowskich i Stanów Zjednoczonych.

Krytyka i konsensus

Nigdy wcześniej na Ukrainie nie było tak rozległego konsensusu w ocenie polityki historycznej Polski. Zapanowała zgodność poglądów między najróżniejszymi środowiskami: od nacjonalistów po tych poważnych badaczy, którzy krytycznie odnoszą się do polityki historycznej firmowanej przez Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej. Różnice widać jedynie w stopniu krytycyzmu. Praktycznie nie słychać głosów, które jeśli nie wprost broniłyby założeń polskiej ustawy, to przynajmniej próbowałyby uzasadniać polski punkt widzenia.

Co tak oburzyło Ukraińców? Przede wszystkim ogólny zapis o „zbrodniach ukraińskich nacjonalistów i członków ukraińskich formacji kolaborujących z Trzecią Rzeszą Niemiecką". W dalszej części ustawy doprecyzowano, że chodzi o „czyny popełnione przez ukraińskich nacjonalistów w latach 1925–1950, polegające na stosowaniu przemocy, terroru lub innych form naruszania praw człowieka wobec jednostek lub grup ludności (...) również udział w eksterminacji ludności żydowskiej oraz ludobójstwie na obywatelach II Rzeczypospolitej na terenach Wołynia i Małopolski Wschodniej". Główna krytyka ukraińska dotyczyła tego, że jakoby w ten sposób Polska chce obarczyć winą za zbrodnie cały ukraiński ruch narodowy.

Oburzenie wywołał też zapis, który przewiduje karę do trzech lat pozbawienia wolności lub grzywnę za pomniejszanie odpowiedzialności sprawców wymienionych zbrodni. Uznano, że punkt ten ogranicza wolność słowa i badań naukowych oraz może stanowić instrument zakazujący mówienia o masakrach na Wołyniu inaczej niż jako o ludobójstwie. Stronę ukraińską rozdrażniły też słowa o „Małopolsce Wschodniej"; w niektórych kręgach uznano je wręcz za godzące w integralność terytorialną Ukrainy. Wreszcie zdumienie wywołała chronologia określona w ustawie, czyli lata 1925–1950. Część tych zastrzeżeń znalazła się zresztą we wniosku prezydenta Andrzeja Dudy do Trybunału Konstytucyjnego, w którym uznał on m.in., że zawarta w ustawie „definicja zbrodni ukraińskich nacjonalistów narusza standard konstytucyjny".

W najbardziej radykalny i histeryczny ton tradycyjnie uderzył szef UIPN Wołodymyr Wjatrowycz. Przekonuje on, że Polska zacznie teraz karać za „inną niż oficjalna [tj. polska] wizję historii". Aktywność Wjatrowycza w sieciach społecznościowych i propagowana przezeń narracja historyczna jest dość skuteczna – powraca w wielu tekstach dziennikarzy i wypowiedziach polityków. W oświadczeniu UIPN znalazły się nie tylko słowa o „dyk-

tacie w kwestii oceny przeszłości", ale wręcz stwierdzenie, że zagrożone jest bezpieczeństwo badaczy ukraińskich w Polsce. W rezultacie komunikat ten trudno odczytać inaczej niż jako zerwanie prac Polsko-Ukraińskiego Forum Historyków. Nie zauważono w nim natomiast, że ściganie zbrodni ukraińskich nacjonalistów już wcześniej zawierało się w odpowiedzialności za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości.

Pojednawcze tony

Instytucje państwa ukraińskiego powstrzymały emocje i swoje oświadczenia sformułowały dość wstrzemięźliwie. Wprawdzie pojawiły się w nich sformułowania o „kategorycznym sprzeciwie wobec narzucenia jednostronnego traktowania wydarzeń historycznych" (MSZ), „absolutnie nieakceptowalnych zapisach" (prezydent Poroszenko) i „narzucaniu polityki odpowiedzialności zbiorowej wobec narodu ukraińskiego" (Rada Najwyższa), ale towarzyszył temu ton pojednawczy.

Pisano o „tradycyjnie przyjaznych narodach ukraińskim i polskim", odwoływano się do „wspólnego zagrożenia" i wzywano do „konstruktywnego dialogu dla dalszego rozwoju relacji". Można mieć nadzieję, że władze w Kijowie rozumieją wagę zachowania normalnych relacji z Polską, szczególnie w obliczu niejasnych perspektyw trwającego konfliktu z Rosją.

W wielu ukraińskich komentarzach podkreślano natomiast, że ustawa o IPN może nakręcić nastroje antyukraińskie w społeczeństwie polskim i zagrozić bezpieczeństwu ukraińskich migrantów zarobkowych. Złość i rozżalenie strony ukraińskiej wywołało też to, że polska dyskusja i komentarze polityczne skupiały się na kwestii relacji polsko-izraelskich, zaś jej ukraiński wymiar był niemal zupełnie pomijany. Kijów poczuł się nie tylko obrażony, ale jeszcze zlekceważony.

O Polsce wciąż z sympatią...

Tymczasem, mimo zintensyfikowanych sporów o historię, sondaże pokazują, że na Ukrainie utrzymuje się bardzo pozytywny wizerunek Polski.

Według opublikowanych w styczniu badań opinii publicznej, przygotowanych przez pracownię GfK na zlecenie amerykańskiego IRI, aż 50 proc. Ukraińców postrzega nasz kraj z sympatią, a jedynie 7 proc. negatywnie (reszta neutralnie). Żaden inny badany kraj nie jest postrzegany równie pozytywnie. Na kolejnych miejscach znalazły się Litwa (47 proc. sympatii), Kanada (46 proc.), Niemcy (42 proc.) i USA (40 proc.).

Warto jednak odnotować, że poziom deklarowanego przychylnego stosunku wobec Polski obniżył się w ciągu ostatniego półrocza o 8 punktów procentowych – i można podejrzewać, że obecne emocje nie pozostaną bez wpływu na postrzeganie Polski przez społeczeństwo ukraińskie. Tym bardziej że w ostatnich dwóch tygodniach praktycznie we wszystkich mediach nad Dnieprem był to czołowy temat.

...ale nie w elitach

Jednak utrzymujący się po rewolucji na Majdanie, bezprecedensowo pozytywny wizerunek Polski w oczach społeczeństwa ukraińskiego kontrastuje z rosnącym sceptycyzmem elit. Do 2015 r. media ukraińskie poświęcały sytuacji w Polsce niewiele miejsca, ale w ciągu ostatnich 2-3 lat liczba artykułów prasowych wzrosła lawinowo. W dużej części są to materiały bardzo krytycznie oceniające polską politykę wobec Ukrainy, a jednocześnie skupiające się niemal wyłącznie na sporach historycznych. Historia – niestety – zupełnie przyćmiła inne obszary, jak wymiana handlowa, współpraca w wymiarze wojskowym czy po prostu kontakty międzyludzkie.

Potwierdzeniem negatywnej tendencji może być sondaż z grudnia 2017 r., przeprowadzony przez centrum analityczne Ukraińska PRISMA wśród 106 ukraińskich ekspertów ds. międzynarodowych. Polska znalazła się w nim na piątym miejscu wśród... państw wrogich wobec Ukrainy – po Rosji, Węgrzech, Białorusi i Serbii, a zarazem nie trafiła do grona krajów najbardziej przyjaznych (choć znalazła się tu odległa Japonia).

Czy spór o historię jest wystarczającym powodem dla tak złego odbioru Polski wśród elit ukraińskich? Przecież w sprawach strategicznych poparcie Warszawy dla Kijowa było i pozostaje bezwarunkowe, a państwo ukraińskie – delikatnie rzecz ujmując – nie ma w Europie zbyt wielu sojuszników, których wizja wobec kluczowych tematów regionalnych byłaby w tak wielu punktach zbieżna.

Tymczasem w ukraińskich mediach można znaleźć wiele, najczęściej bardzo powierzchownych, tekstów na temat dwustronnego konfliktu pamięci, ale trudno o jakąkolwiek analizę pokazującą np. działania Polski na rzecz zablokowania gazociągu Nord Stream 2, który – jeśli powstanie – silnie uderzy w interesy ukraińskie. Media nad Dnieprem z lubością przytoczą każdą wypowiedź polskiego polityka (mądrą lub nie) w sprawach historii, ale nie zauważą wypowiedzi polskiego premiera w sprawie ukraińskiej na forum Unii.

Artykuły próbujące realistycznie patrzeć na sytuację i studzić emocje są nieliczne. Przykładem może być niedawny tekst Mykoły Kapitonenki, wykładowcy Uniwersytetu im. Szewczenki w Kijowie, opublikowany na znanym portalu Lewyj Biereg. Autor nie broni ustawy o IPN, ale jednocześnie dość krytycznie ocenia postmajdanową politykę historyczną Ukrainy, która – według niego – przyczyniła się do takich, a nie innych reakcji Polski. Stwierdza on również, że Kijów „nie ma dziś niemal żadnej możliwości wpłynięcia na politykę Polski", podczas gdy to Ukraina potrzebuje dobrych relacji z Warszawą m.in. w kwestiach integracji europejskiej i utrzymania sankcji antyrosyjskich.

Potrzeba realizmu

Co dalej? Trudno być optymistą co do możliwości szybkiej poprawy stosunków polsko-ukraińskich. Obie strony odczuwają, że zostało podważone – i tak już nadwyrężone – wzajemne zaufanie. Dla Ukrainy zapisy nowej ustawy o IPN są nie do zaakceptowania, a wiarygodność Polski wśród elit ukraińskich jest na poziomie najniższym od wielu lat. W tej sytuacji zmniejsza to szanse na odwieszenie przez Ukrainę zakazu prowadzenia ekshumacji przez polski IPN, wprowadzonego jeszcze w kwietniu 2017 r.

W dodatku oba państwa czekają wkrótce trudne rocznice, z których największym sprawdzianem na umiejętność powstrzymywania emocji będzie setna rocznica walk o Lwów w 1918 r. [patrz tekst Tadeusza Olszańskiego na ten temat, „TP" nr 7/2018 – red.]. Można oczekiwać, że coraz głośniej słyszane będą ukraińskie wezwania do oficjalnego uznania, że II Rzeczpospolita była okupantem.

Z punktu widzenia Polski problemem pozostaje nie tylko znaczne pogorszenie wizerunku, co dalece niewystarczające instrumenty, aby tłumaczyć nasze racje Ukraińcom. Obecny czas warto więc wykorzystać, żeby stworzyć taką niezbędną infrastrukturę. W tym – o co wiele osób po obu stronach granicy apeluje od lat – powołać Polsko-Ukraińskie Centrum Dialogu oraz Polski Instytut Historyczny w Kijowie.

Na razie pozostaje nadzieja, że emocje po obu stronach opadną, a Polska oraz Ukraina będą w stanie wyciągnąć z bieżących sporów wnioski na przyszłość. ©

Lęki środkowej Europy

PATRYCJA BUKALSKA

Czesi czują się w swym kraju bezpiecznie jak nigdy. Ale ich politycznymi wyborami rządzi strach: przed uchodźcami i imigrantami. Zjawisko to rozlało się po naszej części kontynentu.

Czesi, którzy w styczniowych wyborach prezydenckich wybrali znowu Miloša Zemana, oddychają z ulgą. Teraz są przekonani, że nie grozi im już „islamska inwazja", nie będzie uchodźców i będą mogli żyć jak przedtem, spokojnie, po swojemu.

Choć Jiří Drahoš, konkurent Zemana w drugiej turze tych wyborów, nie popierał wyznaczonych przez Unię Europejską kwot uchodźców do relokacji i jest też przeciwnikiem przyjmowania imigrantów ekonomicznych, to w kampanii jego poglądy, podobnie jak jego program, nie miały znaczenia. Liczyły się hasła: „Stop imigrantom i Drahošowi. Ten kraj jest nasz. Głosuj na Zemana!". Hasła łączące w jedno elekcję prezydencką ze sprawą kryzysu migracyjnego i sugerujące, że Drahoš jest tzw. „*vítačem*" – politykiem, który chce powitać uchodźców. Zgrabne słowo wytrych, wymyślone niedawno i pogrążające polityka, do którego przylgnie.

Zeman nieznaczną większością, ale wygrał. Rosnący wśród Czechów strach przed uchodźcami, muzułmanami czy w ogóle cudzoziemcami był jednym z głównych czynników jego sukcesu. Tyle że w Czechach prawie nie ma uchodźców ani muzułmanów. Skąd więc takie obawy?

Zagrożenie dla spokoju

W Czechach żyje ok. 20 tys. muzułmanów, wliczając w to również tych, którzy nie mają czeskiego obywatelstwa (według spisu ludności z 2011 r., Czechów wyznających islam jest zaledwie ok. 3,5 tys.). To znikomy odsetek w ponad 10-milionowym kraju. Prawdopodobieństwo, że przeciętny Czech spotka na swej codziennej drodze wyznawcę islamu, jest doprawdy nikłe. A prawdopodobieństwo, że będzie to dodatkowo muzułmanin-uchodźca, prawie zerowe.

W całym 2017 r. czeska policja zatrzymała tylko 172 imigrantów starających się nielegalnie przedostać do Czech, zwykle w drodze do Niemiec. Pochodzili głównie z Afganistanu, Syrii i Iraku. To wielki spadek w porównaniu z rokiem 2015, gdy w Europie doszło do wielkiego kryzysu uchodźczego. Wtedy w Czechach zatrzymano ponad 2 tys. imigrantów przebywających tu nielegalnie. Ale i to nadal niewielka liczba, biorąc pod uwagę populację całego kraju.

Jednak to właśnie muzułmanie, a ściślej muzułmańscy uchodźcy, są obecnie dla Czechów uosobieniem zagrożenia. – To nie jest do końca po prostu strach. To raczej obawa, że powód strachu się pojawi, że pojawi się takie zagrożenie – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem" francuski politolog dr Nicolas Maslowski, specjalizujący się w Europie Środkowej. – Czechy to kraj, gdzie wysoko w hierarchii wartości sytuują się pragnienie spokoju i tendencja do zamykania się. Gdy ludzie widzą, jakie są efekty otwarcia np. we Francji, gdzie dochodziło do zamachów terrorystycznych, wolą być zamknięci – dodaje Maslowski.

Podobnie zjawisko niechęci i strachu wobec muzułmanów na Węgrzech ocenia węgierski dziennikarz Attila Mong, mieszkający dziś w Berlinie. – To nie jest islamofobia – mówi. – Tu chodzi o lęk przed utratą tego, co ludzie już mają, lęk przed zewnętrznymi siłami. A te siły mogłyby być czymkolwiek. To wcale nie musi być islam. Wroga, którego się nie zna, można namalować, jak się chce.

Zeman, Orbán i zarządzanie strachem

Miloš Zeman, premier Viktor Orbán na Węgrzech czy szef słowackiego rządu Robert Fico – wszyscy oni niezwykle sprawnie posługują się strachem swoich wyborców, podsycają istniejące lęki i kreują nowe. Orbán o muzułmańskich uchodźcach mówi jako o „najeźdźcach", „truciźnie"; współżycie wspólnot islamskich i chrześcijańskich jest jego zdaniem niemożliwe. Zeman głosi podobne poglądy, twierdząc, że muzułmanie nie są w stanie się integrować.

Dodajmy, że pojawiająca się w tym kontekście potrzeba „obrony" przed islamem chrześcijańskich wartości może wydać się zjawiskiem dość zaskakującym na mało religijnych Węgrzech czy w całkowicie niemal zlaicyzowanych Czechach.

Strach jest instrumentalizowany przez polityków nie tylko z naszej części Europy. Tu jednak okazuje się wyjątkowo efektywny.

– Zeman odkrył, podobnie jak wielu polityków w Europie Środkowej, że w politycznie niedojrzałym społeczeństwie może łatwo posłużyć się strachem i brakiem bezpieczeństwa. Podobnie jak niektórzy inni politycy, nie tylko używa on rzekomych zagrożeń, ale wręcz pomaga je tworzyć tylko po to, aby obiecać obywatelom, że ich przed nimi ochroni – mówi czeski politolog Jiří Pehe. – W świecie postkomunistycznym takie populistyczne strategie przynoszą efekty, bo ludzie nie za dobrze rozumieją Zachód i boją się, że zewnętrzne czynniki, jak imigranci, globalizacja czy Unia, zabiorą ich względny dobrobyt i bezpieczeństwo.

JANA PLAVEC

Romskie getto w Předlicach, przedmieściu Uścia nad Łabą, Czechy, 2017 r.

Choć teraz głównym obiektem środkowoeuropejskich lęków są muzułmanie i imigranci, to lęk przed obcym, który zburzy spokój, nie jest nowością. Na początku XXI stulecia w Czechach dyżurnym tematem politycznym było zagrożenie ze strony sudeckich Niemców (posługiwał się nim Zeman podczas poprzednich wyborów prezydenckich) oraz Romowie. Z kolei na Słowacji – Romowie i mniejszość węgierska. A na Węgrzech – znów Romowie. Mniejszość romska nadal nie może raczej liczyć na akceptację w tych społeczeństwach [wywiad z czeskimi aktywistami pracującymi z Romami i imigrantami publikujemy obok – red].

Ale choć Romowie nie byli i nie są lubiani, to nie wzbudzali strachu, raczej niechęć. Wtedy politykom takim jak Zeman czy Orbán spadł z nieba kryzys migracyjny roku 2015: ogromną liczbę uchodźców łatwo można było wykorzystać, aby przekonać wyborców, że cały ich styl życia, ich kultura i religia są zagrożone.

Orbán zareagował pierwszy i najostrzej: zaczął budować płot na granicy i rozpisał w sprawie uchodźców referendum. Do antyuchodźczego chóru dołączyli inni politycy regionu. Nieustępliwa postawa w sprawie relokacji była zaskoczeniem dla ich zachodnich partnerów w Unii. Europa Środkowa, przez dłuższy czas uchodząca za przykład pokojowej transformacji i integracji ze strukturami Zachodu, okazała się inna.

Europa Środkowa, ale niecała

– Dochodzę do wniosku, że dawne kraje komunistyczne ciągle są głęboko straumatyzowane przez swoje historyczne doświadczenia i stąd nieufne wobec zewnętrznego świata. Przez długi czas były izolowane od Zachodu. Nadal jest tu sporo czegoś, co nazywam mentalnością postkomunistyczną. Na ironię zakrawa, że niektóre z politycznych elit w Europie Środkowej mają ostre antykomunistyczne poglądy, ale są przesiąknięte sposobami myślenia i działania z czasów komunistycznych – przekonuje Jiří Pehe. – To, że antyuchodźcza histeria ma wiele wspólnego z dziedzictwem komunizmu, łatwo zweryfikować poprzez fakt, iż wschodnie Niemcy wykazują te same postawy co Polska, Węgry, Czechy i Słowacja.

Okazuje się jednak, że ta część Europy Środkowej – tj. cztery kraje wyszehradzkie i wschodnie landy niemieckie – wyróżnia się nie tylko na tle Unii, ale też bloku państw postkomunistycznych.

Adam Balcer, szef programu polityki zagranicznej Instytutu WiseEuropa, zwraca uwagę na wyniki badań opublikowanych w 2017 r. przez amerykańskie centrum socjologiczne Pew Research Center: – Głównym punktem odniesienia tożsamości dla krajów naszego regionu nie są państwo i obywatelstwo, lecz etniczny naród, który rzekomo jest monolitem, bo łączy go ta sama kultura, język, religia. Uczestnikom badania zadano pytanie, czy lepiej, jeśli społeczeństwo składa się z ludzi tej samej narodowości, religii, kultury, czy też z różnych. Prawie 60 proc. Polaków i Węgrów opowiedziało się za monokulturowym społeczeństwem, a Czechów prawie 70 proc. Co ciekawe, większość np. Chorwatów czy ponad połowa Ukraińców wybrała społeczeństwa wielokulturowe – mówi „Tygodnikowi" Balcer.

Jego zdaniem wytłumaczenie leży w historii tych krajów, np. w traumie Węgrów po traktacie z Trianon. Podpisany w 1920 r. między krajami, które wyszły zwycięsko z I wojny światowej, i Węgrami – potraktowanymi jako osobne państwo, współtworzące Austro-Węgry – oznaczał dla Madziarów utratę większości ich terytorium sprzed 1914 r. Czynnika historycznego można doszukiwać się też w Czechach: tożsamość narodowa budowała się tu w opozycji do Niemców.

Aspekty historyczne mogą sprzyjać pojawieniu się potencjalnych lęków narodowych. Ale za ich radykalnym narastaniem w ostatnich latach stoi przede wszystkim coś innego.

– Najważniejsze pytanie brzmi, czy państwo chce panować np. nad zjawiskiem ksenofobii – zastanawia się Adam Balcer. – W Europie Środkowej okazało się, że wobec ksenofobii państwa są pasywne. Co więcej, liczni politycy chętnie podjęli te karty do politycznych rozgrywek. Poza tym okazuje się, że w krajach naszego regionu ludzie są znacznie bardziej podatni na fałszywe informacje w mediach społecznościowych. Z powodu rzekomego zagrożenia falą uchodźców wpadli w „panikę moralną", jak kiedyś Amerykanie podczas słuchowiska „Wojna światów", przekonani, że właśnie wylądowali kosmici. Ludzie są w takim dygocie, w takim lęku, że wiele rzeczy można im wmówić. ↦

Priorytet: mieć kontrolę

– Kraje Europy Środkowej przez swoją izolację po II wojnie światowej nie przeszły przez tę samą transformację co zachód Europy. A potem, kiedy nagle musiały zmierzyć się z globalizacją, zupełnie nie były na to przygotowane – uważa Attila Mong.

Słowem: po upadku komunizmu działo się za dużo i za szybko. Wcześniej ludzie też się bali, ale zagrożenia były realne i znane.

Dziś zmienia się wiele, problemy są rozproszone i przybierają różne formy. Kryzys ekonomiczny, terroryzm, zmiany klimatyczne, kryzys uchodźczy, wzrost ekstremizmu i teorii spiskowych – lista jest długa i dynamicznie się zmienia. W tej sytuacji jasne wskazanie źródła zagrożenia i przedstawienie środków zaradczych staje się głównym oczekiwaniem wyborców.

– Żyjemy w świecie połączonym przez informacje, internet i to doprowadza do strachu przed utratą kontroli nad życiem. Od polityków ludzie dostają więc obietnice odzyskania tej kontroli – mówi Nicolas Maslowski. – Ciekawe natomiast, że to, co w jednym kraju może być postrzegane jako zagrożenie, w innym może być elementem pożądanym. Tak jest np. z multikulturowością, która w Europie coraz częściej jest widziana jako dowód utraty kontroli, a w Australii przeciwnie.

W Australii przybywa imigrantów nieporównywalnie szybciej niż w Europie, ale nie wzbudza to paniki. Ich szybka asymilacja z resztą społeczeństwa jest dowodem kontroli państwa nad procesami imigracyjnymi (zob. „TP" 6/2018 lub na powszech.net/australia). Ale jest jedna zasadnicza różnica między Europą a Australią. Ta ostatnia prowadzi wyjątkowo dokładną selekcję osób wpuszczanych do kraju.

– W Europie, w imię haseł wolności i równości, mamy poczucie, że czymś niestosownym byłoby dobierać sobie imigrantów. Bo przecież każdy ma prawo żyć, jak chce. W Australii tak nie jest. U nas selekcja kulturowa byłaby pogwałceniem praw człowieka, tam jest akceptowana. W efekcie jednak w Australii wielokulturowość jest widziana jako element kontroli nad przemianami kulturowymi, a we Francji zaczyna być symbolem utraty owej kontroli – uważa Maslowski.

Ciąg dalszy już trwa

W czasach Austro-Węgier, Europa Środkowa była wieloetniczna, ale i wtedy cechowało ją zamknięcie. Także komunizm od-

Przechadzka dla przerażonych

ZUZANA SCHREIBEROVÁ I JAN DÍTKO, WIELOKULTUROWE CENTRUM PRAGA:

Stosunek do muzułmanów czy Romów służy budowaniu negatywnej tożsamości Czechów: oni mają uosabiać to, czym my nie jesteśmy.

PATRYCJA BUKALSKA: Zajmujecie się prawami człowieka i społecznym wykluczeniem, pracujecie z uchodźcami. W Polsce, Czechach i na Węgrzech widać wzrost niechęci i strachu przed nimi. Dlaczego, mimo braku osobistych kontaktów, postrzega się tu uchodźców jako zagrożenie?

ZUZANA SCHREIBEROVÁ: Korzeni szukałabym w etnicznie monogamicznym czeskim społeczeństwie. Po Holokauście czeskich Żydów i wypędzeniu Niemców po II wojnie światowej poza Romami nie było w Czechach żadnej wyraźniejszej mniejszości etnicznej. Zamknięcie w czasach komunizmu jedynie to wzmocniło. Paradoksem jest, że w latach 90. XX w. Czesi przyjęli bez najmniejszych problemów przynajmniej 3500 uchodźców z byłej Jugosławii i ponad tysiąc muzułmanów z Kosowa.

Wtedy poglądy Czechów były inne?

ZS: Retoryka władz była wtedy zupełnie inna. Václav Havel, który był wówczas prezydentem, apelował do społeczeństwa o zrozumienie dla uchodźców. Przeciwnie czyni obecny prezydent Zeman: on dał uchodźcom do zrozumienia, że nikt ich tu nie zapraszał, że są zorganizowaną inwazją, a granic powinno strzec wojsko. Temat uchodźców podjęła też grupa politycznych oportunistów, z przedsiębiorcą japońsko-czeskiego pochodzenia Tomio Okamurą na czele. Uznali, że to sposób, by tanio zyskać głosy wyborców.

Ale negatywne stanowisko zajęła też większość partii politycznego mainstreamu?

ZS: Tak i paradoksalnie stracili przez to głosy, np. socjaldemokracja w wyborach miała bardzo słaby wynik. Za to populistyczna SPD Okamury zyskała. Trzeba też wspomnieć o roli mediów: w związku z tematem migracji doszło do boomu dezinformujących stron internetowych, które często mają związki z Rosją. Ale niechętna uchodźcom narracja została przyjęta też przez główne media. Np. redaktorzy popularnej prywatnej stacji TV Prima na początku kryzysu uchodźczego otrzymali instrukcję, że mają ich przedstawiać głównie w negatywnym świetle.

W latach 90. w Czechach i na Słowacji też nie brakowało populistycznej retoryki, tyle że była skierowana przeciw Romom. Teraz tematem są muzułmanie, ale mechanizm jest chyba podobny?

JAN DÍTKO: Zasadnicza różnica jest taka, że w przeciwieństwie do muzułmanów, Romowie w Czechach istnieją, istnieją też prawdziwe problemy. Musimy cofnąć się do czasów wypędzenia Niemców sudeckich i zasiedlenia terenów przygranicznych m.in. Romami ze Słowacji: niewykwalifikowanymi, czasem analfabetami. Pracowali w tamtejszym przemyśle ciężkim na najniższych stanowiskach. Po restrukturyzacji przemysłu na początku lat 90. Romowie jako pierwsi stracili pracę, a nowej już w tamtych regionach nie znaleźli. W Czechach są problematyczne obszary, tzw. romskie getta czy miejsca zamieszkane przez społecznie wykluczonych. Ich korzenie sięgają jednak segrega-

JANA PLAVEC

Skrajna prawica demonstruje na placu Wacława w Pradze, 2013 r.

grodził ją od świata. Rok 1989 i transformacja gwałtownie ją otworzyły.

W Czechosłowacji, a potem w Czechach piętno wywarł Václav Havel i otaczający go intelektualiści. Prawa człowieka były wtedy jednym z ważniejszych motorów czeskiej polityki zagranicznej. Teraz jest inaczej.

– Typowe dla czasów Zemana jest zamknięcie, izolacjonizm. W relacjach z Chinami Praga odwraca się od kwestii Tybetu, w relacjach z Rosją zapomina o Krymie i Ukrainie – podkreśla Maslowski.

Co będzie dalej?

Choć w Czechach prezydent nie ma wielkich uprawnień, to ponowne zwycięstwo Zemana jest symptomatyczne i pokazuje, jak bardzo podzielone jest społeczeństwo. Jego obie części boją się, że ich świat i sposób życia są zagrożone – tyle że gdzie indziej upatrują zagrożenia. Rosnąć może niechęć do Unii – niektórzy spekulują już, że jeśli po Wielkiej Brytanii jakieś państwo zdecyduje się na opuszczenie wspólnoty, mogą być to Czechy.

Na Węgrzech w kwietniu odbędą się wybory parlamentarne i o ile nie wydarzy się nic niespodziewanego, po raz kolejny wygra Orbán i jego partia Fidesz. Na pierwszy plan kampanii wysunął się wróg: amerykański filantrop węgierskiego pochodzenia George Soros. Orbán oskarża go, że rzekomo zamierza wpłynąć na wynik wyborów i zagraża bezpieczeństwu Węgier, postulując przyjmowanie imigrantów. Przy okazji premier atakuje węgierskie organizacje pozarządowe.

– Trudno jest budować wyborczą strategię bez spersonifikowanego wroga. Opozycja jest podzielona, więc Orbán nie ma odpowiedniego przeciwnika. Kwestia uchodźców nie jest już nowa. A Soros nadaje się do tego celu idealnie – zwraca uwagę Attila Mong. – Przy okazji część Węgrów już wierzy, że Soros faktycznie bierze udział w wyborach i ma własną partię...

– Zdumiewające jest to, że w swoich lękach mieszkańcy krajów wyszehradzkich nie mają instynktu samozachowawczego. Boją się czegoś nierealnego, oddalonego, a nie zagrożenia bezpośredniego, tuż za miedzą – podkreśla Adam Balcer. I dodaje: – Bałtowie są pod tym względem inni. Oni wiedzą, że mają jedno prawdziwe niebezpieczeństwo: Rosję. ©℗

PATRYCJA BUKALSKA

cyjnej polityki z czasów socjalizmu. Takie podejście odpowiada gminom: „problem" jest skoncentrowany w jednym miejscu, na które jest skierowana restrykcyjna polityka, przez większość społeczeństwa postrzegana pozytywnie.

A zatem przypadki romski i islamski są różne?

JD: Muzułmanów i Romów łączy to, że stosunek do nich służy budowie negatywnej tożsamości Czechów: to ci, którzy są „innymi", którzy „nie pasują do nas", na podstawie uprzedzeń uosabiają wszystko, czym my nie jesteśmy. Obie grupy, Romowie i muzułmanie, są wykorzystywane przez polityków jako mgła, która skrywa przed nami problemy, za które ci politycy ponoszą odpowiedzialność. W przypadku Romów chodzi o strukturalne społeczne pokrzywdzenie regionu, natomiast strach przed muzułmanami jest odbiciem obaw ludzi ubogich: długów, egzekucji komorniczych, utraty pracy. Dlatego postrzegają uchodźców, którzy mieliby otrzymywać zasiłki czy „zająć miejsca pracy", jako zagrożenie dla własnej niepewnej pozycji.

W ramach projektu „Przerażeni obywatele" pomagaliście nauczycielom radzić sobie z uprzedzeniami, jakie uczniowie mogli żywić wobec uchodźców i imigrantów. Skąd ten pomysł?

ZS: Chodziło o niewielki projekt, który jednak miał, jak sądzę, znaczny społeczny oddźwięk. Dostaliśmy mały grant od Czesko-Niemieckiego Funduszu Przyszłości, w ramach którego m.in. organizowaliśmy debaty z udziałem wolontariuszy, którzy pomagali uchodźcom. Ale naszą główną aktywnością były spacery, z wiodącym tematem uchodźców w czasach nazizmu. Udało nam się trafić w zainteresowanie szkół, zwłaszcza tych spoza Pragi. One często wybierały nasz „spacer" jako alternatywę wobec zwiedzania praskich zabytków.

Jak wyglądał taki spacer?

ZS: Odwiedzaliśmy miejsca związane z uchodźcami w latach 30. XX w. Opowiadaliśmy historie uciekinierów: niemieckich antyfaszystów, czeskich uchodźców z Sudetów, uchodźców żydowskich. W czasie spaceru można było korzystać z tabletów, na których przygotowaliśmy filmy, historyczne dokumenty, komiksy, literaturę piękną. Czytaliśmy wspólnie artykuły z tamtego czasu, np. o „prowokacjach" niemieckich uchodźców. Było to ciekawe, bo było tu widać podobieństwa z obecnym kryzysem. Nie staraliśmy się tych paraleli akcentować, sami spacerowicze je zauważali. Artykuły z ówczesnej prasy skłaniały też do dyskusji o obiektywności mediów i jak zwracać uwagę na manipulacje. Pod koniec uczniowie uświadamiali sobie, że imigracja i kwestia uchodźców nie jest zjawiskiem tylko współczesnym, że doświadczali tego także nasi przodkowie, i że w czasie kryzysu gospodarczego oraz braku stabilizacji zawsze się szuka kozła ofiarnego.

W spacerach wzięło udział 484 uczniów i 52 pedagogów. Przez to, że spacer łączył się czasem ze szkolną wycieczką, udało nam się dotrzeć do wielu różnych szkół.

Dlaczego to dla Was ważne?

ZS: We wszystkich dokumentach ministerstwa edukacji wspomina się o tym, jak ważne są programy wspierające tolerancję w społeczeństwie. Ale wielu nauczycieli nie wie, jak podjąć ten temat. Często po prostu brakuje im czasu. Takie organizacje jak nasza pomagają nauczycielom. Problem w tym, że podobnymi programami interesują się gimnazja, ale nie trafiają one do szkół zawodowych. Tymczasem partie populistyczne tam mają wielkie poparcie.

Ale część poglądów uczniowie wynoszą chyba z domu?

ZS: W obecnej atmosferze wielu rodziców sprzeciwia się udziałowi ich dzieci w programach o uchodźcach czy imigrantach. My jednak nie przychodzimy z ideologią. Wspieramy tylko krytyczne myślenie i uczciwą dyskusję oraz uczymy, jak pracować z informacjami. ©℗

Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Aktor Janusz Zakrzeński w roli Piłsudskiego na obchodach 90-lecia sformowania pierwszych oddziałów Wojska Polskiego w Częstochowie, 29 listopada 2008 r.

POPKULTUROWE ODCIENIE PIŁSUDSKIEGO

Choć urodził się 150 lat temu, wielu do dziś go wielbi,
a inni namiętnie dają wyraz niechęci do niego.
Ciągle nie umiemy opowiedzieć o nim tak, jak Brytyjczycy opowiadają o Churchillu.

MIKOŁAJ MIROWSKI, JAN ROJEWSKI

Ojciec założyciel polskiej niepodległości, genialny wojskowy, wytrawny polityk, wybitny strateg i wizjoner – ale również groźny terrorysta, mroczny dyktator i furiat, który nie przebierał w słowach, a także wróg demokracji, który nie znosił sprzeciwu. Wiktor, Ziuk, Komendant, wreszcie Naczelnik, a potem Dziadek...

Na bogate życie Józefa Piłsudskiego można patrzeć z wielu różnych perspektyw i przez pryzmat licznych – z jednej strony hagiograficznych, z drugiej demonizujących – etykiet.

A jak postać Marszałka przedstawiała popkultura? Co widzimy, patrząc na niego przez filmowo-teatralne okulary? Co przeważa: legenda czarna czy biała?

Legenda za życia

Jako pierwszy o swoją przyszłą mitologię zadbał sam Józef Piłsudski. Pierwotne szlify w umiejętności skutecznego przedstawiania i namawiania do swoich racji zdobywał już podczas konspiracyjnej działalności w Polskiej Partii Socjalistycznej, w której to od 1894 r. odpowiedzialny był za wydawanie, kolportaż i redagowanie nielegalnego pisma „Robotnik". Miał wtedy zaledwie 27 lat.

Ale prawdziwą próbą dla charakteru rodzącego się politycznego lidera stała się działalność wojskowa. Dość powiedzieć, że żołnierze I Brygady Legionów parafrazowali „Mazurek Dąbrowskiego" nucąc: „Marsz, Marsz Piłsudski / Prowadź na bój krwawy / Pod twoim przewodem / Wejdziem do Warszawy".

To z tego okresu wziął się – powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem – świetny ruch z dziedziny kreowania wizerunku, czyli prosty i szary mundur, który nosił Marszałek do końca życia.

Eksplozję popularności przyniósł Piłsudskiemu tzw. kryzys przysięgowy w 1917 r. – gdy większość legionistów posłuchała go i odmówiła złożenia przysięgi na wierność cesarzom z Berlina i Wiednia – i internowanie go przez Niemców w twierdzy w Magdeburgu. W umiejętny sposób uwolnił się wtedy od konieczności współpracy z przegrywającymi w I wojnie światowej państwami centralnymi. Zyskał też w oczach narodu jako nieugięty więzień polityczny.

Legenda Piłsudskiego rosła w oczach. Już w 1918 r. Ignacy Daszyński określił 51-letniego wtedy Komendanta mianem „głównej wartości wojennej Polski".

Wtórowały mu nieomal wiernopoddańcze słowa, które w swoim pamiętniku zapisał poeta i legionista Władysław Broniewski: „Jestem żołnierzem Komendanta. Osoba jego daje mi gwarancję, że będę użyty dla dobra ojczyzny i idei demokratycznej".

Marszałek czaruje

W historii II Rzeczypospolitej kult Marszałka nasilał się wraz z jego wodzowską karierą, a nowym paliwem stał się dlań triumf w bitwie warszawskiej i odparcie bolszewików w 1920 r.

Znamienna wydaje się anegdota, którą na łamach „Autobiografii na cztery ręce" opowiedział Jerzy Giedroyć. W 1928 r. ten 22-letni wówczas przyszły założyciel paryskiej „Kultury" pracował w biurze prasowym rządu. Kiedy ze zgrozą zauważono, że na dwóch dekretach brakuje podpisów Piłsudskiego, wysłano po nie Giedroycia do Belwederu. Adiutanci odmawiali spotkania, tłumacząc kolejno, że „Marszałek jest niewidzialny", a następnie mówiąc, że „Marszałek czaruje".

„Wenda [adiutant – red.] podszedł do drzwi – pisał Giedroyć – zapukał, przeżegnał się i wszedł. Przez otwarte drzwi zobaczyłem ciemny pokój i odblask ognia w kominku. Zapanowała dziwna nieoddychalna atmosfera. Jakby jakieś fluidy unosiły się w powietrzu. Miałem wrażenie, że tam rzeczywiście odbywają się czary. Samego Piłsudskiego nie widziałem, tylko kominek czy jakiś mebel. Ale ta atmosfera zrobiła na mnie wielkie wrażenie".

Gdy zmarł w maju 1935 r., „sakralizacja" jego postaci (po zamachu majowym proceder ten był państwowo usankcjonowany) uległa natężeniu. Sama żałoba trwała sześć tygodni – „jak po śmierci królów", mówiono. Dorocznym świętem stały się (obchodzone z pompą też za życia) imieniny Józefa, kiedy to odbywały się nabożeństwa, przeglądy wojsk i szkolne akademie. Więcej: 7 kwietnia 1938 r. uchwalono ustawę o ochronie dobrego imienia Piłsudskiego. Był to jedyny przykład polskiego aktu prawnego chroniącego cześć konkretnej osoby. Gdyby nie skojarzenie ze stalinizmem (nieuprawnione przecież), powiedzielibyśmy, że był to klasyczny przykład „kultu jednostki".

Znak sprzeciwu

Trudno, aby tak dobrze pielęgnowany mit umarł wraz z wybuchem II wojny światowej. Przez lata nazistowskiej i sowieckiej okupacji pamięć o Piłsudskim była kultywowana w domach. Dla wszystkich tych, którzy po 1944/45 r. nie zaakceptowali nowej komunistycznej rzeczywistości, Marszałek stał się widomym znakiem sprzeciwu – i to niezależnie od politycznej oceny (nieraz krytycznej) rządów sanacji.

Z tych też powodów na wielkim ekranie jego postać zagościła dopiero w 1977 r., za sprawą filmu Jerzego Kawalerowicza „Śmierć prezydenta" (opowiadającego o zabójstwie Gabriela Narutowicza w 1922 r.). Co prawda jeszcze przed II wojną powstały takie obrazy jak „Miłość przez ogień i krew" czy „Komendant" (nie licząc kronik filmowych, dzięki którym utrwalił się specyficzny sposób poruszania Piłsudskiego). Trudno jednak o obu tych fabułach cokolwiek powiedzieć, bo nie zachowały się żadne kopie.

Natomiast chichotem historii zdaje się być fakt, że pierwszym ocalałym długometrażowym obrazem, w którym pojawia się Piłsudski, była propagandowa sowiecka produkcja w reżyserii Jefima Dzigana „Pierwaja Konnaja" z 1941 r. Akcja filmu rozgrywa się wiosną 1920 r., a jej tło to wojna polsko-bolszewicka. Marszałek, grany przez Jewgienija Kałuskiego, przedstawiony jest jako demoniczny awanturnik, co i rusz krzyczący na Śmigłego-Rydza, by w końcu pokonał niezwyciężonego Budionnego (dowódcę tytułowej Armii Konnej), a przede wszystkim unicestwił najgroźniejszego (jak wymyślili sobie twórcy tego obrazu) przeciwnika ze strony bolszewików – Józefa Stalina, rzecz jasna.

Wymowna nieobecność

Wróćmy jeszcze do filmu z 1977 r. Do tego, by zajął się tematem pierwszych wyborów prezydenckich, Kawalerowicza miało natchnąć sąsiedztwo placu i pomnika pierwszego prezydenta RP. Biorąc się za „Śmierć prezydenta", reżyser miał już za sobą pracę przy imponującym „Faraonie", który z obecnej perspektywy można nazwać jego *opus magnum*. Podobnie jak podczas zdjęć na pustyni w Uzbekistanie, Kawalerowicz okazał się dobrym historykiem, wręcz detalistą. I tak, w „Śmierci prezydenta" przedwojenny Sejm został starannie odtworzony w Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi, statyści musieli wcielać się w konkretnych polityków (choćby na ekranie pojawiali się wyłącznie przez moment), a pietyzm, z jakim kręcono scenę pogrzebu Narutowicza, spowodował paraliż Warszawy.

Pierwszy prezydent II RP widziany okiem Kawalerowicza zyskuje wymiar Chrystusowy. Narutowicz niechętnie godzi się na prezydenturę, choć nie chce walczyć z przeznaczeniem. Urząd przyjmuje z godnością, demonstracyjnie nie zamierza zmieniać trasy przejazdu auta wiozącego go na zaprzysiężenie – pokazując, że nie boi się podburzanego przez endeków tłumu. Rzucający w głowę państwa ↦

GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA GAZETA

śnieżkami bojówkarze krzyczą „Precz z Narutowiczem!", ale równie dobrze mogliby wołać: „Ukrzyżuj go!".

W „Śmierci prezydenta" to nieobecność Piłsudskiego staje się najbardziej wymowna. Widz obserwuje go z rzadka: zasępionego, zamyślonego, wciąż układającego pasjansa. Czy jako wytrawny gracz czeka z ingerencją? Piłsudski prezentuje się tu niczym Bóg ustanawiający prawa, ale dalej już nie ingerujący w rzeczywistość.

W postać Marszałka ciekawie wcielił się powojenny amant polskiego kina Jerzy Duszyński. To chyba jedyna kreacja Piłsudskiego, w której nie ucieka się od jego litewskości i tego, jak bardzo w sensie kulturowym był on związany z Wileńszczyzną. Przemawiający przed Zgromadzeniem Narodowym Marszałek brzmi obco ze swym akcentem i kieruje uwagę widza w stronę polskich Kresów, które po 1939 r. tak brutalnie zostaną doświadczone i utracone.

Paradokument antysemitów

„Śmierć prezydenta" otworzyła w czasach PRL-u furtkę dla innych dramatów, osadzonych w realiach II RP. Kilka lat później, w 1981 r., na ekrany kin wchodzi „Polonia Restituta" Bohdana Poręby, z Januszem Zakrzeńskim w roli głównej. Zmarły w katastrofie smoleńskiej aktor pod koniec życia często wcielał się w Piłsudskiego z okazji obchodów święta 11 listopada. Był też autorem książki „Moje spotkania z Marszałkiem".

Również w 1981 r. premierę miał „Zamach stanu": obraz kontrowersyjnego (podobnie jak Poręba) ze względu na swe antysemickie przekonania aktora Ryszarda Filipskiego. Co ciekawe, scenariusz napisał Ryszard Gontarz: kolejna postać odznaczająca się w PRL-u fobiami antyżydowskimi.

W tym wypadku ciężar zagrania Piłsudskiego spoczął na samym Filipskim. Film jednoznacznie pokazywał Marszałka jako dyktatora i wroga demokracji, który nie rozumie zmian społecznych w kraju. Obraz ten nie koncentruje się tylko na przedstawieniu przewrotu majowego – równie mocno podejmuje temat pierwszych lat rządów sanacji, podkreślając autorytaryzm nowej władzy. Interesujące, że pod względem obsady „Zamach stanu" wydaje się wręcz *postscriptum* do „Śmierci prezydenta". Nie dość, że w rolę Rataja czy Witosa wcielają się ci sami aktorzy (Tomasz Zaliwski i Jerzy Sagan), to film ma zdecydowanie antypiłsudczykowską wymowę.

Pikanterii dodaje fakt, że premiera odbyła się w kwietniu 1981 r. – dwa miesiące po otrzymaniu przez Wojciecha Jaruzelskiego teki premiera PRL, co zwiastowało koniec karnawału Solidarności. Oczywiście należało zapłacić konieczne w tej sytuacji „frycowe". Widać to np. w scenie, w której policja pacyfikuje manifestację Centrolewu, a kamera robi najazd na leżący na trotuarze transparent „Niech Żyje Polska Ludowa".

Mimo dużych nakładów nie sposób powiedzieć, aby film – nagrodzony wtedy Srebrnymi Lwami na festiwalu w Gdyni – przeszedł próbę czasu: dziś „Zamach stanu" zwyczajnie nuży.

> Dla filmowej eksploracji Piłsudskiego świetnie nadawałby się **tarantinowski western** przedstawiający choćby akcję PPS pod Bezdanami z 1908 r., podczas której w ataku na carski pociąg pocztowy wzięło udział (łącznie z Piłsudskim) czterech przyszłych premierów II RP.

Teatralne boje

Po roku 1989, w wolnej już Polsce, medium, które krytycznie odnosiło się do dziedzictwa Marszałka, pozostał teatr.

Warto tu wspomnieć o tekście „Aleksandra. Rzecz o Piłsudskim" Sylwii Chutnik, który w Wałbrzychu wyreżyserował Marcin Liber. Spektakl z 2011 r. to nie tylko feministyczny *twist* znanej wszystkim historii, lecz zupełnie osobna, pełnoprawna opowieść o zapomnianej bohaterce i patriotce. Liber wykorzystał sztafaż melodramatu, opowiadając historię zaangażowanej politycznie działaczki PPS, której portret finalnie może zawisnąć co najwyżej w zbiorze rodzinnych pamiątek. Był to spektakl ważny społecznie, który udanie stawiał most między rzeczywistością II oraz III RP.

Piłsudskiego nie mogło zabraknąć w „Bitwie Warszawskiej 1920" utalentowanego duetu Monika Strzępka-Paweł Demirski. W tekście Demirskiego Piłsudski sam o sobie mówi, że jest „hetmanem prowizoryczności z gwóźdźka i paździerza". Bo to kryzys społeczny jest prawdziwym tematem spektaklu. Strzępka i Demirski wykorzystali kostium rodzącej się w bólach II RP, żeby mówić o, zdaje się, dojrzałym życiu jej kontynuatorki – Polski po 1989 r. Biogramy Piłsudskiego, Broniewskiego i Feliksa Dzierżyńskiego zderzają się ze sobą w sposób niespodziewany, opowiadając o związanych z transformacją nadziejach, o goniących deadline'ach czy – *last but not least* – marzeniach o polskim długim weekendzie.

Spektakl wywołał kontrowersje, głównie za sprawą romantycznego wizerunku Dzierżyńskiego (grał go Marcin Czarnik), który wspomina szlacheckie dzieciństwo i cytuje Norwida, aby później pogrozić palcem widowni, że los robotnika niewiele ją obchodzi. W przeciwieństwie do niego „zarządzający permanentnym chaosem" Piłsudski (Michał Majnicz) notorycznie sięga po przemoc, a najważniejsze dla istnienia państwa decyzje odkłada. Czyżby była to próba wybielenia „Żelaznego Feliksa"? Chyba tylko dla widzów, dla których jakakolwiek psychologizacja postaci jest zabiegiem niedopuszczalnym. Tym bardziej że odwracając stereotypowy podział ról, „wściekły tandem" uzyskał efekt komiczny, a przy okazji pokazał, że masowym mordercą może stać się nawet rozczytany za młodu w wieszczach Feliks, chłopiec z głową nabitą pięknymi ideami.

Wygładzone, pokrzepione

Na drugim biegunie obrazu Piłsudskiego po roku 1989 znajduje się „bezpieczny", wręcz szkolny wizerunek, który został widzom zaprezentowany w serialu Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego „Marszałek Piłsudski". Z całym szacunkiem dla twórcy „... Gdziekolwiek jesteś panie prezydencie..." (sugestywnego dramatu o Stefanie Starzyńskim, prezydencie stolicy w 1939 r.), jego telewizyjna produkcja okazała się nieudana, za bardzo wygładzająca kanty życiorysu „samotnika z Sulejówka". Może na wymowie tego serialu zaważyły dokumentalne ciągoty reżysera lub brak funduszy? Bardziej filmowe ujęcie tematu mogło być walorem – tymczasem otrzymaliśmy tu rodzaj kroniki życia Marszałka, od młodości do śmierci. W serialu tym Piłsudskiego gra dwóch aktorów: młodego Mariusz Bonaszewski, starego Zbigniew Zapasiewicz. Mimo starań wybitnych przecież artystów, postać nie wybrzmiewa.

Tym bardziej warto docenić i pochwalić ostatnią popkulturową produkcję. Za sprawą Teatru Telewizji otrzymaliśmy Piłsudskiego wcale nie posągowego, bliskiego tak biografii, jak i ogólnym wyobrażeniom. Mowa o „Marszałku" Wojciecha Tomczyka w reżyserii Krzysztofa Langa, pokazanego przez TVP przed dwoma miesiącami.

Sztuka ta opowiada o spotkaniu czterech byłych premierów z Piłsudskim w okolicach jesieni 1933 r. Temat rozmowy jest ważki; to nie przypadek, że w „*Mein Kampf*" nie ma zbyt wiele o Polsce, bo i Polski w wizji Adolfa Hitlera nie ma – mówi podczas spektaklu schorowany i coraz bardziej niedołężny Marszałek. Profetycznie przeczuwając nadchodzącą katastrofę, postanawia wyprzedzić Hitlera i uderzyć pierwszy.

Tym samym uzyskujemy osobliwy przypadek dzieła „ku pokrzepieniu serc". Tekst Tomczyka zasadza się na założeniu rodem z historii kontrfaktycznej (stąd nawiązania do Westerplatte i wpłynięcia do Gdańska niszczyciela „Wicher"). Widz czeka na przybycie Wieniawy-Długoszowskiego, emisariusza Komendanta, który ma przywieźć z Paryża wiadomość, czy Francja poprze projekt wojny prewencyjnej z Niemcami. Nie popiera, więc II RP pozostaje osamotniona, na pastwę Hitlera i Stalina.

W Piłsudskiego wcielił się tu znów Bonaszewski i jest to bez dwóch zdań kreacja wybitna. Jego Marszałek to człowiek u kresu życia, mający swoje obsesje, budzący mieszankę strachu i fascynacji. Te cechy sprawią, że choć charyzmatyczny przywódca uwodzi, to doskonale widać, iż otoczony jest przez klakierów, a w Belwederze i kraju zapanowała zgubna jednomyślność.

Czarna godzina Churchilla

Patrząc na dotychczasowe popkulturowe portrety Piłsudskiego, można wysnuć więc wniosek, że na deskach teatru i kinowym ekranie pojawia się on seryjnie lub znika na dekady. I że niezależnie od afiliacji politycznej twórców zawsze traktowany jest śmiertelnie serio, zawsze odziany w dramatyczne szaty. Jak dotąd nikt nie pokusił się, aby przedstawić Piłsudskiego tak, jak uczyniono niedawno z Winstonem Churchillem w „Czasie mroku".

Film opowiada o wydarzeniach rozgrywających się w ciągu paru tylko tygodni, w maju 1940 r. Wtedy to, po ataku III Rzeszy na Belgię, Holandię i Francję oraz po załamaniu alianckiego frontu i otoczeniu pod Dunkierką 300 tys. brytyjskich żołnierzy (niemal całej armii zawodowej, jaką miała wtedy Brytania), w Londynie trwają zmagania polityczne: co robić – i kto poniesie ciężar odpowiedzialności za dalsze decyzje, jakiekolwiek by one były.

Najpierw więc, po upadku rządu Chamberlaina (tego, który wierzył, że z Hitlerem można się dogadać), Churchill zostaje premierem – niejako z braku alternatywy, bo znienawidzony jest przez własną partię i nawet król mu nie ufa (przynajmniej na początku). Potem zaś, już jako szef „rządu jedności narodowej", musi nie tylko pokonać opór tych, którzy chcą układać się z Hitlerem – bo Francja upada, a Brytania nie jest gotowa do narzuconej przez „tego człowieka" (Churchill o Hitlerze) wojny totalnej, ani nawet do obrony Wysp przed inwazją. Ale zanim stanie przed parlamentem i narodem, Churchill musi przekonać sam siebie, że dalsza walka ma sens.

NAC

Marszałek Piłsudski w towarzystwie adiutanta mjr. Konrada Zembrzuskiego (z lewej), płk. Józefa Becka (z prawej) oraz psa o imieniu „Pies" w Rumunii, 19 sierpnia 1928 r.

Pokazano tu drobny wycinek z wyjątkowo długiej i bogatej biografii Winstona (tak mówili on nim przyjaciele i wrogowie) – maj 1940 r. Ale mimo to, a może właśnie dlatego, po obejrzeniu „Czasu mroku" (polski tytuł filmu nie oddaje sensu tytułu oryginalnego, który brzmi: „Najmroczniejsza godzina") mamy poczucie, że go poznaliśmy. Nie tylko jako polityka, ale też człowieka, z licznymi słabościami, nałogami i dziwactwami. Postawiony wobec największej próby, w swojej faktycznie najmroczniejszej godzinie, Winston wygłasza przemówienia mające umocnić ducha, a prywatnie przeżywa emocjonalną huśtawkę, czasem płacze. Królowi, z którym połączy go nieoczekiwana bliskość, wyznaje, jak potwornie się boi. Owszem, my wiemy, że na koniec wygra i pokona „tego człowieka". Ale to nie umniejsza napięcia i dramatyzmu tego, co oglądamy, czemu towarzyszymy.

Potencjał niewykorzystany

A przecież można znaleźć niejedno wydarzenie z życia Piłsudskiego, które było „godziną najmroczniejszą". Czy to podczas bitwy warszawskiej 1920 r., gdy w przeddzień decydującego starcia składa dymisję na ręce premiera Witosa. Czy to w czasie zamachu majowego 1926 r., gdy po burzliwej rozmowie z prezydentem Wojciechowskim na moście Poniatowskiego przechodzi załamanie nerwowe. Albo gdy, jak chcą niektórzy, wpada w depresję w sierpniu 1914 r., gdy akcja legionowa nie wywołuje społecznego odzewu w zaborze rosyjskim (Piłsudski spodziewał się tam wybuchu powstania). W budynku obecnego muzeum zegarów w Jędrzejowie, w pokoju, gdzie wtedy nocował, przewodnik pokazuje dziś dziurę w ścianie – legenda głosi, że to ślad po pocisku, którym Piłsudski próbował pozbawić się życia.

A jednak – nie ma takiego filmu o Piłsudskim. Więcej: mimo galopującej amerykanizacji nie dorobiliśmy się też naszego odpowiednika „Lincolna: pogromcy wampirów". Zresztą, jeśli mielibyśmy się inspirować wybitnie hollywoodzkim pomysłem, to dla eksploracji Piłsudskiego świetnie nadawałby się tarantinowski western przedstawiający akcję pod Bezdanami z 26 września 1908 r., podczas której w ataku na carski pociąg pocztowy wzięło udział (łącznie z Piłsudskim) czterech przyszłych premierów II RP.

Z kolei dla teatru wdzięcznym tematem mogłoby być spotkanie Piłsudskiego z Dmowskim w Tokio, w 1905 r. (obaj nieprzypadkowo znaleźli się tam w chwili, gdy trwała wojna rosyjsko-japońska). Była to najdłuższa rozmowa obu panów, wtedy i później politycznych rywali najcięższego kalibru politycznego, o której przebiegu nie wiemy prawie nic. Na paradoks zakrawa fakt, że dziś wśród zaciekłych krytyków Marszałka znaleźć można jednoosobowy endecki oddział w postaci Rafała Ziemkiewicza – i ani jednego artysty.

Skoro więc jego legenda jest nie do pokonania, to może da się ją oswoić? Jeśli (w myśl spektaklu Strzępki) stary Piłsudski to reprezentant elit III Rzeczypospolitej, to czy młody pepeesowski buntownik nie znalazłby się w latach 80. XX w. w Solidarności?

Ale na razie Komendant, Naczelnik i Dziadek pozostaje potencjałem niewykorzystanym. Być może zmieni się to wkrótce, w związku ze stuleciem Niepodległości. Trwają zdjęcia do wysokobudżetowej produkcji „Legiony" w reżyserii Dariusza Gajewskiego. Głośno mówiono też o filmie, który ma być realizowany w studiu Kadr autorstwa Michała Rosy. Czy czeka nas popkulturowy powrót Piłsudskiego? Zobaczymy. ©

MIKOŁAJ MIROWSKI, JAN ROJEWSKI

MAŁPY Z PROBÓWKI

Makaki jawajskie Zhong Zhong i Hua Hua
to nie pierwsze przedstawicielki naczelnych, które zostały sklonowane.
Ale pierwsze, które przyszły na świat
dzięki wykorzystaniu metody transferu jądra komórkowego.

ANNA BARTOSIK

14 LUTEGO MINĘŁA PIĘTNASTA ROCZNICA śmierci owcy Dolly. Została sklonowana i przeżyła aż sześć i pół roku (ponad połowę z tego, ile dożywają przeciętne owce). Ta najbardziej znana przedstawicielka tego sympatycznego gatunku narodziła się niedaleko Edynburga, jednak nie na szkockim wrzosowisku, ale pod okiem naukowców w Instytucie Roslin. Z tą rocznicą zbiegła się informacja podana do światowych mediów przez chińskich naukowców o narodzinach dwóch makaków: Zhong Zhong i Hua Hua (poniżej na zdjęciu), sklonowanych przy wykorzystaniu tej samej metody co owca Dolly.

Makaki należą do rzędu naczelnych, tak jak my, więc potencjalnie została przekroczona kolejna granica w kierunku klonowania człowieka. Na razie Zhong Zhong i Hua Hua piją mleko z butelki i wesoło harcują w sterylnym kojcu w Instytucie Neurobiologii Chińskiej Akademii Nauk w Szanghaju, nie zdając sobie sprawy, że ich zabawy zostały pokazane we wszystkich telewizjach świata. Imiona nowo narodzonych makaków są symboliczne, pochodzą od chińskiego słowa Zhonghua, które oznacza chiński naród lub ludzi. Ma to niewątpliwie podkreślić sukces naukowców z Państwa Środka.

Transfer jądra

Do sklonowania makaków wykorzystano metodę transferu jądra komórkowego. Najpierw z komórki jajowej usunięto jądro (posiadające pojedynczy zestaw chro-

JIN LIWANG / FORUM

mosomów), a następnie wszczepiono do niej jądro pobrane z komórki somatycznej (o pełnym, podwójnym zestawie chromosomów). W ten sposób powstał zarodek, który wszczepiono do macicy matki zastępczej, gdzie rozwijał się płód.

Dolly została sklonowana przy pomocy materiału genetycznego pochodzącego z komórek gruczołu mlekowego innej dorosłej owcy. W przypadku Zhong Zhong i Hua Hua jądra komórkowe pochodziły z fibroblastów, czyli komórek budujących tkankę łączną. Okazało się, że w przypadku makaków procedura ta jest bardzo skomplikowana.

Naukowcy napotkali wiele trudności, kiedy chcieli przeprowadzić klonowanie przy wykorzystaniu materiału genetycznego pochodzącego z organizmów dorosłych makaków. Wszystkie takie próby zakończyły się niepowodzeniem: z 290 komórek jajowych powstały 192 zarodki, z których 181 zostało wszczepionych do 42 matek zastępczych. Rozwinęły się 22 ciąże, ale urodziły się tylko dwa makaki, które przeżyły zaledwie 30 godzin i zmarły z powodu niewydolności oddechowej.

Potrzebne było alternatywne źródło materiału genetycznego. Jądra komórkowe zostały pobrane z fibroblastów pochodzących z płodów makaków. Główny autor artykułu opublikowanego w prestiżowym magazynie „Cell", Zhen Liu, spędził ponad 3 lata na udoskonalaniu procedury transferu jądra do komórki jajowej naczelnych. Po jej wstępnej optymalizacji udało się otrzymać 79 prawidłowo rozwijających się zarodków, z których 21 wszczepiono matkom zastępczym. W efekcie rozwinęło się z nich sześć ciąż, a na świat przyszły do tej pory dwa makaki, których rozwój możemy teraz obserwować. Naukowcy liczą, że w niedługim czasie narodzą się kolejne klony. Te liczby uświadamiają nam jednak, jak wiele jeszcze trzeba zrobić, by metoda była bardziej bezpieczna i efektywna.

Manipulacje ludzkim włosem

Metoda transferu jądra komórkowego została spopularyzowana dzięki klonowaniu owcy Dolly, ale pionierskie badania nad nią sięgają początków XX wieku. Prekursorem tej techniki był niemiecki zoolog Hans Spemann, który prowadził badania na płazach – salamandrach. W pierwszym doświadczeniu przeprowadzonym w 1902 r. udało mu się rozdzielić, przy pomocy pętli zrobionej z ludzkiego włosa, zarodek składający się z dwóch komórek, czyli po pierwszym podziale od zapłodnienia, na dwie oddzielne komórki (podobny proces zachodzi naturalnie w przypadku ciąży bliźniaczej jednojajowej). Z każdej z nich rozwinęła się zdrowa salamandra. Spemann próbował powtórzyć to doświadczenie na późniejszych etapach rozwoju zarodka płaza, ale bez powodzenia.

Do podobnych doświadczeń na zarodkach salamander Spemann powrócił w 1928 r. i również posłużył się ludzkim włosem jako kluczowym przyrządem. Tym razem przy pomocy pętelki zaplecionej z włosa przepchnął jądro komórkowe do części cytoplazmy zapłodnionej komórki jajowej, oddzielając je od pozostałej części komórki. Pętelka była utrzymywana podczas kolejnych podziałów komórkowych, które zachodziły tylko w tej części, gdzie znajdowało się jądro komórkowe. Po czterech podziałach komórkowych, z których powstało 16 komórek, Spemann poluzował pętelkę tak, że jądro mogło przemigrować do pozostałej części cytoplazmy. A następnie znowu ją zacisnął i tę pojedynczą komórkę oddzielił od reszty zarodka. Co ciekawe, zarówno 16-komórkowy zarodek, jak i pojedyncza komórka ulegały dalszym podziałom komórkowym i w końcu rozwinęły się z nich zdrowe salamandry. Można przyjąć, że eksperyment Spemanna był pierwszą udaną próbą transferu jądra komórkowego. Pionierskie badania Hansa Spemanna zostały docenione przez Szwedzką Akademię Nauk – w 1935 r. uczony z Fryburga Bryzgowijskiego został nagrodzony Nagrodą Nobla.

Mimo to, powszechnie przypisuje się pierwsze klonowanie przy pomocy transferu jądra amerykańskim biologom: Robertowi Briggsowi i Thomasowi Kingowi, którzy dzięki tej metodzie, w 1952 r., sklonowali żabę. Wykonali oni wiele eksperymentów i testowali jądra komórkowe pochodzące z komórek na różnym etapie rozwoju. Ich doświadczenia były niezwykle cenne dla całej embriologii. Prace tych naukowców potwierdziły, że to jądro komórkowe steruje rozwojem organizmu, oraz że klonowanie ma większe szanse powodzenia, gdy jądro komórkowe pochodzi z komórek na wczesnym etapie rozwoju zarodkowego.

Przeprogramowanie DNA

Dlaczego klonowanie przy pomocy techniki transferu jądra komórkowego jest takim wyzwaniem technicznym? Klonowanie charakteryzuje się bardzo niską efektywnością i dużym ryzykiem powstawania wad rozwojowych. Obecnie szacuje się, że na 100 wygenerowanych zarodków urodzi się tylko 0-10 klonów. Trudność polega na tym, że materiał genetyczny pochodzący z ciała dorosłego organizmu jest już zaprogramowany tak, iż komórka dawcy pełni określoną funkcję. Dochodzi w niej do ekspresji (ujawniania się) określonych genów, z kolei inne ulegają wyciszeniu. W procesie klonowania musi dojść do „przeprogramowania" zgromadzonego w jądrze materiału genetycznego i niejako cofnięcia się w rozwoju do początkowych etapów powstawania organizmu. Jak to przeprogramowanie zachodzi?

DNA podlega modyfikacji polegającej na dołączaniu jednowęglowych grup metylowych – tzw. metylacji. Proces ten reguluje, które geny ujawniają się w określonych komórkach – dzięki temu, mimo takiego samego materiału genetycznego, jedne komórki rozwijają się np. w neurony, a inne – w komórki skóry. Materiał genetyczny pochodzący z komórki dawcy ma już określony wzór metylacji, charakterystyczny dla tkanki, z której pochodzi. Ten wzór musi zostać wymazany w procesie przeprogramowania. W tym celu stosuje się środki chemiczne takie jak trichostatyna A czy 5-deoxy-azacytydyna. Naukowcy z Szanghaju zastosowali właśnie trichostatynę A w połączeniu z ludzkim enzymem Kdm4d, który dodatkowo wsparł usuwanie grup metylowych z DNA wprowadzonego do komórki jajowej. Dopiero takie połączenie czynników ułatwiających przeprogramowanie DNA doprowadziło do sukcesu. Po wszczepieniu materiału genetycznego do komórki jajowej biorcy, DNA uległo ponownie metylacji, ale w sposób, który umożliwiał ekspresję genów odpowiedzialnych za rozwój nowego organizmu.

Rażenie błony prądem

Pierwsze próby klonowania z wykorzystaniem materiału genetycznego pobranego od dorosłego organizmu przeprowadził brytyjski embriolog John Gurdon w 1958 r.

Modelem eksperymentalnym, tak jak u Briggsa i Kinga, była żaba. Gurdon pobrał jądro z komórki jelita kijanki i wszczepił je do pozbawionej jądra komórki jajowej. W ten sposób powstały kijanki, które były genetycznie identyczne z dawczynią jądra komórkowego. Ten eksperyment udowodnił, że materiał genetyczny pobrany z somatycznej komórki, która wchodzi w skład wyspecjalizowanego organu, jakim ↦

RDC POLSKIE RADIO

ANNA BARTOSIK będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 21 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

↦ są jelita, posiada cały „przepis na życie" konieczny do przeprowadzenia klonowania. Eksperymenty Gurdona były także kluczowe w badaniach nad komórkami macierzystymi. Po raz pierwszy pokazano, że dojrzałą komórkę, o określonej lokalizacji i funkcji, można przeprogramować w komórkę macierzystą – czyli taką, z której może rozwinąć się dowolna specjalistyczna komórka. Za te badania John Gurdon odebrał w 2012 r. Nagrodę Nobla, razem z japońskim lekarzem Shin'ya Yamanaką.

W kolejnych latach naukowcy czynili systematyczne postępy w doskonaleniu metody klonowania. Krokiem milowym było stworzenie pierwszego klonu ssaka przy pomocy techniki transferu jądra.

W 1984 r. Steen Willadsen powołał w ten sposób do życia owcę. Jako źródło materiału genetycznego naukowiec wykorzystał ośmiokomórkowy zarodek, z którego wyodrębnił jedną komórkę i przy użyciu prądu elektrycznego dokonał fuzji z pozbawioną jądra komórką jajową (prąd powoduje dziurawienie błony komórkowej, przez co łatwiej połączyć z sobą dwie komórki). Komórki jajowe ssaków są dużo mniejsze niż żab czy salamander. Dlatego wszelkie manipulacje są dużo trudniejsze, muszą odbywać się pod mikroskopem i ludzki włos nie nadaje się do zastosowania.

Materiał genetyczny dorosłego organizmu jest już zaprogramowany tak, że komórka dawcy pełni określoną funkcję. Podczas klonowania musi dojść do „przeprogramowania".

Zaledwie 12 lat później, w Roslin, Ian Wilmut i Keith Campbell sklonowali owcę Dolly. A w 1999 r. w Oregonie na świat przyszła pierwsza sklonowana przedstawicielka naczelnych – rezus (małpa z rodziny makakowatych) o imieniu Tetra. W tym przypadku zastosowano metodę testowaną we wczesnych latach 20. przez Spemanna na salamandrach, czyli podział jednego zarodka na dwa na odpowiednio wczesnym etapie rozwoju. Powstała w ten sposób ciąża bliźniacza dała początek dwóm identycznym organizmom. Jest to dużo łatwiejsza metoda niż technika transferu jądra, dlatego trzeba było czekać prawie 20 lat, aż na świat przyjdą klony naczelnych z materiałem genetycznym pochodzącym z komórek somatycznych.

Medyczne nadzieje

Naukowcy z Szanghaju publicznie podkreślają, że ich eksperymenty na małpach są w pełni zgodne z regułami bioetycznymi. Pracownicy laboratorium, w którym powstały sklonowane makaki, postępują zgodnie z regułami badań na zwierzętach ustanowionymi przez amerykański Narodowy Instytut Zdrowia.

Genom makaka został zsekwencjonowany, a przeprowadzona analiza porównawcza z genomem człowieka wykazała aż 97,5 proc. identyczności. Chińscy naukowcy zdecydowanie twierdzą, że ich intencją nie jest taka optymalizacja metody klonowania naczelnych, by w krótkim czasie stało się możliwe klonowanie człowieka. Podkreślają jednak, że liczą, iż ich badania uświadomią światowym decydentom, jak ważne jest uregulowanie przepisów prawnych dotyczących klonowania.

Technika klonowania w połączeniu z metodami edycji genów może prowadzić do powstania organizmów identycznych genetycznie, z wyjątkiem jednego konkretnego genu odpowiedzialnego za rozwój danej choroby. Dlatego osiągnięcia naukowców z Szanghaju mogą pomóc w lepszym zrozumieniu wielu ludzkich chorób, począwszy od nieprawidłowości genetycznych, przez nowotwory, aż po stosunkowo mało poznane zaburzenia neurodegeneracyjne, takie jak choroby Alzheimera, Parkinsona czy Huntingtona. ©

ANNA BARTOSIK

Autorka jest doktorem biologii i popularyzatorką nauki, prowadziła badania m.in. w Instytucie Biochemii Maxa Plancka w Monachium, Europejskim Laboratorium Biologii Molekularnej w Heidelbergu oraz w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

DOMENA PUBLICZNA

Mamuty w Muzeum Historii Naturalnej Utah, Salt Lake City, USA

Wskrzeszanie gatunków

W 1993 ROKU, czyli jeszcze zanim narodziła się owca Dolly, Steven Spielberg wprowadził temat klonowania do popkultury dzięki filmowi „Jurassic Park". *Tyrannosaurus Rex* i inne dinozaury ożyły dzięki zapałowi szalonych naukowców, którzy wykorzystali do klonowania DNA gadów zachowane w jelitach komarów uwięzionych w bursztynie. Żeby kontrolować populację dinozaurów i nie dopuścić do niekontrolowanego rozmnażania, wszystkie okazy zamieszkujące park były samicami. W realnym świecie nie ma planów na klonowanie jurajskich gadów, ale mamutów już tak. Zespół naukowców z Japonii i Rosji od wielu lat pracuje nad wyizolowaniem materiału genetycznego z dobrze zachowanych zwłok mamuta i wprowadzeniem go do komórki jajowej pobranej od afrykańskiej słonicy. Na razie wszelkie próby kończą się niepowodzeniem ze względu na wysoki stopień degradacji DNA mamuta. Do tej pory jedynym sklonowanym wymarłym zwierzęciem jest koziorożec pirenejski. Przeżył tylko jeden dzień i zmarł na skutek ciężkiego defektu płuc. Ożywianie wymarłych zwierząt na dużą skalę to wciąż raczej *science fiction*, ale część naukowców upatruje w klonowaniu szansę dla wielu gatunków zwierząt, które obecnie są zagrożone wyginięciem i mają trudności z rozmnażaniem się w ogrodach zoologicznych. ©

AB

WOJCIECH

Bonowicz:
Na skrzyżowaniu

Krzysztofa nie ma pięć lat. Siedzę i po raz kolejny kartkuję książkę, którą ułożył, ale której publikacji już nie doczekał – „Eseje o Bogu i śmierci". Kartkuję, żeby go odnaleźć, żeby chwilę z nim być, posłuchać, co ma do powiedzenia. W rozmowach prywatnych, nad talerzem pierogów i wódką, wolał żartować i wspominać. Czasem jednak, niespodziewanie, schodził na tematy poważne, które zajmowały go naprawdę. Powtarzał, że filozof musi brać się za bary z tym, co najważniejsze – życie, śmierć, Bóg, wieczność, miłość – i konfrontować się z największymi. On sam upodobał sobie Nietzschego.

Nie będę się wymądrzał. Przepiszę z jego książki fragment dla mnie ważny, w którym Krzysztof pyta – siebie i nas – co znaczy „żyć po chrześcijańsku". Uważał, że Nietzsche, wielki krytyk chrześcijaństwa, może nam w tej kwestii coś podpowiedzieć. Jednak w cytowanym fragmencie nie odwołuje się doń bezpośrednio; to, co notuje, jest raczej wnioskiem z długich godzin, miesięcy i lat spędzonych nad jego dziełem. „Nie można do końca wiedzieć, co znaczy »być chrześcijaninem«" – pisze i przywołuje słowa Audena, wedle którego chrześcijanin „to ktoś, kto wie, że nim nie jest". Nie można wiedzieć, że się j e s t chrześcijaninem, „wiedzieć można co najwyżej, że się nie dorasta, że się nie potrafi, że się nie da rady. Wiedzieć można tylko o niepowodzeniu tego wysiłku (żeby być chrześcijaninem) – nie o jego sukcesie (że się nim jest)".

Wbrew pozorom, to nie jest myśl zaplątana w paradoksy i zakochana w nich. „Świadomość chrześcijańska to zatem świadomość – pisze dalej Krzysztof – że moje życie kryje w sobie możliwość innego życia niż to, które mam. Nie, nie »lepszego« życia: życia bez trosk, chorób, strachu, życia, co się nie kończy. Chodzi tu raczej o radykalnie inną możliwość życia, która nie da się ogarnąć z perspektywy pojęć, jakie dotąd sobie uformowałem. (...) Jak ta – niesłychana, rozrywająca sieć moich pojęć – możliwość życia wychodzi na jaw, jeśli nie może ujawnić się w wiedzy?". Odpowiedź brzmi: ona ujawnia się w spotkaniu z drugim człowiekiem – i tylko tam. Ujawnia się, o ile wchodzę w nie „jak dziecko", bo tylko dziecko, jak powiada Pismo, może „wejść do Królestwa Bożego". „Odrzucić wszelkie zobowiązania, które czynią mnie tym, kim jestem, reguły, prawa, co wprowadzają z konieczności różnice między ludźmi: stać się niewinnym jak dziecko". Przyjąć drugiego z całą naiwnością, „bez względu na to, czy jest bandytą, czy sprawiedliwym, idiotą czy mędrcem", nie osądzając go, lecz dla niego porzucając dotychczasowego siebie. „Tak tylko można spotkać Boga", powtarza kilka razy Krzysztof.

„Czego ty chcesz, Krzysiu?", mam ochotę go zapytać. „Czy to aby nie najprostsza droga, by wszystkich, którzy uważają się za chrześcijan, wpędzić w poczucie winy? Czy nie zachowujesz się jak pierwszy lepszy kaznodzieja, który wyrzuca słuchającym go owieczkom, że »nie dorastają«?".

Wiem, co mi odpowie: przeczytaj raz jeszcze. W przywołanym fragmencie wszystko jest powiedziane. Chrześcijańskie życie to nie życie w jakiejś abstrakcji, w świecie idei krążących nad głowami ludzi, w strukturze, która powiela idee, nie wcielając ich w życie lub wcielając częściowo, gdy samej strukturze to nie zagraża. Nie. Chrześcijańskie życie to życie z drugim, oparte na jego bezwzględnej akceptacji. Wyrzeczenie się nie tylko wrogości, chęci zapanowania nad nim, zmanipulowania go, ale nawet – dopasowania do własnych kategorii, norm, reguł postępowania. „Taka relacja przerywa nasze normalne życie, między wczoraj a jutro – a jednak jest w nie wpisana, jest jego drugą stroną – pisze Krzyś. – Jest jego możliwością: możliwością wyzwolenia z tego, czym teraz jestem, czym byłem, czym oczekuję, że będę. Możliwością wyzwolenia z czasu". Zmartwychwstaniem. Zbawieniem.

Nie uwierzycie, gdzie piszę ten felieton. Siedzę w samochodzie na jednym z krakowskich skrzyżowań. Właśnie stuknęliśmy inne auto i czekamy na przyjazd policji. Książkę Krzysztofa Michalskiego mam ze sobą naprawdę. Minęło już pół godziny, czterdzieści minut, pięćdziesiąt, godzina... Nikt nie nadjeżdża, ręce mam zimne jak trup – a głowę rozpaloną.

Im dłużej kartkuję i notuję, tym bardziej. ©

Kluby „TP" zapraszają:

BYDGOSZCZ Spotkanie „Alejchem szalom. Między asymilacją a wyobcowaniem". Prowadzenie Piotr Mazurkiewicz. **Czwartek, 22 lutego, godz. 18.00,** Sala Pamięci Bydgoszczan Biblioteki Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego (ul. Szymanowskiego 3).

GRUDZIĄDZ Spotkanie z cyklu „Wspólne czytanie ks. Tischnera". Część I. **Wtorek, 27 lutego, godz. 18.30,** kawiarnia Kontynenty (ul. Starorynkowa 12/14).

KOSZALIN Spotkanie „Ksiądz w literaturze XX wieku, okresu przedsoborowego". Gościem będzie ks. Dariusz Jastrząb, proboszcz parafii katedralnej w Koszalinie. **Czwartek, 22 lutego, godz. 18.45,** sala parafialna parafii pw. Niepokalanego Poczęcia NMP (ul. Chrobrego 7).

KRAKÓW Wspólna lektura i dyskusja książki „Tischner czyta katechizm". **Piątek, 23 lutego, godz. 18.00,** Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Sławkowska 14, I piętro).

PLESZEW Powstaje nowy klub. **Środa, 21 lutego, godz. 17.00,** Centrum Wspierania Inicjatyw Obywatelskich (ul. Bolesława Krzywoustego 3).

SŁUPSK Spotkanie integracyjne. **Środa, 21 lutego, godz. 17.00,** herbaciarnia Spichlerz Richtera (Rynek Rybacki).

TYLKO NIE PROROK!

Milenialsi czekali właśnie na niego: nauczyciela, który nimi wstrząśnie. Pokaże, że prawdziwe bohaterstwo polega na zmaganiu się z demonami, które rozrywają nasze dusze.

DARIUSZ ROSIAK

Książka „12 Rules for Life. An Antidote to Chaos" („12 reguł na życie. Odtrutka na chaos") to w zasadzie poradnik typu „jak żyć". Z tym że odpowiedzi, których udziela autor, różnią się znacząco od klasyków gatunku. Zamiast porad typu: „idź za marzeniem", „bądź otwarty na innych" oraz „wsłuchaj się w swoje wewnętrzne dziecko", czytelnik dostaje niezwykle ambitne, przekrojowe dzieło filozoficzno-psychologiczne z potężnym wsadem myślenia religijnego i odniesieniami do dziesiątków wydarzeń, nurtów i dzieł ludzkiej kultury: od Biblii i Bhagawadgity do Nietzschego, Dostojewskiego, Darwina, Orwella, Freuda, Junga, Derridy, Foucaulta, od historii Gilgamesza i Ozyrysa do Harry'ego Pottera, Simpsonów i „Fight Clubu".

Autorem książki jest Jordan Peterson, psycholog kliniczny i wykładowca uniwersytetu w Toronto. Legendarna feministka Camille Paglia nazywa go „najważniejszym kanadyjskim intelektualistą od czasów Marshalla McLuhana", wybitny socjolog i myśliciel Jonathan Haidt uważa za „jednego z nielicznych profesorów, którzy nie czują strachu".

Inni wyklinają Petersona jako skandalistę rodem z alt-prawicy, a koledzy naukowcy z kanadyjskiej uczelni Wilfrid Laurier University porównali go do Hitlera.

Jak żyć

Poszukiwanie szczęścia w życiu nie ma sensu, ponieważ efektem takiego dążenia jest frustracja, rozczarowanie, gniew. Bo świat nie jest rezerwuarem szczęścia, tylko cierpienia. Ta prawda zapisana jest we wszystkich religiach świata. Buddyści mówią o tym otwarcie, chrześcijanie ilustrują przy pomocy symbolu krzyża, dla Żydów cierpienie ich narodu stoi w centrum historii. Emocjonalna i fizyczna kruchość jest podstawowym doświadczeniem człowieka.

Sens ma życie, którego celem jest uświadomienie sobie tego faktu i próba odszukania znaczeń we wszystkim, co nas spotyka. Do tego potrzebna jest odwaga, zaakceptowanie własnych niedostatków i wzięcie za nie odpowiedzialności (poprzez próbę zmiany albo dostosowanie się do własnych ograniczeń). Próby systemowego leczenia ludzi z rozpaczy i nieszczęścia przy pomocy inżynierii społecznej są wrogie człowiekowi i obracają się przeciwko niemu, bo podstawowe kategorie społeczne, takie jak hierarchie czy odmienne zachowania osobników męskich i żeńskich, wyrastają poza opozycję biologia–kultura. Zjawisko dominacji istnieje w przyrodzie (np. u homarów) od prawie pół miliarda lat. Zanim zaczęła się kultura, zanim zaczął się człowiek, zanim powstały drzewa – istoty, z którymi dzielimy geny, walczyły między sobą o pozycję.

Owszem, możesz uznać, że jako członek jakiejś grupy społecznej (kobieta, czarny, Indianin, katolik, ateista, niepełnosprawny) jesteś dyskryminowany, i będzie to prawdą, bo wszyscy jesteśmy dyskryminowani. Ale możesz też stawić czoło złu, które cię otacza, i rozpaczy, która, im dłużej żyjesz, staje się coraz częstszym twoim udziałem. Możesz im ulec, ale możesz też – nieważne, czy jesteś kobietą, czy mężczyzną, i jak wiele nieszczęść w życiu cię spotkało – budzić się co dzień rano, brać do ręki miecz i walczyć ze smokami, ścinać im głowy, podejmować ryzyko, wbijać zęby w mięso życia.

Inaczej grozi ci popadnięcie w jedną z dwóch chorób duchowych, których fundamentem jest podstawowa emocja współczesnego człowieka – resentyment. Pierwsza to wiara, że każda moralność jest względna, a jedyną radą, jaką można dać człowiekowi – np. jedyną treścią nauczania – jest tolerancja, czyli akceptowanie każdej postawy życiowej i traktowanie każdego wyboru jako równie uprawnionego. Owocem takiej postawy jest nihilizm i rozpacz. Jeśli jesteś członkiem pokolenia milenialsów, to ↦

Jordan Peterson, Toronto, grudzień 2016 r.

CARLOS OSORIO / GETTY IMAGES

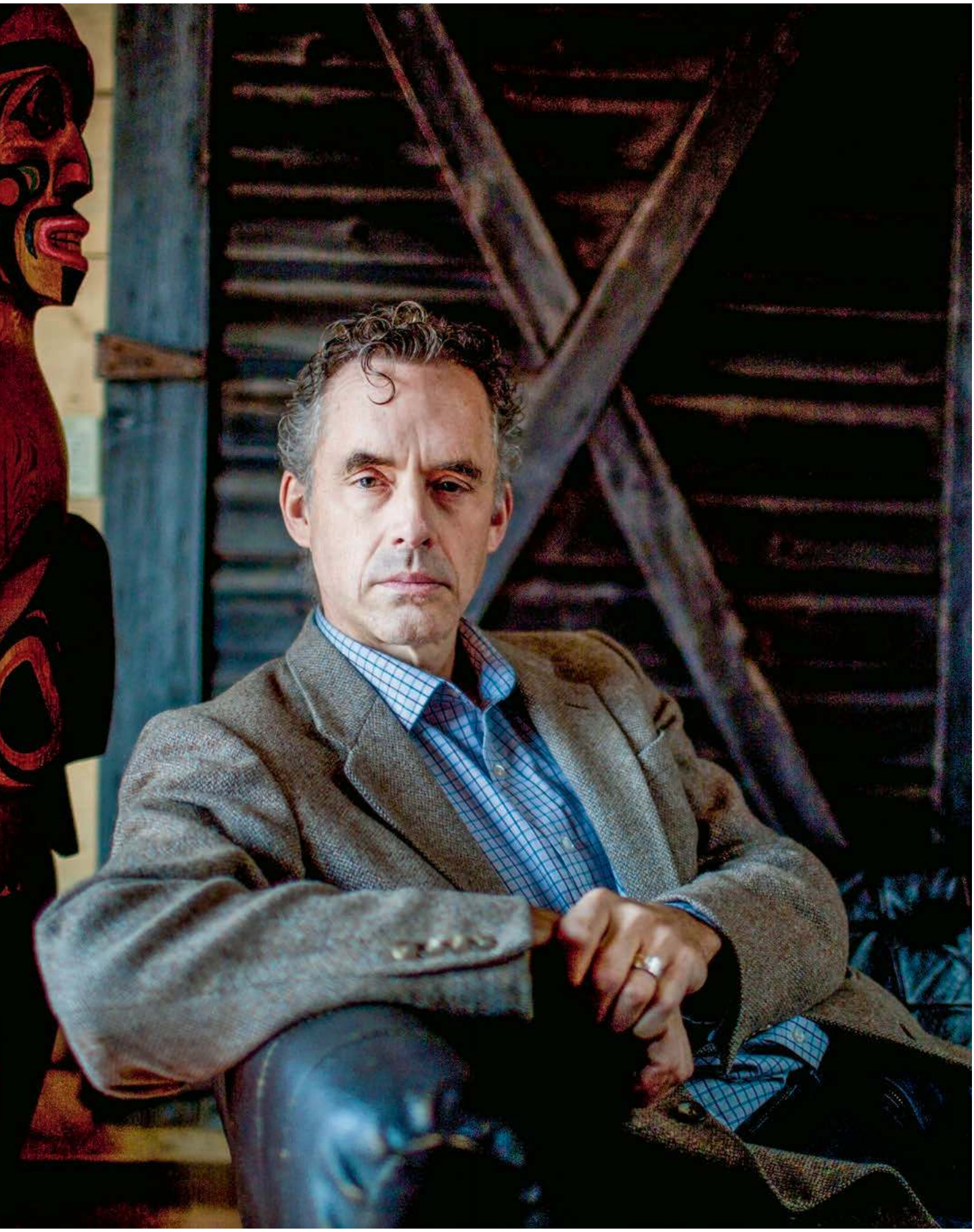

↦ strach przed przyszłością jest prawdopodobnie najczęstszą emocją, której doświadczasz.

Druga postawa, również powszechna, jest zaprzeczeniem pierwszej, choć obie mogą istnieć obok siebie: poszukiwanie pewności w ideologiach, czyli w prostych jednoznacznych teoriach, które wyjaśniają komplikacje świata przy pomocy jasnych, czytelnych komunikatów. Ideolog to człowiek, który wie, co trzeba zrobić, żeby świat był „lepszym miejscem do życia", choć niekoniecznie umie posłać własne łóżko. A może umie, tylko mu się nie chce, bo zmienianie świata jest ważniejsze. Otóż nie jest.

I tak dalej, i tak dalej...

Mapy znaczeń

Jeszcze półtora roku temu Peterson był, owszem, popularnym, ale w bardzo wąskim gronie naukowcem, wykładowcą i youtuberem znanym z dwugodzinnych wykładów na temat psychologicznych i antropologicznych znaczeń ukrytych w historiach biblijnych.

Przed 1999 r. Peterson wydał liczące niemal sześćset stron dzieło „*Maps of Meaning*" („Mapy znaczeń"), w którym bada źródła zła prowadzące do totalitaryzmów i ludobójstw, takich jak komunistyczne łagry i hitlerowskie obozy koncentracyjne, oraz wprowadza opozycję porządku (w którym ludzie działają według powszechnie zrozumiałych i akceptowanych norm społecznych) i chaosu (czyli sfery nieznanej i nieprzewidywalnej). Porządek nie jest idealnym rozwiązaniem – czasem przybiera formy opresji, co jest złe, ale chaos może nas wchłonąć i zniszczyć. To jeszcze gorzej. Ideałem mądrości i udanego życia jest znalezienie wąskiego przesmyku między porządkiem a chaosem i trzymanie się tej drogi.

Książka „*Maps of Meaning*", nad którą Peterson pracował, jak twierdzi, codziennie przez 13 lat, sprzedała się w liczbie niespełna pięciuset egzemplarzy i uzyskała jedną recenzję na kolumnie religijnej „Montreal Gazette". „*12 Rules for Life...*", która jest – co przyznaje sam autor – przełożeniem „*Maps of Meaning*" na przystępną formę, w pierwszych tygodniach znalazła się na topie sprzedaży w amerykańskim i kanadyjskim Amazonie. Trzysta tysięcy ludzi śledzi profil Petersona na Twitterze, a 50 milionów obejrzało jego śmiesznie długie jak na współczesne standardy filmy i wykłady na YouTubie.

Świat usłyszał o Jordanie Petersonie w drugiej połowie 2016 r., kiedy na YouTubie ukazał się film ze spotkania wykładowcy z uczniami (głównie mężczyznami w wieku od 20 do 30 lat – z tej grupy wywodzą się jego najwięksi fani) na dziedzińcu uniwersytetu w Toronto. Do rozmowy włącza się grupa studentów, którzy przypuszczają atak na Petersona za to, że nie chce się podporządkować przepisom nakazującym stosowanie wobec osób transpłciowych zaimków osobowych, które one same uznają za właściwe.

W ubiegłym roku weszło w życie nowe kanadyjskie prawo równościowe określane kryptonimem B-16, zawierające m.in. przepisy o zaimkach. Peterson do tej pory odmawia stosowania określeń takich jak „*zer*" czy „*xe*" twierdząc, że nie ma dowodów naukowych na istnienie innych płci poza mężczyzną i kobietą (choć przyjmuje do wiadomości, że istnieją osoby, które we własnym poczuciu nie mieszczą się w tych kategoriach), ale przede wszystkim protestując przeciwko narzucaniu mu sposobu używania języka według zasad postmodernistycznej nowomowy.

Sposób używania języka i narracji to kluczowe kategorie w myśleniu Petersona. Uważa on, że przed pojawieniem się oświeceniowego „światopoglądu naukowego" podstawą przekazywania prawdy o człowieku były opowiadane i spisywane historie. Byt rozumiany był jako scena ludzkiego doświadczenia, w którym zapisane są stosunek do innych ludzi, rzeczy, zjawisk przyrody, ale także emocje, sny, nadzieje, rozczarowania. Podstawowe wzory zachowań ludzkich zawarte są w dwóch rodzajach dokumentów: naszym DNA, które jest wytworem ewolucji, ale także w najstarszych tekstach Biblii czy innych świętych księgach i mitach religijnych. W „12 regułach..." Peterson pokazuje np., jak historia stworzenia, wygnania z Raju czy mordu Kaina wpisuje się w ludzkie rozumienie ofiary, cierpienia, obietnicy, resentymentu.

To jest myślenie głęboko religijne, bo zakłada istnienie w świętych tekstach czegoś w rodzaju matrycy (kulturowego DNA?), której odczytanie pozwala nam zrozumieć ludzką naturę. Siebie widzi Peterson właśnie w roli odkrywcy znaczeń zawartych w mitach stworzonych przez człowieka od początku historii.

Nic dziwnego, że jako sięgający do tradycji religijnej i filozoficznej narrator opowiadający o naturze ludzkiej przy pomocy literackich i religijnych wytworów człowieka, Peterson uważa postmodernistyczne próby dekonstrukcji języka i wielkich dzieł literackich za akty barbarzyństwa. Jego zdaniem cała struktura akademicka w Stanach Zjednoczonych (w latach 90. wykładał na Harvardzie) i Kanadzie jest skorumpowana i nastawiona na produkowanie aktywistów społecznych (SJW – Social Justice Warriors), a nie ludzi wykształconych, świadomych siebie czy choćby zdolnych do samodzielnego myślenia.

Poglądy na temat współczesnych ideologii, zwłaszcza radykalnego feminizmu i sposobu określania osób transpłciowych, posłużyły wrogom Petersona do zakwalifikowania go jako przedstawiciela alt-prawicy, co on sam uważa za absurd. Określa się mianem „klasycznego brytyjskiego liberała", choć jego poglądy społeczne (jest za pomocą społeczną dla biednych i dekryminalizacją używania narkotyków, zdecydowanie krytykuje poglądy alt-prawicy na temat mniejszości etnicznych czy rasowych) plasują go nieco bliżej tradycyjnej lewicy. Nie lewica jest jego wrogiem, ale ideologia „postmodernistyczno-neomarksistowska".

Jak sam przyznaje, nie rozumie, w jaki sposób marksizm, który jednak zakłada istnienie jasno określonych struktur i hierarchii, może współgrać z postmodernistycznym nihilizmem. Jedno dla niego jest pewne: efektem takiego przymierza może być totalitarna utopia, w której człowiek traci swój wymiar indywidualny i sam siebie zaczyna traktować jako przedmiot polityki tożsamościowej. Peterson twierdzi, że na amerykańskich i kanadyjskich uczelniach ten proces w zasadzie jest zakończony, a jemu samemu pozostała rola reakcjonisty, bo „reakcjonizm jest dziś nowym radykalizmem".

Myślę inaczej

Nie boi się iść pod prąd nawet najbardziej popularnym poglądom, jeśli uzna, że są one wytworem postmodernistycznej, wrogiej jednostce ideologii. Filmem, który przebił popularnością jego starcie ze studentami na dziedzińcu uniwersytetu, okazał się niedawny wywiad ze znaną brytyjską dziennikarką telewizyjną Cathy Newman (ponad 5 mln obejrzeń w ciągu kilku dni).

Źródłem popularności rozmowy jest z pewnością fakt, że dla dziennikarki była to dotkliwa i gorzka lekcja (nic tak nie „grzeje" użytkowników sieci jak upokorzenie medialnej gwiazdy): przez pół godziny próbowała bezskutecznie wmówić Petersonowi poglądy, których nie wyznaje, po czym na koniec pokonana poddała się – zainteresowanym polecam wywiad, bo opowiadanie go jest jak tłumaczenie dowcipu (goo.gl/zC8SxH).

W tym dramatycznie źle przeprowadzonym wywiadzie Peterson potrafił się obronić i uzasadnić swój sprzeciw wobec jed-

nego z najbardziej popularnych postulatów współczesnego Zachodu – gwarantowanego prawem zrównania płac kobiet i mężczyzn za tę samą pracę. Argumentacja Petersona jest warta prześledzenia, bo odkrywa ona powody jego sprzeciwu wobec tzw. polityki tożsamościowej.

Peterson nie uważa – jak twierdzą jego krytycy – że różnice płac między kobietami i mężczyznami nie istnieją – oczywiście, że istnieją, na niekorzyść kobiet. Nie godzi się natomiast, że różnica płci to czynnik jedyny albo decydujący. Uważa, że jest ona tylko jednym z kilkunastu czynników, które wpływają na poziom wynagrodzenia – obok płci są to kompetencje, zaangażowanie pracownika, jego/jej wydajność, cechy osobowościowe, które wywołują sympatię bądź antypatię szefów, i wiele innych. Nie tylko kobiety są opłacane niżej za tę samą pracę.

Większość mężczyzn zarabia mniej niż niewielka grupa innych mężczyzn, którzy robią dokładnie to samo. Podobnie jak większość pisarzy i dziennikarzy zarabia mniej niż garstka innych. Większość wykonywanej współcześnie muzyki napisana została przez Bacha, Beethovena, Mozarta i Czajkowskiego, świat nie ma pojęcia o być może wspaniałych kompozytorach i kompozytorkach, których dzieła z różnych powodów nie są grane przez współczesne orkiestry.

I tak jest dobrze – twierdzi Peterson – tzn. nawet jeśli nam się to nie podoba, to jest to lepsze niż ustawowe zrównywanie płac mężczyzn i kobiet. Dopóki przepisy ustalone przez państwo gwarantują równość szans, nie należy – zdaniem Petersona – ingerować w prawo firm do zatrudniania osób najbardziej kompetentnych i opłacania ich najwyżej. Hierarchia kompetencyjna zakładająca równość szans, a nie równość końcowych rezultatów, jest jedynym sensownym rozwiązaniem społecznym. Owszem, może się zdarzyć, że wiedziony nienawiścią do kobiet pracodawca nie zatrudni lepszej pracowniczki opłacając gorszego pracownika. Ale to są jednak nieliczne przypadki. Czy pacjent czekający na przeszczep serca będzie wolał najlepszego specjalistę w swojej dziedzinie (bez względu na płeć, rasę, wyznanie, charakter i być może paskudną postawę moralną), czy raczej rozważy możliwość wyłonienia chirurga (chirurżki?) drogą eksperymentu z dziedziny inżynierii społecznej?

Oczywiście takie eksperymenty non stop się odbywają i, jak zauważa Peterson, za każdym razem przynoszą podobne rezultaty. Powtarzanie tych samych czynności w oczekiwaniu odmiennych rezultatów to, jak wiadomo, jedna z definicji szaleństwa, a jednak właśnie na tym polega konsekwentne stosowanie polityki równościowej. W Szwecji, w której polityka równościowa osiągnęła poziom najwyższy z notowanych w historii, w dalszym ciągu kilkanaście razy więcej kobiet niż mężczyzn zostaje pielęgniarkami, a kilkanaście razy więcej mężczyzn niż kobiet pracuje w roli inżyniera. Postawione w sytuacji pełnego, nieskrępowanego wyboru kobiety preferują zawody kojarzone z ich tradycyjnymi rolami. Podobnie jak mężczyźni. Co nie znaczy, że nie da się wszystkiego zrównać – da się, wystarczy przyjąć założenie, że system nie działa, bo jest go za mało, co zresztą było swego czasu wyjaśnieniem przejściowych kłopotów realnego socjalizmu. Można, tak jak w Islandii, zmuszać pracodawców do płacenia dokładnie tyle samo kobietom i mężczyznom, podobnie jak można zmuszać kobiety, by zostały inżynierami, a młodych mężczyzn wysyłać obowiązkowo do szkół pielęgniarskich. Jeśli się na to zdecydujemy – argumentuje Peterson – zmierzamy prostą drogą w stronę totalitaryzmu.

> Zdaniem Petersona cała struktura akademicka w USA i Kanadzie **jest skorumpowana** i nastawiona na produkowanie aktywistów społecznych, a nie ludzi zdolnych do samodzielnego myślenia.

Przy tym poglądy Petersona są skomplikowane, „12 reguł…" to zestaw długich, napełnionych gęstą treścią esejów, napisanych miejscami w bardzo emocjonalny sposób, w których przemyślenia natury filozoficznej, religijnej, politycznej doskonale współgrają z osobistymi wspomnieniami i refleksjami.

Dla równowagi same reguły brzmią jak wzięte z podręcznika coachingu, co prawdopodobnie jest zabiegiem marketingowym, na który zapewne złapią się amatorzy łatwiejszej lektury: „Stój wyprostowany ze ściągniętymi ramionami", „Traktuj siebie jak osobę, której chciałbyś pomóc", „Przyjaźnij się z ludźmi, którzy chcą twojego dobra", „Porównuj się ze sobą, którym byłeś wczoraj, a nie z inną osobą", „Nie pozwól swoim dzieciom zachowywać się tak, żebyś je potem znielubił", „Szukaj tego, co ma sens, nie tego, co wygodne", „Przyjmij założenie, że osoba, z którą rozmawiasz, może wiedzieć coś, czego ty nie wiesz", „Mów prawdę, a przynajmniej nie kłam", „Bądź precyzyjny, kiedy mówisz", „Posprzątaj w mieszkaniu, zanim zaczniesz krytykować świat", „Nie dręcz dzieciaków, które jeżdżą na desce" i „Pogłaszcz kota, gdy go spotkasz na ulicy".

A co to znaczy wierzyć?

Jordan Peterson pochodzi z małej miejscowości Fairview w stanie Alberta, gdzie przez pięć miesięcy w roku temperatura minus 40 stopni Celsjusza jest normą, podobnie jak rodzinne patologie, alkoholizm i nadzieja na wyjazd w jakimkolwiek kierunku.

„Zanim skończyłeś 12 lat, wiadomo było, kto wyjedzie, kto zostanie" – pisze autor. Zapewne dodatkowym źródłem jego bezkompromisowej filozofii życiowej jest po części osobiste doświadczenie pogłębione tragedią rodzinną – jego córka w dzieciństwie zachorowała na rzadki rodzaj artretyzmu i walka z chorobą wypełniała życie rodziny Petersonów przez kilkanaście lat.

Być może jest dziś tak popularny, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn, bo się nie poddał. Nie uległ nihilistycznej rozpaczy, nie przyjął postawy ofiary, mimo że tak byłoby prościej. Pokolenie milenialsów czekało właśnie na kogoś takiego: na nauczyciela, który nimi wstrząśnie, przywróci do życia świat, w którym etos rycerza ma sens, a prawdziwe bohaterstwo nie polega na braniu udziału w manifestacji ulicznej, tylko na zmaganiu się z demonami, które rozrywają nasze dusze.

Ma grono – jak sam mówi – niebezpiecznie oddanych mu wyznawców. Niektórzy nazywają go nawet prorokiem, ale on nie lubi tego określenia. „Zobacz, jaki los spotyka proroków, nie bardzo mnie to interesuje " – mówił w jednym z niedawnych wywiadów.

Co ciekawe, nie jest też człowiekiem nadmiernie religijnym, w każdym razie jego stosunek do religii jest niejednoznaczny, a zapytany, czy wierzy w Boga, zwykle wdaje się w dyskusję na temat tego, co znaczy słowo „wierzyć", a co „Bóg". W jednym z wywiadów powiedział: „Staram się żyć tak, jakbym wierzył, że Bóg istnieje". ©

DARIUSZ ROSIAK

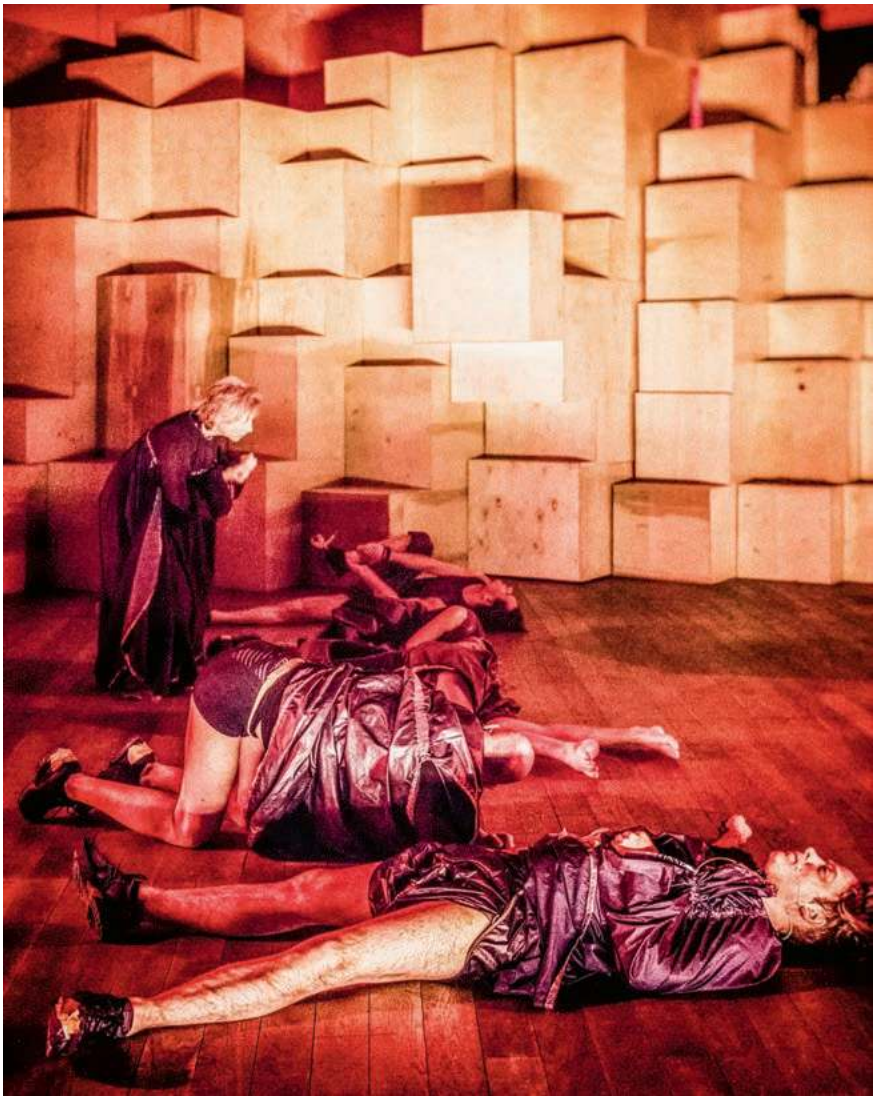

MAGDA HUECKEL / NOWY TEATR

Małgorzata Hajewska-Krzysztofik (stoi) oraz Piotr Polak, Wojciech Kalarus, Bartosz Bielenia, Jaśmina Polak i Bartosz Gelner podczas próby generalnej „Uczty", Nowy Teatr, Warszawa, 7 lutego 2018 r.

Zjadanie Sokratesa

DARIUSZ KOSIŃSKI

Cała filozofia jest jak wiadomo zestawem przypisów do Platona. A Platon okazał się właśnie istotnym przypisem do najnowszej historii polskiego teatru.

Polityczność osławionego „nowego polskiego teatru" realizowała się głównie na froncie erotyki. Tak było od początku tego zjawiska, którego 25-lecie urodzin obchodzono rok temu. Objawić się miało jednego wieczora, 18 stycznia 1997 r., gdy jednocześnie odbyły się premiery „Bzika tropikalnego" według Witkacego w reżyserii Grzegorza Jarzyny (Teatr Rozmaitości) oraz „Elektry" Sofoklesa w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego (Teatr Dramatyczny). Ta pierwsza narobiła większego hałasu i została najszybciej rozpoznana jako przełomowa. Ale w ciągu kilku następnych lat to Warlikowski wyrósł na czołową postać „nowego teatru", a zarazem twórcę jego oryginalnej, autorskiej wersji, która wkrótce zdobyła międzynarodowe uznanie.

Najwięcej kontrowersji wokół teatru Warlikowskiego brało się w Polsce z powodu atakowanych przez niego tabu związanych z seksualnością, płcią i władzą. Od „Poskromienia złośnicy" (1997), przez słynnego „Hamleta" bez majtek (1999), po „Oczyszczonych" Sarah Kane (2001) – każda premiera Warlikowskiego przyjmowana była jako radykalnie polityczna, ale politycznością odnoszącą się nie do partyjnych ideologii i sporów, tylko do walki o jednostkową wolność realizowaną w relacji do płci i orientacji seksualnej. Oczywisty tryumf „Oczyszczonych" zamknął ten bojowy okres, czyniąc z Warlikowskiego uznanego mistrza, którego kolejne przedstawienia przyjmowane były z uwagą i szacunkiem należnym mistrzom.

Po wielu latach starań Warlikowski otrzymał „swój" Nowy Teatr w Warszawie, który błyskawicznie stał się jednym z najważniejszych, najciekawszych i najmodniejszych miejsc na warszawskiej i polskiej scenie kulturalnej.

I właśnie tu „nowy teatr" ostatecznie stał się teraz historią. Zamkniętą.

Erooos! Eeeerooos!

Kolejne przedstawienia Krzysztofa Garbaczewskiego zrealizowane w ostatnich sezonach przynosiły całą serię niezwykłych obrazów, szalonych konstrukcji, pokręconych maszyn i wizualizacji, w których nawet najuważniejszy wzrok gubi się, odkształca i traci pewność. Po futurystyczno-neuronowych „Chłopach", zakończonych obrazem bociana-robota, nikt chyba nie spodziewał się, że uczestnicy „Uczty" Platona będą prowadzić w jego nowym spektaklu filozoficzne debaty półleżąc, popijając wino i podjadając południowe owoce. Wśród twórców przedstawienia wymienionych na stronie teatru pojawili się autorzy wizualizacji VR, więc zacząłem się nawet zastanawiać, czy Nowy Teatr stać na okulary przenoszące do wirtualnej rzeczywistości dla wszystkich widzów, czy też będą je zakładali tylko jacyś wybrańcy...

Tymczasem scena „Uczty" wygląda jakoś zwyczajnie, prosto, nawet, hmm... banalnie. Wysoka konstrukcja z drewnianych prostopadłościanów ułożonych amfiteatralnie kojarzy się natychmiast z antycznymi amfiteatrami, a jednocześnie przypomina ścianę z kartonów. Wygląda to trochę tak, jakby amatorski teatr bardzo chciał stworzyć iluzję antycznego theatro-

nu, ale nie starczyło mu budżetu. Mamy wrażenie komponowanej świadomie teatralnej abnegacji. Potęgują ją niedbałe działania sceniczne, prowadzone, gdy widzowie zajmują miejsca na swoim amfiteatrze. Jaśmina Polak i Małgorzata Hajewska-Krzysztofik składają i zwijają materie, z których stopniowo tworzą kapitel czegoś, co wygląda na złośliwy żart z jońskiej kolumny. Wojciech Kalarus i Paweł Smagała „rzeźbią" Jacka Poniedziałka w klasyczny posąg niby idola albo herosa (od razu też rodzi się podejrzenie, że to Poniedziałek grać będzie Sokratesa). Wszystko dzieje się z tak często spotykanym w „jeszcze nowszym teatrze" brakiem scenicznego spotęgowania i uwyraźnienia, który z pewnością zraziłby miłośników tradycyjnego „rzemiosła" scenicznego. Aktorzy mówią cicho, niekoniecznie starając się o wyrazistość i czytelność słów, głosy nachodzą na siebie pozornie bez ładu, snuta cały czas opowieść Flecistki (Magdalena Popławska) o bycie i nicości przeplata się ze swoistymi „przypisami" ironicznie podawanymi z offu. Po bokach sceny połyskują niejasne wizualizacje. I tak to wszystko trwa przez długą chwilę, jakbyśmy niemal przez przypadek weszli na próbę, która nie bardzo może się rozpocząć.

Właściwy początek przedstawienia przynosi kolejny zwrot. Po niemal farsowym prologu „Uczta" zostaje rozbita na serię „solówek" – mów wygłaszanych w większości przez pojedynczych aktorów pod (przynajmniej częściową) nieobecność pozostałych, wychodzących na refrenowo powtarzanej (i wzbudzającej coraz większą wesołość) kwestii Eryksimachosa (Piotr Polak) o konieczności odesłania Flecistki. Tak jak u Platona, tematem kolejnych mów jest Eros, co w czasie pierwszej z nich, wygłaszanej przez Małgorzatę Hajewską-Krzysztofik, natrętnie przypominają dochodzące zza sceny „dionizyjskie" okrzyki i erotyczne jęki.

Eros więc nam panuje, Eros jest głównym tematem i naczelnym bóstwem, ale zarazem trudno mieć wątpliwości, że nie traktuje się go zbyt poważnie, co chwila przecinając tok filozoficznych oracji slapstikowymi żartami, wywołującymi głośne śmiechy na widowni. Gdy Bartosz Bielenia pokazuje, z jaką łatwością potrafi przeobrazić się w scenicznego starca rodem z jarmarcznych parodii, wesołość ogarnia całą salę.

Rozcięcie

Nie znaczy to, że „Uczta" Garbaczewskiego jest jakąś totalną kpiną i że nie ma w niej momentów serio. Są, i to bardzo istotne (o najważniejszym za chwilę). Ale nawet takie sekwencje jak monolog Jaśminy Polak o Erosie jako nowym bóstwie wzbogacony o oniryczne wizualizacje czy klasyczny fragment o rozcięciu obojnaczych istot na dwie wciąż szukające się połówki – są zderzone z elementami wywracającymi niemal na nice ich potencjalną powagę. Gdy Wojciech Kalarus mówi z zaaranżowanej naprędce „ambony" o androgyne, jego intonacja przypomina kościelne kazania albo sejmowe przemowy. W tym samym czasie na centralnej scenie pozostali aktorzy owijają się papierową taśmą, tworząc wielogłosowy twór, będący zaiste ubogą i amatorską ilustracją wzniosłego i tak często sentymentalnie powtarzanego mitu.

Ta dialektyka powagi i ironii (aż chciałoby się powiedzieć: szyderstwa i apoteozy) pracuje też w „najbardziej oczekiwanych" scenach mów Sokratesa. Pierwszą, pochodzącą z „Uczty", wypowiada i zarazem rozgrywa młody Sokrates (Paweł Smagała). Rozgrywa, bo Garbaczewski inscenizuje stanowiące część owej mowy nauki Diotymy jako dialog między Sokratesem a kapłanką graną przez Magdalenę Cielecką. Jedyna aktorka, która do tej pory nie pojawiała się na scenie, wchodzi na nią zawinięta w bardzo długą złotą materię, ciągnącą się po ziemi. Rozpuszczone włosy, pewność własnej urody i pozycji nadają Cieleckiej status „gwiazdy". Nie wiem, czy to zamierzone, ale jej obraz natychmiast kojarzy mi się z posągową Ritą Hayworth. Oto ubogi świat niemal amatorskiego teatrzyku rozjaśnia blask prawdziwego *glamour*. Na prawach kontrastu podkreśla go jeszcze groteskowy wygląd, jaki przyjmuje młody Sokrates, którego chude ciało ubrane jest jedynie w naciągnięte na nogi, przezroczysto-białe rajstopy. Rozgrywa on swoją rolę z wirtuozerską lekkością autoironii, wzbudzającą prawdziwy entuzjazm u części widowni. Ośmieszając siebie i całą sytuację, nie kompromituje jednak „gwiazdy" i „kapłanki". Diotyma Cieleckiej wydaje się świetnie bawić, tak całkowicie pewna siebie, swojej erotycznej wiedzy i władzy, że nie są w stanie jej wyprowadzić z równowagi nagłe interwencje Sokratesa pytającego, czy zrobić jej herbatę zieloną, czy czarną (tego typu anachroniczne wstawki to stały zabieg stosowany w całym przedstawieniu).

Dopiero później dochodzi do mnie, że ta scena może być tak naprawdę zjadliwa. Przecież Magdalena Cielecka to jedna z najważniejszych aktorek owego „nowego teatru", która jednocześnie bardzo dobrze funkcjonuje w świecie „życia wytwornego" i kolorowych magazynów. Jej partner i zarazem adept zdaje się przychodzić z zupełnie innego porządku, z innej sceny, na której wiedza o erosie nie ma już niemal żadnego znaczenia politycznego, staje się przedmiotem żartów i ironicznych gier, traci powagę. Gdy Diotyma mówi o poznaniu najwyższego piękna i niespodziewanie rozświetla się widownia, sugerując, że to my, widzowie, jesteśmy (?!) tym najwyższym autorytetem dla aktorów, Cielecka uśmiecha się jak na sesji dla „Vivy", podczas gdy Smagała wykrzywia twarz w groteskowym grymasie zaskoczenia i przerażenia.

Ten sam kontrast między pokoleniami aktorskimi widać w kolejnej, brawurowej scenie – pretensji Alkibiadesa (Bartosz Gelner) do starszego Sokratesa (Jacek Poniedziałek). Atak zawiedzionego kochanka doprowadza do sporu, rozgrywanego nie na argumenty, ale na nieartykułowane krzyki towarzyszące zdejmowaniu kolejnych części ubrania. Tę kłótnię na garderobę inicjuje Alkibiades. Sokrates wchodzi w nią jakby niechętnie, mistrzowsko stopniując swoją irytację tym – zbyt już oczywistym – chwytem z obnażaniem się na scenie. Gdy po precyzyjnie odmierzonej chwili pauzy Gelner zdejmuje majtki, Poniedziałek reaguje jękiem, wywołującym na widowni nieopanowaną wesołość. Wszyscy wiedzą, w co tu gramy, i niemal nie wierzą, że grać będziemy w to jeszcze raz, i znów, i znów. Za chwilę wesołość jeszcze wzrasta, bo wspomnienie o nocy nieskonsumowanej miłości zostaje zainscenizowane jako cytat z „Oczyszczonych" – z leżącymi obok siebie nagimi ciałami dwóch homoseksualnych kochanków. Tamten drapieżny i rozpaczliwy mit miłości wydaje się oto wystawiony na ostateczne pośmiewisko. Nie ma powrotu. Nie da się odzyskać żarliwości sprzed lat. Jeśli historia się powtarza, to tylko jako środowiskowy żart.

Sokrates bezbronny

A jednak za wczesna jest ta myśl. Za wczesna. Po chwili Alkibiades okrywa swoją nagość i usuwa się na bok ze sceny, na której zostaje tylko Sokrates – Poniedziałek. Nagi, tak samo bez majtek jak w „Hamlecie" sprzed niemal dwudziestu lat, rozpoczyna najważniejszą sekwencję przedstawienia – przedśmiertną mowę przeniesioną z innego słynnego dialogu Platona – „Obrony Sokratesa".

Bywają takie przedstawienia, które przez długi czas płyną własnym nurtem, nie wciągając, nie wzbudzając specjalnej uwagi: dzieją się, obserwowane bez niechęci, ale i zachwytu, aż do momentu, który ↦

MAGDA HUECKEL / NOWY TEATR

Jacek Poniedziałek, próba „Uczty", Nowy Teatr, Warszawa, 7 lutego 2018 r.

↦ wszystko zmienia, każe wyprostować się w krześle i wysłać sygnał alertu do wszystkich sił i zmysłów. Oglądając rozsnuwającą się przed oczyma jak dziwny sen „Ucztę" Garbaczewskiego, miałem cały czas wrażenie, że to właśnie takie przedstawienie, że tu coś się musi stać, że ta pełna dezynwoltury gadanina musi zostać czymś przecięta. Niemal straciłem nadzieję, że tak się stanie, gdy Jacek Poniedziałek zaczął swój monolog. I po sekundzie było jasne, że dzieje się coś ważnego.

Aktor ucieleśniający teatr Warlikowskiego, aktor-ikona tego wszystkiego, o czym pisałem na początku – walki o wolność, w której najbardziej intymne i prywatne staje się radykalnie polityczne, bohater jednego z pierwszych i najgłośniejszych gejowskich coming outów w Polsce, broni słowami Sokratesa siebie, swojej postawy, tego, o co walczył całe życie. Broni nie tylko przed sędziami, których na chwilę uosabia Hajewska-Krzysztofik z dolepioną brodą, ale najwyraźniej też przed tymi młodymi, ironicznymi, podchodzącymi z dystansem i ostrożnością do wszelkiego poważnego zaangażowania. Broni, choć sam nie wydaje się wierzyć w skuteczność obrony. Wie, że już jest skazany. Ale mimo to broni się, usiłując zachować spokój kogoś, kto wie, że ma rację i potrafi jej dowieść. Zdarzają mu się jednak zaskakujące potknięcia, jakby przeskoki, które zdają się ujawniać napięcie, może nawet rozpacz, bo co z tego, że jesteś przekonany o swojej racji, skoro za chwilę podadzą ci puszkę z trucizną i ze spokojem profesjonalnych instruktorów poradzą, żebyś ją rozchodził, bo wtedy szybciej opanuje cały organizm i umrzesz bez zbędnych cierpień?

Gdy Sokrates kładzie się na łóżku, zamieniając je w śmiertelne mary, podchodzą do niego pozostali aktorzy i zamieniają jego ciało w biesiadny stół: pokrywają paskami bitej śmietany w aerozolu, kładą na podbrzuszu liście sałaty, na oczach jakąś zieleninę, posypują czerwonymi owocami, warzywami. W tym czasie Bielenia z zapraszającym uśmiechem rozdaje widzom łyżeczki: bierzcie i jedzcie; była premiera, więc czas na wasz ulubiony bankiecik.

Aktorzy wychodzą, zostaje tylko Magdalena Popławska, która wreszcie może dokończyć zaczynany już wielokrotnie monolog o bycie i nicości. Mówi długo, a już na początku jej wywodu zapalają się światła na widowni. Wiemy, że to koniec. Wiemy też, że zostaliśmy zaproszeni na jak najbardziej dosłowną Sokratejską ucztę. Kilka osób z widowni podchodzi do Poniedziałka, zjada coś z jego ciała (później okaże się, że ci „odważni" to współtwórcy przedstawienia). Nie wiadomo, co robić. Wstać? Poczęstować się? Wyjść? Siedzieć do ostatnich słów Popławskiej? A kiedyż one nastąpią? Przecież wciąż mówi i mówi...

Robi się coraz niezręczniej, więc gdy w końcu padają ostatnie słowa, będące w istocie aktem kapitulacji myślenia filozoficznego, publiczność z ulgą bije brawo. Aktorzy wychodzą, rozluźnieni i uśmiechnięci. Wołają pozostałych twórców. Garbaczewski puszcza na Poniedziałka mydlane bańki z dziecięcej maszynki. Piotr Polak niesie na barana siostrę, inscenizując połączenie aktorskiego rodzeństwa w warszawskim azylu, do którego Jaśmina trafiła po zniszczeniu macierzystego zespołu. Kilka osób bije brawa na stojąco. Atmosfera radości i premierowego święta.

Przy którymś wyjściu do ukłonów koledzy postanawiają wynieść Poniedziałka, który zachowuje bezwładność martwego ciała i zwisa jakoś niezgrabnie, wyślizgując im się z rąk. Za chwilę jednak też wyjdzie do ukłonów, podtrzymując resztki bankietu odklejające się od jego skóry.

I dokładnie tyle zostało z uczty bogów.©

DARIUSZ KOSIŃSKI

Platon, **UCZTA** *– reż. Krzysztof Garbaczewski, Nowy Teatr w Warszawie, premiera 8 lutego 2018 r.*

Gabriel od Genesis

ROBERT KASPRZYCKI

Nikt tak jak Peter Gabriel nie potrafi tym swoim coraz bardziej ojcowskim głosem poruszać, wzruszać, łączyć ciepło z mądrością, a z ironią – czułość. Po prostu czułość.

Kamera szybuje nad zielonymi polami hrabstwa Surrey, z oddali wyłaniają się kępy drzew i monumentalne budowle, soczyście połyskuje świeżo przystrzyżony trawnik, na którym chłopcy rozgrywają kolejną partię krykieta. Zabudowania osadzone są na planie dawnego klasztoru kartuzów, który od początku XVII w. stał się siedzibą Charterhouse School – jednej z najbardziej prestiżowych *public schools* Wielkiej Brytanii.

Kaplice, mury, krużganki, którymi przemykali niegdyś ministrowie, generałowie, poeci, drużyna krykieta, „domy", barwy (cztery punkty dla Gryffindoru!), mieszanka opresji i snobizmu tak dobrze znana ze „Stowarzyszenia Umarłych Poetów". Tak, powiedzmy sobie szczerze – Charterhouse przypomina raczej tło teledysku do „We don't need no education" niż matecznik rocka.

Charterhouse działa do dziś, pobierając czesne w wysokości *circa* 40 tys. funtów za rok i szczycąc się faktem, iż właśnie stamtąd wywodzi swe początki formacja rockowa, której filarem był nasz dzisiejszy bohater.

Na początku było Genesis

Peter Brian Gabriel – ikona rocka, world music, wokalista, flecista i perkusista, producent, postać – urodził się 13 lutego 1950 r. w Chobham, jako syn Ralpha Partona Gabriela, inżyniera elektryka, i Edith Irene, z domu Allen, która jako biegła pianistka zaszczepiła synowi nie tylko miłość do muzyki, ale i niezwykłą wszechstronność. Jednym z przodków Petera był Sir Thomas Gabriel, burmistrz Londynu w drugiej połowie XIX w.

Stosownie do klasy, w której się urodził, Peter ukończył najpierw Cable House, następnie St Andrew's Prep School, by w końcu trafić do Charterhouse School w Godalming, gdzie w 1967 r. wraz z innymi jej uczniami – Tonym Banksem, Anthonym Phillipsem, Mikiem Rutherfordem i perkusistą Chrisem Stewartem stworzy formację Genesis.

Nazwę zespołu zasugerował pierwszy impresario, Jonathan King (również Old Carthusian, jak mawiają o sobie absolwenci Charterhouse), on także sprawił, że na świat wyszedł debiutancki album „From Genesis to Revelation" z singlem „Silent Sun". Grupa zwróciła na siebie uwagę w Wielkiej Brytanii, jednak jak się okazało, tak naprawdę „wielcy" byli początkowo we Włoszech, Belgii i Niemczech. Po rozstaniu z Kingiem podpisali kontrakt z Charisma Records, zaś skład zmierzał w stronę kwintetu: Peter Gabriel – wokal, Tony Banks – klawisze, Steve Hackett – gitary, Mike Rutherford – bas, gitary, oraz Phil Collins – perkusja/wokal.

Zespół zwracał uwagę dzięki niezwykłej plastyczności Gabriela, kompozycjom Banksa, zaangażowaniu i młodości – zaczynali wszak karierę jako 15-17-latkowie – oraz dzięki mieszance folku, art-rocka i rocka progresywnego, posiłkującego się rozbudowanymi formami muzycznymi, erudycyjnymi tekstami i odwołaniem do snobizmu słuchaczy. Przełomem w karierze wczesnego Genesis było wprowadzenie szokujących kostiumów scenicznych – odkąd w „Melody Maker" ukazało się zdjęcie wokalisty z maską lisa na twarzy i w czerwonej sukience, stali się pieszczochami mediów. W odróżnieniu jednak od Davida Bowiego, który był inspiracją tych przebieranek, Gabriel nie tyle tworzył *alter ego* odpowiedzialne za całość *concept album*, co wcielał się w role bohaterów płyty: jako Foxtrot, Watcher of the Skies, Britannia, The Reverend, Old Man, Slipperman czy wreszcie Rael, główna postać z „The Lamb Lies Down on Broadway".

Zanim ku rozpaczy fanów Gabriel odszedł z Genesis w 1975 r., nagrał z nim sześć klasycznych albumów: „From Genesis to Revelation" (1969), „Trespass" (1970), „Nursery Cryme" (1971), „Foxtrot" (1972), „Selling England by the Pound" (1973) oraz „The Lamb Lies Down on Broadway" (1974). Dynamika wewnątrz zespołu przechodziła od naiwnej euforii do mniej lub bardziej otwartej rywalizacji – Gabriel i Banks nie byli już dwoma chłopcami, którzy ścigali się w Charterhouse, kto pierwszy dopadnie pianina, reszta zespołu również nie chciała być zaledwie elementami tła, właśnie miała narodzić się pierwsza córka wokalisty Anna-Marie Gabriel.

Drugie życie

Po odejściu z Genesis rozpoczął karierę solową, jednak zanim w 1986 r. podbił świat genialnym „So", wydał cztery płyty: „Car", wyprodukowaną przez Boba Ezrina, „Scratch" – wykreowaną brzmieniowo przez gitarzystę King Crimson, Roberta Frippa, „Melt" oraz „Security".

Pierwszym przebojem solowym Gabriela było „Solsbury Hill", co prawda niezbyt odległe od brzmienia Genesis, opartego na dwunastostrunowej gitarze i flecie. Jednak dzięki mocnemu, nieparzystemu rytmowi i fantastycznie świeżemu głosowi wokalisty pozwoliło mu znaleźć własny ton. „Scratch" nagrany z Frippem docenili raczej krytycy niż słuchacze, stąd też miłą odmianą był sukces albumu „Melt", który przyniósł światu nie tylko dwie świetne piosenki: „Games Without Frontiers" (z Kate Bush w tle) oraz „Biko", ale także słynne „bramkowane bębny", które dzięki włączeniu elektronicznych limiterów w mikserze oraz wyłączeniu talerzy z partii perkusji dawały połączenie potężnego brzmienia z ciszą, która nastaje po nim. Phil Collins, który nagrywał perkusję na płytę Gabriela, wykorzystał ten patent we własnym wielkim przeboju „In the Air Tonight", zaś dla Gabriela uzyskanie potężnego, „plemiennego" brzmienia stało się podstawą do tworzenia gęstych, splątanych faktur rytmicznych, na których opierał swe frapujące melodie. Co szczególnie istotne, na pokładzie „Melt" pojawił się Fairlight Computer Music Instrument, wczesny sampler, z ośmiocalowymi dyskietkami i zielono fosforyzującym ekranem, oraz konsoleta Solid State Logic 4000 B. Kiedy za kilka lat Paul Simon zapragnie nagrać swe „Graceland", będzie musiał pofatygować się do Afryki – Gabriel dzięki Fairlightowi miał możliwość dowolnego korzystania z gotowych próbek dźwięku.

Dalszy ciąg eksploracji świata techniki stanowiło „Security" – pełne zagęszczonych tekstur i poodwracanych rytmów. Przebojem z tej płyty było „Shock the Monkey", zimnofalowe, pełne emocji arcydzieło, w którym monoszept zmagał się z polirytmią, a przechodzenie od barytonu do słynnego Gabrielowskiego falsetu okraszono znakomitym teledyskiem. Gabriel poszedł za ciosem serią koncertów, na których pojawiły się rekwizyty, ↦

↦ akrobacje, układy choreograficzne, zespół zaś, który wraz z wokalistą ogolił głowy, dał świadectwo swej wirtuozerii albumem „Plays Live”.

W tym samym czasie Gabriel spotka dwie istotne postaci – reżysera filmowego Alana Parkera, który właśnie szuka kompozytora muzyki do swego filmu „Ptasiek” (ekranizacji powieści Williama Whartona), oraz młodego kanadyjskiego multiinstrumentalistę i producenta Daniela Lanois, który wraz z Brianem Eno wykreował przestrzeń „Joshua Tree”, bestsellerowego albumu formacji U2. Właśnie z nim nagrywa Gabriel nie tylko soundtrack do filmu Parkera, ale i „So”, na którym znajdziemy energetyczne „Red Rain”, „Sledgehammer” czy „In Your Eyes”, a także przepiękny liryczny duet z Kate Bush. Jak wspomina Lanois, „Don’t Give Up” nagrywano w Ashcombe House Studio, zbudowanym w dawnej oborze, dlatego za reżyserką mieścił się mały pokoik, przez którego okno zaglądały krowy. Kiedy piosenka im się podobała – dodaje Gabriel – lizały szybę. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby pokazano im nowe teledyski Gabriela – „Sledgehammer” na całe lata ustalił nowe standardy operowania obrazem i dźwiękiem.

W 1989 r. powstaje ścieżka dźwiękowa do „Ostatniego kuszenia Chrystusa” Martina Scorsese, niosąca klasyczną dla Gabriela mieszankę ulotności i groove’u. Trzy lata później, w 1992 r., w samym oku grunge’owego cyklonu, Gabriel wydaje znakomite „Us”.

Takie sobie

Był to w jego życiu czas zawirowań: rozpadu małżeństwa, konfliktu z córkami (zwłaszcza z Anną-Marie, której poświęcił „Come Talk to Me”), związku z aktorką Rosanną Arquette (i nie tylko). Piosenki Gabriela maskujące prywatne klęski, lęki, poczucie samotności po raz kolejny paradoksalnie stawały się częścią naszej świadomości, jako piosenki popowe, co kiedyś gorzko skwitował amerykański singer-songwriter Dave Matthews: „*Funny the way it is / Not right or wrong. / Somebody’s broken heart become your favorite songs*”. Na pierwszy ogień poszło zatem „Digging in the Dirt”, brudnopis z psychoterapii, zimny prysznic po epoce szalejącej *hybris*, opisanej przez Sinéad O’Connor frazą: „Podziwiam Kate Bush, bo Peter Gabriel próbował ją przelecieć, a ona się nie dała. To jedyna kobieta na świecie, której ta sztuka się udała. Nawet ja nie dałam rady”. Tak, tak, to był Gabriel, jakiego się nie spodziewaliśmy – wystarczyło lekko postukać w drzewo genealogiczne, by usłyszeć głosy jego hiszpańskich przodków, których morze wyrzuciło na angielskie plaże po klęsce Wielkiej Armady.

Gabriel wychynął ze swej nyży dopiero w 2000 r. z „OVO”, albumem uświetniającym otwarcie londyńskiego Millenium Dome – niestety można tu mówić raczej o dobrze wykonanej pracy niż popisie zdyscyplinowanej furii, którą Gabriel zaskakiwał nas przez lata.

Dopiero dwa lata później pojawiło się „Up”, pierwszy album studyjny od dekady. W czasach, gdy rozgłośnie radiowe najchętniej puszczałyby w kółko „Song 2”, z którym Damon Albarn i Blur uwinęli się w dwie minuty dwadzieścia sekund, Gabriel ze swymi ponadsześciominutowymi utworami mógł liczyć tylko na wierną, „albumową” publiczność, która towarzyszyła mu także na trasie koncertowej zarejestrowanej jako „Growing Up Live + Still Growing Up: Live & Unwrapped”.

W latach późniejszych skupił się Gabriel na eksploatowaniu orkiestrowych wizji piosenek zarówno własnych, jak i zapożyczonych: słyszymy je na płytach „Scratch My Back” (2010), złożonej wyłącznie z coverów (m.in. Davida Bowiego, Lou Reeda czy Radiohead), „New Blood – Live in London”, gdzie artysta sięgnął po kompozycje własne, oraz „And I’ll Scratch Yours” (2013). W tzw. międzyczasie zdąży nagrać finałową piosenkę do filmu animowanego „WALL-E” i otrzymać za nią nagrodę Grammy.

Od bonobo do Wałęsy

W streszczeniu kariery Gabriela nie sposób nie poruszyć kwestii jego zaangażowania w czynienie tego świata lepszym. Teoretycznie wszystko zaczęło się od „Biko” – pieśni poświęconej południowoafrykańskiemu bojownikowi przeciw apartheidowi, zamordowanemu przez policję RPA – ten genialny *protest song*, oparty, jak to często u Gabriela bywa, na prostej zdawałoby się grze słów: „Biko / Because”, zapoczątkował wejście do grona artystów, którym nie było wszystko jedno. Za piosenką poszły m.in. koncerty Amnesty International i Human Rights Now, wspieranie Witness, będącej programem siostrzanym względem Amnesty International, ba,

FRANK MICELOTTA / GETTY IMAGES

Peter Gabriel na próbie z chórem przed koncertem „46664 – Poświęć minutę swego życia dla AIDS". W koncercie tym wzięli też udział Bono, Queen, Eurythmics i wielu afrykańskich muzyków. Dochód miał wspomóc Fundację Nelsona Mandeli i walkę z AIDS w Afryce. Kapsztad, RPA, listopad 2013 r.

„Don't Give Up" nagrywano w Ashcombe House Studio, zbudowanym w dawnej oborze, i za reżyserką mieścił się mały **pokoik, przez którego okno zaglądały krowy.** Kiedy piosenka im się podobała – wspomina Gabriel – lizały szybę.

działania humanitarne skrzyżowały jego tropy z Catem Stevensem/Yusufem Islamem, na którego płycie „Mona Bone Jakon" zagrał mgławicową partię fletu.

Jak się jednak zdaje, tym, co kierowało Gabrielem, było poczucie odpowiedzialności i odpowiedniości, wynikające z przeświadczenia, iż świat to coś więcej niż przydomowy ogródek. Inicjatywy w rodzaju multikulturowego i multimedialnego festiwalu World Of Music, Arts And Dance (WOMAD) czy stworzenie Real World Studios, grupujących artystów takich jak Youssou N'Dour czy Nusrat Fateh Ali Khan – gdzie Gabriel działał jak mistrz/inspirator – oswajając nas z muzyką świata, z brzmieniem ormiańskiego duduka czy arabskiej lutni oud, niemal podprogowo wsączały w nas gotowość do otwarcia na innych.

Kto wie, czy ten rozmach, odwaga, myślenie skalą świata nie wynikały z faktu, iż podobnie jak Robert Baden-Powell – twórca światowego skautingu – jest Gabriel absolwentem Charterhouse? Być może dlatego tak łatwo przyszło mu stworzenie w 1999 r. wraz z Richardem Bransonem, potentatem finansowym i wizjonerem, tzw. Elders – Rady Starszych, którzy, dzięki nieformalnym związkom, mieliby wpływ na losy świata. W 2006 r. laureaci Pokojowej Nagrody Nobla wręczyli Gabrielowi (rękami Lecha Wałęsy zresztą) nagrodę Człowieka Pokoju, zaś magazyn „Time" nazwał go jednym ze stu najbardziej wpływowych ludzi świata.

No właśnie, być może z perspektywy prostego fana Gabriel jawi się jako artysta nadmiernie zaangażowany w kwestie pozamuzyczne. Dla kogoś czekającego dekadę na jego nową płytę wręcz irytujące bywa doniesienie, że bierze udział w projekcie ApeNet, mającym na celu nawiązanie pierwszej międzygatunkowej komunikacji internetowej, bądź że rozmyśla nad *jam session* z szympansami bonobo. Ale to chyba należy przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza – znacznie lepiej czekać na Gabriela dekadę niż otrzymywać co dwa lata zlepek wytworów od jakiegoś nadproduktywnego improduktywa.

Bo chyba nikt jak Gabriel nie potrafi tym swoim coraz bardziej ojcowskim głosem poruszać, wzruszać, łączyć ciepło z mądrością, a z ironią – czułość. Po prostu czułość. Bo tylko ona pozwala oswoić nas z tym ostatecznym Innym. ©

ROBERT KASPRZYCKI

Korzystałem z książek: Spencer Bright „Peter Gabriel. Misterny świat", Daryl Easlea „Peter Gabriel", Graeme Thomson „Zmysłowy świat Kate Bush".

WARTO ZOBACZYĆ W TV [24 II – 2 III]

1. American Honey

Dramat, reż. Andrea Arnold, Wielka Brytania/USA 2016, Canal+, 26 II, 21.00

Brytyjska reżyserka, znana głównie z zaangażowanego kina o tematyce kobiecej, w swoim pierwszym filmie amerykańskim opowiada o młodocianych naciągaczach, żyjących na marginesie społeczeństwa. W postać żywiołowej Star wciela się rewelacyjna debiutantka Sasha Lane.

2. Fabryka Patriotów

Kabaret, Polska 2018, TVN, 26 II, 21.30

Pożar w Burdelu, czyli coraz bardziej popularny teatr polityczno-literacki z Warszawy, trafia wreszcie do telewizji. W pierwszej odsłonie programu przewidziane są pieśni patriotyczne oraz komentarze do bieżącej sytuacji w Polsce. Widowisko poprowadzi Andrzej Konopka, a jego gośćmi będą Katarzyna Nosowska i Andrzej Seweryn.

3. Dzieciństwo wodza

Dramat, reż. Brady Corbet, Francja/Wielka Brytania/Węgry 2015, Ale kino+, 27 II, 16.10

Dla jednych – pokaz grafomanii, dla innych – alegoryczna opowieść o narodzinach dyktatora. Bohaterem jest zbuntowany synek amerykańskiego dyplomaty pracującego nad traktatem wersalskim. Na festiwalu w Wenecji film otrzymał nagrodę za reżyserię i najlepszy debiut.

4. Gianni Schicchi

Opera, reż. Woody Allen, USA 2015, TVP Kultura, 27 II, 20.00

W tym roku minie sto lat od premiery jednoaktowej opery Giacoma Pucciniego. Przed nami inscenizacja dokonana przez twórcę „Zeliga" w 2015 r. na deskach Los Angeles Opera z Plácidem Domingo w roli głównej. Emisję poprzedzi krótki film dokumentalny Matthew Diamonda pokazujący kulisy realizacji spektaklu Allena.

Jak spod igły

ANITA PIOTROWSKA

W przypadku filmów tak smakowitych gatunek zwany kostiumowym zyskuje szczególne znaczenie. Kostium staje się przebraniem.

LAURIE SPARHAM/FOCUS FEATURES

Daniel Day-Lewis jako Reynolds Woodcock

Gdyby zastosować w kinie zaczerpnięty ze świata mody podział na *haute couture* („wysokie krawiectwo") i *prêt-à-porter* („gotowe do noszenia"), to najnowsze dzieło Paula Thomasa Andersona zaliczylibyśmy do pierwszej grupy. „Nić widmo" ma wszelkie cechy towaru luksusowego – oto film, który zdaje się szyty na miarę, całkowicie przy tym „niepraktyczny", a zarazem każdym powłóczystym spojrzeniem kamery zapraszający do podziwiania.

Jeśliby do tego dodać, że głównym bohaterem jest grany przez Daniela Day-Lewisa krawiecki mistrz z lat 50., modowe porównania stają się oczywistością. Jednakże twórca „Aż poleje się krew" i jego wielki aktor, odchodzący właśnie na przedwczesną emeryturę, stworzyli coś, co nie mieści się w ciasnej kategorii dzieł doskonale skrojonych.

Na pierwszy rzut oka „Nić widmo" to kolejny w dorobku reżysera film o szalonym geniuszu stwarzającym świat podług własnych obsesji. Brytyjski projektant Reynolds Woodcock ubiera europejskie arystokratki w swoje fantazje i marzenia, podczas gdy pracowite ręce innych kobiet nadają tym iluzjom materialny kształt. Jako że dla starzejącego się mistrza od lat inspiracją pozostaje nieżyjąca matka, jego perfekcjonizm okazuje się sublimacją pragnień o wyraźnie edypalnym podłożu. To jej pukle sekretnie zaszywa pod podszewką i tylko kobieta łudząco do niej podobna zasługuje na bycie jego żoną.

Anderson świetnie się zresztą bawi tymi freudowskimi odniesieniami. Weźmy choćby nazwisko bohatera. „Woodcock" to po polsku słonka, czyli gatunek ptaka z rodziny bekasowatych, lecz przy odrobinie perwersyjnej woli można dopatrzyć się w tym mniej eleganckiej wersji „drewnianego penisa" – co pasuje jak ulał do mężczyzny, którego bardziej ekscytuje ubieranie kobiet aniżeli ich rozbieranie. Sam tytuł filmu odsyła nie tylko do tajników krawiectwa, ale również do niewidzialnej nici łączącej bohatera ze zmarłą rodzicielką. W jej rolę gładko weszła również Cyril, oddana siostra Reynoldsa, która czuwa nad tym, by nic nie zakłóciło klasztornego rytmu jego pracy.

Nic albo nikt. Bo oto w życiu bohatera pojawia się Alma, czyli kolejna dużo młodsza od niego muza i modelka, która w przeciwieństwie do swych poprzedniczek nie chce zostać sprowadzona do funkcji idealnego wieszaka.

Pośród szelestów tafty, czujnych spojrzeń i celebrowanych posiłków toczy się u Andersona cicha wojna domowa między genialnym potworem a kobietą próbującą wyrwać się z przypisanej jej służebnej roli. Wiele wskazuje, że reżyser nie traktuje tych rozgrywek zbyt poważnie, każąc swym bohaterom przymierzać co chwila wypożyczone skądś kostiumy: a to z powieści sióstr Brontë, a to od dawnych mistrzów kina. Podobny naddatek słychać także na ścieżce dźwiękowej autorstwa Jonny'ego Greenwooda z grupy Radiohead, regularnie współpracującego z reżyserem. Wylewające się z ekranu fortepianowe i smyczkowe kaskady odsyłają do Debussy'ego czy Schuberta, ale mogą też sprawiać, że widz poczuje się tym estetycznym nadmiarem lekko przytłoczony.

I nawet, gdy to eleganckie kino „jak spod igły" skręca w pewnym momencie w kierunku dreszczowca, to Anderson niestrudzenie obszywa ów pospolity fason najbardziej wytworną materią. Ten ostentacyjny przerost formy został wpisany w jego film. Próżno się więc licytować, czy „Nić widmo" jest bardziej mizoginiczny czy feministyczny, bo film intryguje właśnie swoją dwuznacznością. Jedno jest pewne: przed nami kino raczej do zmysłowego smakowania niż do intelektualnych dywagacji.

Najciekawszy pojedynek rozgrywa się jednak pomiędzy samymi aktorami. Day-Lewis momentami schodzi na dalszy plan za sprawą wyśmienitych postaci kobiecych: Vicky Krieps jako Almy i Lesley Manville w roli Cyril. Tę pierwszą pominięto w nominacjach oscarowych (w sumie „Nić widmo" ma ich aż sześć), choć przecież pochodząca z Luksemburga młoda aktorka prezentuje u Andersona rzemiosło najwyższej próby: jej kreacja zdaje się powściągliwa i stonowana, aczkolwiek podszyta jakąś wewnętrzną, by nie rzec biologiczną, mocą.

W przypadku filmów tak smakowicie zagranych i opowiedzianych, a w dodatku osadzonych znacznie głębiej niźli tylko za kulisami ekskluzywnych pokazów mody, gatunek zwany kostiumowym zyskuje szczególne znaczenie. Kostium staje się przebraniem. Tym razem opowieść o trudach życia z charyzmatycznym tyranem to szczególnego rodzaju „opowieść podręcznej", bo Alma jest w niej narratorką tyleż zbuntowaną, co współczującą. Otoczony kobietami wpatrzonymi weń jak w obraz, a zarazem odcięty od świata, który zmienia się i przestaje go traktować niczym guru, ten kapłan „wysokiego krawiectwa" staje się w ironicznym filmie Andersona figurą zapatrzonego we własne odbicie mężczyzny i artysty. A najzabawniejsza w tym wszystkim jest sugestia, że bohater grany przez Lewisa tak naprawdę wszystko w swoim życiu zawdzięcza nie tyle swojemu geniuszowi, co podstępnym kobiecym sztuczkom. ©

NIĆ WIDMO *(Phantom Thread) – reż. Paul Thomas Anderson. Prod. USA 2017. Dystryb. UIP. W kinach od 23 lutego.*

JAN

Klata:
Pomiędzy okładkami

Już miałem się zabierać za oglądanie 20. odcinka „Korony królów" – tego, od którego miało się zaczynać robić ciekawie – gdy wpadła mi w oczy okładka „konserwatywnego tygodnika opinii". Wpadła i nijak nie może wyjść, więc może zanim udam się do lekarza, podzielę się problemem, jako że to już druga w tym tygodniu. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nader – nie bójmy się tego słowa – perwersyjna relacja łączy okładki „Vogue'a Polska" oraz „Sieci Polska".

Pierwsze wrażenie podszeptuje, że obie okładki są piękne, choć każda na swój sposób. Jedna jest czarno-biała, a druga przeciwnie. Na obu występują szykownie przyodziane, nietuzinkowe kobiety. Na jednej jest dużo literek w wielu kolorach, która to różnobarwność reprezentuje polski konserwatywny pluralizm, za to na drugiej występuje postkomunistyczna aksjologiczna pustka. Można pokusić się o ocenę, że jedna z okładek do Polski zachęca, a druga zniechęca, czasem podprogowo („Polska" wpisana w zero!).

Skoncentrujmy się na przyodziewku *cover-girls*. Panie z „Vogue'a" ubrane są szpiegowsko, ze śmiertelnego zimna, złowrogo, prawdopodobnie symbolizując żydokomunę – przekaz jest chytry, ale da się uchwycić. Troszkę takie syreny UB, wciągające do czarnej wołgi w celu poddania cielesnym torturom, wyssania duszy i wyrzucenia na bruk (również przedstawiony na obrazku). Natomiast okładka „największego konserwatywnego tygodnika opinii" ma pozytywny przekaz w zakresie przyodziewku Krystyny Pawłowicz, która ma na sobie tkaninę obiciową w „pantofelki" – tak, te znane z lekcji biologii i lubiane przez każdego. Przypadek? Nie sądzę. Chodzi o podstawy, których powinniśmy się jako Polacy trzymać, jak pierwotniak trwać przy swym bogatym genomie.

À propos trzymania: czego trzymają się panie z okładki „Vogue'a"? Trzymają się za biodra, a to troszkę mało, ewentualnie opierają się o Wołgę – a to wręcz zdradziecko. Krystyna Pawłowicz nie wiadomo o co się opiera (to coś jest, niestety, poza kadrem), ale wiadomo, czego się trzyma. Trzyma się mianowicie legendarnego, prapolskiego chrobrego Szczerbca. Dlaczego nie widać szczerby, zapytacie zapewne, wnikliwi Czytelnicy? Otóż dlatego, że Krystyna Pawłowicz trzyma Szczerbiec za szczerbę! Zarówno jej twarz, jak i ręce przenika przy tym niebiańskie światło *à la* Caravaggio, podczas gdy na okładce „Vogue'a" światło jest niejasne, wielce podejrzane i rozproszone, prezentujące głównie Dar Stalina. Pałac Kultury jest krzywy, a Szczerbiec prosty. Anja Rubik i Małgorzata Bela patrzą z wyrzutem, z góry, a Krystyna Pawłowicz w przyszłość, jasno, śmiało, niewinnie.

Obie okładki wykonał Juergen Teller. ©

Lektor:
Witkacy wielokrotny

• KRONIKA ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI STANISŁAWA IGNACEGO WITKIEWICZA
Opracowali Janusz Degler, Anna Micińska, Stefan Okołowicz, Tomasz Pawlak.
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2017 [2018], ss. 958.

Blisko tysiącstronicowa księga, a w niej materiał na kilka albo i kilkanaście odrębnych fabuł. 24. tom krytycznego wydania „Dzieł zebranych" Witkacego stanowi podsumowanie wieloletnich badań wybitnych witkacologów.

Nieżyjąca już Anna Micińska odtworzyła biografię Witkacego w latach 1885-1918, włącznie z najmniej znanym okresem jego wojennej służby w Pułku Pawłowskim Lejbgwardii i całkiem już tajemniczym epizodem rewolucyjnym. Prof. Janusz Degler opracował część drugą, od czerwca 1918 (wyjazd z Piotrogrodu) do września 1939 r., nadając jej formę kalendarium. To zasadniczy trzon książki, ujęty w uzupełniającą ramę.
Tworzą ją z jednej strony szkice o dziejach Witkiewiczów i Pietrzkiewiczów (rodzina matki Stanisława Ignacego). Z drugiej – „Życiorys Stanisława Ignacego Witkiewicza" autorstwa jego brata stryjecznego, architekta Jana Witkiewicza-Koszczyca, oraz szczegółowsze opracowania kilku ważnych fragmentów jego biografii. Tomasz Pawlak zajął się więc maturą Witkacego, a Wojciech Sztaba – jego studiami na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Stefan Okołowicz w obszernej rozprawie pisze o samobójstwie jego narzeczonej; Jadwiga Janczewska odebrała sobie życie 21 lutego 1914 r. pod Skałą Pisaną w Dolinie Kościeliskiej, strzelając do siebie z należącego do Witkacego browninga. Sekcja zwłok wykazała, że była w ciąży. Okołowicz odtwarza tło tej tragedii i analizuje splot relacji psychologicznych, który do niej mógł doprowadzić, włącznie z niejasną rolą Karola Szymanowskiego. Dla młodego Witkiewicza był to wstrząs, który wpłynął na dalsze jego życie i którego odbicie znajdziemy w jego powieściach. Lekiem na kryzys miała być podróż z przyjacielem, Bronisławem Malinowskim, na Cejlon i do Australii, o której pisze Daniel Gerould. Krzysztof Dubiński poszerza naszą wiedzę o służbie Witkacego w Lejbgwardii, a Janusz Degler przypomina okoliczności jego ślubu z Jadwigą z Unrugów i początki tego dość nietypowego małżeństwa, które jednak przetrwało wszystkie próby, a Jadwiga – już jako wdowa – okazała się wspaniałym strażnikiem spuścizny męża. I wreszcie finał: relacja z ostatnich dni Witkacego na Polesiu pozostawiona przez jego ówczesną partnerkę Czesławę Oknińską (to najpóźniejsza wersja jej wspomnień – szkoda, że nie przytoczono też wersji pierwszej, którą po powrocie Oknińskiej do Warszawy spisał Mieczysław Choynowski).
W tej naładowanej faktami i świetnie zilustrowanej księdze ożywa nie tylko sam Witkacy, ale i świat, który go otaczał, ludzie, których kochał, którzy go fascynowali i którymi pogardzał, a także fenomen Zakopanego tamtych lat. Przeszłość, która kusi, by wejść w nią choćby na chwilę. ©℗

ANDRZEJ FEDOROWICZ

Edward Pałasz, 1973 r.

NAMIĘTNOŚCI I STUDIA PIONKOWE

EDWARD PAŁŁASZ, KOMPOZYTOR:

Nagle zostałem wdowcem. Pewnego dnia obudziłem się w tym mieszkaniu na podłodze, po jakiejś pijatyce, w ubraniu, i doszedłem do wniosku, że to prowadzi donikąd. Muszę się na kimś wesprzeć, bo inaczej się całkiem zagubię.

EDWARD PAŁŁASZ: To ty z pediatrii przerzuciłaś się na geriatrię?

JUSTYNA DĄBROWSKA: Nie. Nadal zajmuję się niemowlętami. Ale nie tylko. Robię też rozmowy dla „Tygodnika" z takimi, jak ty. Bo w życiu najbardziej mnie ciekawią początek i koniec.

Rzeczywiście, to najciekawsze. Sam początek jest tajemnicą, a i koniec jest zagadką.

Doświadczenie wojny chyba ustawia porządek na resztę życia?

Zdecydowanie. Dotarło to do mnie z chwilą, gdy doszedłem do czasu, kiedy mogę popatrzeć na siebie z dystansu.

Ile trzeba mieć lat, żeby móc na siebie popatrzeć z dystansu?

Pierwszy raz tak na siebie spojrzałem, kiedy tu przyszedł kapitalizm. Przez całą komunę byłem jak wolny ptak. Nigdzie nie pracowałem na stałe, tak żeby trzeba było rano wstać, założyć krawat, gdzieś pojechać. Dopiero przed sześćdziesiątką doszedłem do wniosku, że muszę się ustabilizować, bo czasy zrobiły się doraźnie trudniejsze. Uznałem, że muszę na jakąś emeryturę zapracować.

Poszedłeś do prawdziwej pracy.

Przyjąłem propozycję, by objąć radiową Dwójkę. I tam byłem codziennie, przez cztery lata, od rana do popołudnia, a potem jeszcze i wieczorami. Ale po czterech latach mnie wyrzucili. Następnego dnia zadzwonił Stefan Sutkowski i zaproponował mi pracę w Warszawskiej Operze Kameralnej. Tam przepracowałem trzynaście lat. Nawet się nie zorientowałem, kiedy przekroczyłem wiek emerytalny. Dopiero po trzech czy czterech latach połapałem się, że mi się należy emerytura. A jak odszedłem, to pomyślałem, że ciągle jestem w niezłej kondycji i zacząłem pisać książkę. Trzy lata ją pisałem. W marcu się ukaże. W Iskrach, pod tytułem „Na własną nutę". Taki ślad po sobie zostawię.

Jak siadłeś do pisania, musiałeś na siebie spojrzeć z boku.

Miałem wtedy 76 lat i nagle zaczęło mnie nachodzić coś w rodzaju samopoznania. Wcześniej nie. Zacząłem podsumowywać swoje życie i musiałem spojrzeć wstecz. Tam rzuciłem snop światła.

I co zobaczyłeś?

Zobaczyłem, że jest nieźle. Postawiłbym sobie stopień dobry z minusem. A może nawet cały dobry? Doszedłem do wniosku, że jak na dziecko prowincji, które pięć lat spędziło na wiosce, gdzie była tylko szkółka, leśniczówka i cztery chałupy, to naprawdę daleko zaszedłem. Przecież całe moje dzieciństwo to była wojna.

Co pamiętasz najlepiej?

Takie najwcześniejsze okruchy.

Trzy obrazy mi zostały. Pierwszy to idiotyczna próba mojej matki, która postanowiła uciec ze Starogardu, gdzie mieszkaliśmy, na południe. Wzięła mnie i prababkę, którą wsadzono w jakiś wózek dziecinny. Był pierwszy, może drugi dzień wojny. To oczywiście nie mogło się udać. Drugi ślad to obraz zabitego konia, który leży na nasypie drogi. Ten koń wydał mi się wtedy taki płaski, że aż nierzeczywisty. A trzeci obraz z tej wyprawy jest taki, że jestem już z powrotem w Starogardzie, na Friedrichstrasse, u moich dziadków, leżę w łóżku i nie mogę nogi ustawić odpowiednio, żeby pierzyna mnie nie urażała w pokaleczone tą wędrówką paluchy. Tyle mi zostało.

Mówisz, że Twoje dzieciństwo to wojna. Skąd potem w Tobie taka siła i witalność?

Też się nad tym zastanawiałem. Kiedy dwa miesiące przed końcem wojny Sowieci wyzwolili Starogard, od razu pojawiła się tam niesamowita erupcja aktywności i wolności. Dobrze to pamiętam. Niemieckie nazwy sklepów i ulic zbijano, a na szkolnym podwórku palono stos niemieckich podręczników. Pamiętam niesamowite odrodzenie, niezwykłą aktywność. W kontraście do wojny, do bombardowania, oblężenia, strzelania. Ja też wtedy poczułem się nagle ożywiony. Wiedziałem, że zaczyna się coś nowego. Coś niewiarygodnego.

Wojna Cię nie okaleczyła?

Nie. Powiem ci teraz coś niepopularnego. Uważam, że wojna dała mi też coś pozytywnego. Chodziłem w Starogardzie do *Grundschule*, tam się nauczyłem pisać i czytać. Dostałem dobrą, podstawową, niemiecką edukację. I nie mam z tego czasu wyłącznie złych skojarzeń. Nie czułem wtedy, że byłem indoktrynowany. Raz dostałem w pysk, bo nie zdjąłem czapki przed oficerem. I to wszystko. Wejście Hitlera na Pomorze, na Kaszuby, na Kociewie było niewiarygodnie krwawe. Wiedziałem o tym. Ale potem zapanował jaki taki spokój.

Nie bałeś się?

Jasne, że czasem się bałem. Wcześnie zacząłem się uczyć grać na pianinie, wuj był muzykiem, uczył mnie. Wziąłem jakieś nuty, zacząłem z nich grać. Ale czytać jeszcze nie umiałem. Nagle awantura, cała rodzina się zleciała, zabrali mi te nuty, nakrzyczeli. A ja po prostu zagrałem melodyjkę, która przed wojną była bardzo popularna. Jakoś tak to szło: „marszałek Śmigły-Rydz, nasz dzielny, dobry wódz"...

Myślisz dzisiaj czasem o wojnie, coś wraca?

Wraca tylko wtedy, kiedy mam wrażenie, że jakieś polityczne działania są nieroztropne, głupie i mogą doprowadzić do katastrofy. Ludzie chyba nie zdają sobie sprawy, że każdy nacjonalizm, nawet ten najszlachetniejszy, jest zgubny i prowadzi do totalnego nieszczęścia. Jeżeli na co dzień mnie coś niepokoi, to to, że tę naszą ojczyznę obóz władzy pisowskiej prowadzi do przepaści. Ta przepaść jest zniweczeniem czegoś, o czym kiedyś nawet nie marzyłem: że będzie wolny kraj, wolne wybory, że nie będzie cenzury ani przemocy. A widzę, jak nadciąga państwo policyjne, w którym strach będzie się stawał obezwładniający. Tego się naprawdę boję. Staram się od tego izolować emocjonalnie, telewizji nie oglądam, bo trudno mi znieść kłamstwo.

Czujesz się stary?

I tak, i nie. Starość jest. Widzę ją. Widzę jej oznaki – mniejszą sprawność fizyczną. Widzę, że teraz, kiedy skończyłem 80 lat, wszystko dzieje się wolniej. Nie jestem w stanie wielu rzeczy wykonać ot tak. Na przykład tej tam żarówki szybko nie wkręcę. Mam wprawdzie drabinę, ale muszę jednak kogoś zawołać, żeby mi ją przytrzymał, bo inaczej mogę spaść. Ciało nie pozwala na taką plastyczność jak kiedyś. Nie mogę narzekać, bo umysł jeszcze biega nieźle, wcale wolniej nie myślę, jakem myślał, że myślę. Ale już nie jestem w stanie zrobić wszystkiego, co bym chciał. Mam ograniczenia.

Co się traci z wiekiem?

↦

↦ Pewne znane i miłe z młodości doznania. Na przykład namiętności męskie. Następuje spadek witalności, tak to elegancko nazwijmy.

Zostaje sama uroda?
Uroda była dawno i nieprawda.

Inne namiętności gasną też?
Różnie, niektóre się przytępiają. Ja na przykład miałem długie lata słabość do układania problemów szachowych, nawet wydałem taką książeczkę „Dwuchodówki i studia pionkowe". Spójrz, tu stoi.

Co to są „Studia pionkowe"?
Taka kompozycja szachowa. Tworzy się pewną sytuację, w której jest ukryte piękno. Ono polega na tym, że jest tam niezwykła niespodzianka okraszona niespodziewaną ofiarą. To wszystko się dzieje na szachownicy, na którą patrzysz. Ale jest ukryte tak finezyjnie, że odkrycie tego – oszałamia. Ci, którzy to lubią, patrzą i myślą: „Jak to było możliwe, że to tak można było zrobić?!". O, tu, patrz. Takie zadanie. Powiesiłem je sobie i lubię na nie patrzeć. Chyba najlepsze z tych moich pionkowych studiów. Wiele ich nie skomponowałem, może dwadzieścia kilka. Rozwiązanie tego problemu jest dla zwykłego szachisty bardzo trudne. Ale jeżeli je odkryje, to powinno go zachwycić. Opowiem ci szybko. Możesz nie umieć grać w szachy, to nie ma znaczenia. Białe zawsze są z dołu, czarne u góry. Czarny pionek, jak dojdzie na dół, zyskuje na sile i staje się hetmanem. Biały pionek, jak się dostanie na górę, też może zostać hetmanem. Ale w tej sytuacji, jak widzisz, ten biały król czarnego pionka nie dogoni, bo on zawsze mu ucieknie. Natomiast, kiedy biały pionek próbuje iść, to czarny król zdąży go zatrzymać. Generalnie ta sytuacja dla normalnego szachisty jest przegrana. Biały musi przegrać, czarny musi wygrać.

ARCHIWUM EDWARDA PAŁŁASZA X3

Ale tu jest zaszyta pewna tajemnica. Otóż jeżeli biały król pójdzie na ratunek swojemu pionkowi, ale niezwyczajną drogą, to wszystko potoczy się inaczej. Jeśli nie zabierze czarnego piona, co się tu narzuca, tylko zamiast tego pójdzie do tyłu, schowa się, to potem się okaże, że ten jeden ruch nie pozwoli potem czarnemu hetmanowi go zaszachować. Po dziesięciu posunięciach okaże się, że białe mogą zremisować! Nie muszą wcale przegrać, choć na pierwszy rzut oka jest to niemożliwe.

Widzisz to?! To jest absolutnie fascynujące. Tu jest wszystko jak w powieści: jest jakaś przeszłość i teraźniejszość, ale też wiele możliwych światów w przyszłości. Wiele rozwiązań, które są złudą. Im więcej tych złud, tym lepiej, bo rozwiązujący ciągle w nie wpada i wciąż musi zaczynać na nowo. To jest piękne!

Dlaczego teraz nie możesz się tym już zajmować jak kiedyś?
Właściwie mogę. Ale to jest niestety bardzo czasochłonne hobby.

A Ty już się liczysz z czasem.
Muszę. Trzeba teraz dysponować czasem o wiele bardziej racjonalnie, nie można dać się ponieść uciechom.

To co przedkładasz ponad szachy?
Pracę. Komponuję, ile się da. Napisałem niedawno utwór chóralny „Et...". Punktem wyjścia jest Apokalipsa św. Jana, sąd nad umarłymi. To bardzo skomplikowany i trudny do wykonania utwór, bo tam są 24 głosy. W punktach kulminacyjnych każdy z członków chóru ma swój inny dźwięk i te dźwięki tworzą złożony pion. Ale tylko w tych chwilach, kiedy ma być groźnie. Polski Chór Kameralny z Gdańska pod dyrekcją Jana Łukaszewskiego wykonał to rewelacyjnie, mam poczucie ogromnej satysfakcji.

Skąd wiedziałeś, że to muzyka będzie Twoim życiem?
Wiedziałem od razu. Widziałem, że to mi wychodzi, nie miałem żadnych wątpliwości. Mam słuch absolutny. Wiesz, że ja nie kończyłem formalnych studiów kompozytorskich? Los nie pozwolił mi takich studiów mieć, bo nie było szkoły średniej muzycznej w Starogardzie, a do Gdańska nie mogłem dojeżdżać, było za daleko, za trudno i musiałem z tego zrezygnować. Zacząłem coś robić w teatrzyku Bim-Bom w Gdańsku, bez dostatecznego wykształcenia. Potem przeniosłem się do Warszawy. Tu ponowiłem próbę dostania się do średniej szkoły muzycznej, żeby potem móc iść wyżej. Ale miałem 19 lat, byłem za stary, nie przyjęli mnie.

A ten słuch absolutny – co to właściwie jest?
Taka zdolność, że jeżeli ktoś mi zagra na klawiszach pik, pik, pik, to ja wiem, które to są dźwięki i jak się nazywają. Zawsze wiem, co kto gra. To odkrył mój wuj, jak mnie zaczął uczyć nut. Zagrał coś, a ja powiedziałem, co to było. To on znowu gra pim, pim, pam i pyta: „A te jak się nazywają?". A ja, że to D, E, F. To on zagrał trzy dźwięki naraz. „A to jakie dźwięki są?". „No przecież D, F, G"... Wtedy to była rodzinna sensacja, że pięciolatek słyszy takie rzeczy. W kąt mnie stawiali w pokoju, żebym nie mógł podpatrzeć pianina, i pytają, co było. A ja mówię: „To, to i to". To jest ta rzecz, która niewiarygodnie ułatwia muzykowanie.

Ale może też przeszkadzać. Opowiem ci jedną historię. Kiedy byłem na studiach politechnicznych w Gdańsku, tam była jakaś akademia i miałem zagrać dwa utwory Chopina. Nie wiedziałem, że tuż przed tą akademią przyszedł stroiciel i postanowił fortepianowi nadać lepsze brzmienie. Podciągnął cały strój instrumentu o pół tonu w górę. Wtedy struny są bardziej napięte i brzmienie niby fajniejsze. Ale ja nie wiedziałem o tym, nie dotknąłem tego instrumentu po tym strojeniu, nie było jak. Wszedłem na estradę i zacząłem grać utwór w tonacji c-moll, tak jak miało być. Gram i słyszę coś zupełnie innego, słyszę cis-moll!

Powyżej: przy komponowaniu dwuchodówki, 1954 r.
Poniżej: z córeczką Urszulą, 1962 r.

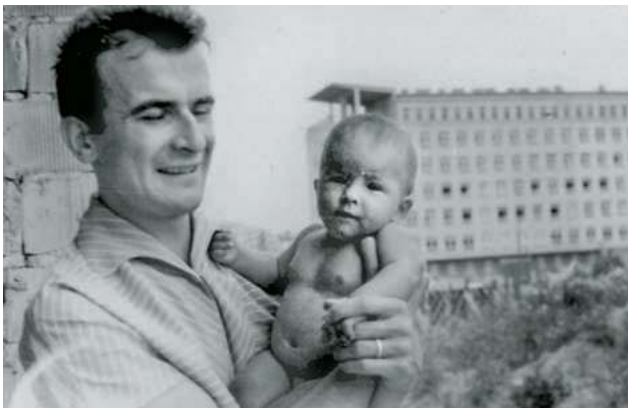

Z Małgorzatą Ślusarek – przyszłą żoną – przed budynkiem Studenckiego Teatru Satyryków STS, 1957 r.

Niebywała konfuzja, ręce próbowały zrobić to, co słyszy ucho. Zrobiłem pim, pam, bum, przerwałem i zszedłem.

Czy znasz jakiś utwór, który mógłby być metaforą starości?
Może ostatnia część IX Symfonii Gustawa Mahlera? Tam jest takie ogromne *adagio*. To jest ta pogodna starość, która zarazem jest smutna. Taki szczyt emocjonalny. Starość bywa piękna, dopóki nie przygniecie cię fizjologia, choroba, bezradność, cierpienie. Wtedy dopiero traci swój urok.

Czy można się do tego czasu w życiu jakoś przygotować?
Do bycia starym? Nie sądzę. Nie możesz się przygotować do czegoś, czego nie znasz. Człowiek 20-letni czy nawet 40-letni nie może sobie w ogóle starości wyobrazić. I nie ma potrzeby, żeby to robił. Nie ma powodu, by za dużo o tym myśleć, bo można przez to ulec paraliżowi. Trzeba być aktywnym. To wszystko.

Ty jesteś cały czas aktywny.
Staram się. Wiesz, co jest bardzo istotne? Żeby żyć wśród ludzi. To nam nie pozwala zdziadzieć. Bardzo lubię mieć ludzi wokół siebie, coś z nimi wspólnie robić, gadać, nawet się spierać. Trzeba zwalczyć w sobie skłonność do lenistwa, do tego, żeby się położyć na kanapie. Bardzo uważać, żeby nie popaść w apatię. Na mnie mobilizująco działa konsumowanie świata sztuki, kultury. Śledzę, co robią moi młodsi koledzy muzycy, kompozytorzy. Ciekaw jestem, co znajomi pisarze napisali, a co malarze namalowali, jakie kino się pojawiło.

A jakbym Cię zapytała, co jest w życiu warte starania? Co byś odpowiedział?
Nie być samemu. Ja się boję być sam. Moja pierwsza żona, Małgosia, umarła w Londynie po operacji. Miała bardzo ciężko chore serce. Przyjechałem tu z jej prochami i dość nieszablonowo się zachowałem. Nie minął miesiąc, może dwa, jak ją pogrzebałem, a już postanowiłem, że nie mogę dalej być sam, że natychmiast muszę znaleźć partnerkę. I tak zrobiłem.

Faktycznie, nieszablonowo.
Pogrzeb Małgosi był w końcu października, a ja pod koniec listopada ułożyłem sobie w głowie, kogo znam i kto mi się podoba. Marysia kopiowała mi nuty. Wtedy oczywiście to była jeszcze pani Maria.

Oświadczyłeś się szybko?
Zaprosiłem do opery na „Króla Rogera". Ale ona nie wiedziała wtedy, że już jestem wdowcem. Akurat był u niej Andrzej Kurylewicz i ona mówi do niego: „Wiesz, dzwonił do mnie Pałłasz i chce iść ze mną do opery". A on na to: „W żadnym wypadku, nie idź!". „A dlaczego nie?". „No przecież on jest wdowiec". Ona duże oczy robi. A on: „Wdowcy to mają narowy, maniery, przyzwyczajenia, wiadomo, jak to jest. Ciągle będzie cię przyrównywać do tej pierwszej".

Czyli pierwsza randka była w operze?
Tak. A sylwestra już spędzaliśmy wspólnie, po bożemu, ale razem. Starałem się tak robić, żeby nie dotknąć mojej córki, Urszuli, nie wprowadzać jej w zakłopotanie.

Udało Ci się?
Wydaje mi się, że tak, choć nie wiem na pewno. Ta psychologia rodzinna to jest strasznie skomplikowana materia. Nie było wybuchu radości, że tata sobie znalazł narzeczoną. Ale nie było też konfliktu.

Może córka widziała, jak trudno Ci być samemu.
Nawet z nią nie gadałem wiele na ten temat. Była wtedy w ciąży, miała inne sprawy na głowie. Minął rok dokładnie i staliśmy się z Marysią małżeństwem. Tak. Lęk przed samotnością to jest coś, co mocno we mnie siedzi. Nie mam poczucia, że sam ze sobą czułbym się dobrze. Każdy wyjazd zagraniczny – zobaczenie fiordów czy piramid – będzie jałowy, jeśli nie będę miał kogoś, z kim mógłbym się tym dzielić. Obrazki to ja mogę sobie zobaczyć w książce albo w telewizji. Jak miałbym jechać sam, to ni cholery mnie nie ciągnie. Wolę siedzieć w domu. Pogadać, poczytać.

Jesteście z Marysią ponad 30 lat. Jak to zrobiliście?
To musi płynąć z potrzeby dzielenia się sobą. Miałem w życiu dwie miłości. Obie te dziewczyny – każdą w swoim czasie – bardzo zdecydowanie szturmowałem. Wiedziałem, że muszę każdą z nich zdobyć. Z Małgosią było tak, że byliśmy oboje dość rzadkimi okazami w STS-ie, takimi z importu. Nie znając tu w Warszawie nikogo, wspieraliśmy się na sobie wzajemnie. A z Marysią było tak, że nagle zostałem wdowcem. Pewnego dnia obudziłem się w tym mieszkaniu na podłodze, po jakiejś pijatyce, w ubraniu, i doszedłem do wniosku, że to prowadzi donikąd. Muszę się na kimś wesprzeć, na kimś, kto mi będzie bliski... bo inaczej się całkiem zgubię. Miałem zresztą wielki fart, to też muszę powiedzieć.

Dużo gadacie ze sobą?
My wyłącznie gadamy!

↦

ARCHIWUM EDWARDA PAŁŁASZA

Z żoną Marią w Brukseli, 2011 r.

W Polskim Radiu wszedłem w konflikt z władzami w obronie Dwójki – to był bój na śmierć i życie. Po powrocie do domu Marysia wyprowadzała mnie na spacer. Szliśmy, ja opowiadałem, ona słuchała. To było dla mnie zbawienne.

EDWARD PAŁŁASZ *(ur. 1936) jest kompozytorem i działaczem środowiska artystycznego. Były dyrektor Programu II Polskiego Radia (1995-98), prezes Stowarzyszenia Autorów ZAiKS (1988-93 i 2003-09). Był związany z teatrami Bim-Bom i STS. Komponował muzykę do filmów i Kabaretu Olgi Lipińskiej.*

↦ **A o czym?**

Na przykład o moich sprawach zawodowych. To dla mnie bardzo ważne, że mogę się podzielić. Kiedy pracowałem w Polskim Radiu, wszedłem tam w konflikt z władzami w obronie Dwójki – to był bój na śmierć i życie. Po powrocie do domu Marysia wyprowadzała mnie na spacer. Szliśmy, ja opowiadałem, ona słuchała. To było dla mnie zbawienne. Pamiętam jej to do dzisiaj. Poza tym mamy dużo wspólnych zainteresowań. Rozmawiamy o książkach, słuchamy muzyki. Słuchamy, potem rozmawiamy. Ta dziedzina jest dla nas stale otwarta. Zaczyna się od Mieczysława Fogga czy Ordonówny, a kończy na hip-hopie. W muzyce poważnej jesteśmy na bieżąco do ostatniego dnia, ostatniej nowinki. To lubimy.

A o co się kłócicie?

Kłócimy się, jeżeli nie spełniam jakichś oczekiwań. Marysia nie werbalizuje swoich potrzeb, tylko je skrywa i oczekuje, że sam wpadnę na to, czego oczekuje. A mechanizm męskiej psychiki jest odmienny. Facet woli, kiedy się sprawy stawia wprost. A jak nie, to czuje się bezradny i dotknięty. Niczego złego nie zrobił, a jednak coś jest nie tak. Ale może to chodzi o to, żebym nie poczuł się zbyt dobrze, żebym nie wpadł w samozachwyt?

Mimo że jesteś w czepku urodzony, Marysia Ci czasem uciera nosa?

No pewnie. Myśmy teraz przeżyli okrutny rok, dla mnie chyba najtrudniejszy w moim półwieczu. Ona leżała po wypadku, była bezradna całkowicie, a ja zostałem jako jedyny stały i całodobowy opiekun. To się okazuje dla mężczyzny trudnym doświadczeniem. Nie nawykłem do takiej formy troskliwości.

Co Ci pomogło?

To, że nie mam wyjścia. Wiedziałem, że przyjdzie pielęgniarka i przez godzinę coś poćwiczy. Ale jest dzień i jest noc. A basen trzeba umieć podać zawsze. I – być na wezwanie. To, muszę ci powiedzieć, była dla mnie trudna szkoła. Ale przetrwaliśmy.

To rzeczywiście chyba musi być miłość.

Tak, to właśnie jest miłość. Wiesz, żeby cokolwiek się udało, najpierw musi być akceptacja. Ale pogodnego ducha w samotności się nie wzbudzi. To jest niemożliwe, bo człowiek wyraża się poprzez język, a mówić trzeba do kogoś. Dopiero za pomocą języka mogę przekazać Marysi swoją figlarność, swoje skojarzenia, siebie po prostu.

Wiesz, można być z kimś długo tylko pod warunkiem, że ten ktoś cię nie nudzi. My się przyjaźnimy. Ponad 30 lat. I oby jak najdłużej.

Myślisz czasem o śmierci?

Mam świadomość, że to nienazwane i trudno wyobrażalne na nas czeka. Jak moja mama umierała, pojechałem do Starogardu, ona tam mieszkała do końca życia. Akurat wróciła ze szpitala. Była już bardzo schorowana, taka drobna, krucha. W pewnym momencie przenosiłem ją z łóżka na fotel. Jak dziecko. I pomyślałem sobie wtedy: ona mnie tak w łonie nosiła, a teraz role się odwróciły. Ja ją noszę.

Dobra śmierć to jest taka, w której się nie cierpi. O taką można się modlić, choć się nie wierzy. Takiej bym chciał. U Imrego Kertésza jest jedno takie zdanie, które dobrze oddaje to, co myślę na ten temat: „oczywiście, byłoby mi łatwiej, gdyby istniał Bóg i byłbym wierzący". I to jest ta formuła, która mi najbardziej odpowiada.

Fascynuje mnie starość, bo mam poczucie, że ona jedna jest szczera.

To prawda. Patrzę często na te starania młodszego pokolenia i rzeczywiście mam poczucie, że oni przeceniają znaczenie tego, jak się jest postrzeganym przez innych. Na starość sporo skóry się zrzuca. Kiedy się jest młodym, przybiera się różne pozy, tworzy taką aktorską wersję siebie. Jak już nie trzeba tych masek nosić, to jest wielka ulga. Człowiek czuje się luźniejszy. I to jest wielka przyjemność. ©

Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

PAWEŁ

Bravo:
Pepys na trudny czas

Poszedłem na Charing Cross zobaczyć, jak wieszano, włóczono i ćwiartowano generała-majora Harrisona; podczas egzekucji wyglądał tak wesoło, jak tylko można wyglądać w podobnym położeniu. Jego głowa i serce zostały pokazane ludowi przy wielkich krzykach radości" – notował w październiku 1661 r. Samuel Pepys, urzędnik angielskiej marynarki. Była to wczesna faza tzw. restauracji Stuartów. Gdy po 20 latach domowych wojen Anglia wychodziła z rewolucyjnej czkawki, na tron powrócił król Karol II z tej dynastii i zaczynało się dorzynanie watahy awanturnika Cromwella. Rzeczony Harrison był jednym z odpowiedzialnych za zabicie 10 lat wcześniej poprzedniego króla. Dalej Pepys: „Trzeba trafu, że widziałem ścięcie Króla w Whitehall, a teraz pierwszą krew na pomstę za Króla wylaną. Wróciłem wodą do domu i tak się rozgniewałem widząc szmatki mej żony porzucone w nieładzie, żem połamał koszyczek, com go jej przywiózł z Holandii; a potem sam się zgryzłem, żem to uczynił". I kolejna odsłona rozliczeń z poprzednią władzą: „Dziś rano pan Carew był wieszany i ćwiartowany na Charing Cross; za osobliwą łaską poćwiartowane ciało nie było już wieszane. Tego wieczora nie mogłem zasnąć, bo mojej żonie zatkał się nos i bardzo chrapała".

Poćwiartowane ciało królobójcy i żonine szmatki. Osobliwa łaska życia codziennego, ujmującego politykę w apolityczny kontekst, bez którego byłaby tylko pozbawionym sensu dzikim mordem. A wówczas, co warto mieć w pamięci, była to naprawdę wielka polityka: w następujących po sobie paroksyzmach ulicznego gwałtu, intryg i parlamentarnych przepychanek wykuwała się w Londynie pierwsza, modelowa postać nowożytnej demokracji, powstawał ów często do dziś przywoływany wzorzec najtrwalszego, stabilnego parlamentaryzmu, trójpodziału władz i rządów prawa ponad wolą suwerena. Na dobrą sprawę dopiero dziś jesteśmy świadkami, jak się ów model – wraz z szaleństwem brexitu – rozłazi w szwach. Trudno się dalej łudzić, że brytyjską demokrację da się jakoś naprawić i skorygować.

Za dużo dziś niewiadomych na niwie publicznej – tym bardziej pocieszające, że żony nadal chrapią tak samo i spać urzędnikom nie dają. Lektura tego dziennika jest szczególną przyjemnością, żeby nie rzec: terapią, kiedy sprawy także naszego państwa przybierają obrót co najmniej niepokojący. Zwłaszcza że nieroztropni (delikatnie mówiąc) władcy, którzy przyprawiają nas o mdłości, czynią tak w majestacie reguł demokracji, mają jakieś racje, i nie wystarczy ich zamienić na lepszych, czekających za drzwiami, gotowych do rządzenia. Myślę, że z podobnego powodu Maria Dąbrowska rzuciła się spolszczać Pepysa w najczarniejszą noc stalinizmu. Musiał ją oczarować ten niezróżnicowany potok spraw ważkich i błahych, strasznych i śmiesznych, sumiennej pracy dla dobra ogółu i pociesznych grzeszków chciwego lubieżnika, spisany z bezbłędnym wyczuciem obserwacyjnego skrótu. Może właśnie pan Samuel, niewzruszenie pchający do przodu wózek swojego życia, dał jej siłę, żeby nie zwariować w dusznym aparacie kłamstwa i trwogi?

Chociaż, co prawda, nie zamierzała mu ulec we wszystkim, zatem polski czytelnik został przez nią pozbawiony wielu bezceremonialnych szczegółów Pepysowego cudzołóstwa. Na szczęście ani jej pruderia, ani wytyczne peerelowskiej cenzury nie zepsuły opisów jedzenia, które skrzętnie notował na równi ze wszystkim. „Mieliśmy potrawkę z kurcząt i królików, gotowane udo baranie, trzy karpie w jednym daniu, wielkie danie z polędwicy baraniej, pieczone gołębie, raki morskie, pasztet z minogów (wielki rarytas), sardele, trzy torty, dobre wino różnych gatunków" – relacjonuje obiad wydawany w rocznicę udanej operacji usunięcia kamieni moczowych. Ale bywa i prościej, nawet w Boże Narodzenie: „mieliśmy smażone żeberka, pasztety i dobre wino, a serce moje pełne było najprawdziwszej radości". Choć przez lata się bogaci i notuje coraz to większe zbytki w życiu codziennym (nie tylko potrawy, ale i stroje, sprzęty domowe, własny powóz), ciągle cieszy go proste jedzenie. Nie tylko ówczesna odmiana street-foodu, pożerana w drodze do urzędu, ale także marynarska strawa podczas inspekcji statków: „bosman przyniósł nam z kotła sztukę gorącej solonej wołowiny, trochę czarnego chleba i gorzałki, tedyśmy sobie podjedli, a tak było to dobre, że anibym kiedy mógł sobie życzyć lepszego mięsa, jeno półmiski rad bym był widzieć czystszymi".

To zresztą jeden z lejtmotywów jego kroniki nieskończonych biesiad: dbałość o zastawę i schludne podanie, troska o godność i porządek we własnej kuchni, kiedy w kuchni państwa rozgardiasz i brud. Toteż czytajmy Pepysa, tak smacznie piórem Dąbrowskiej spolszczonego, i pamiętajmy, że ilekolwiek by nam dzień przyniósł skandali i zgorszeń, czeka nas wieczór, a wraz z nim kolacja, podczas której to my jesteśmy suwerenami na obszarze własnego stołu. ©℗

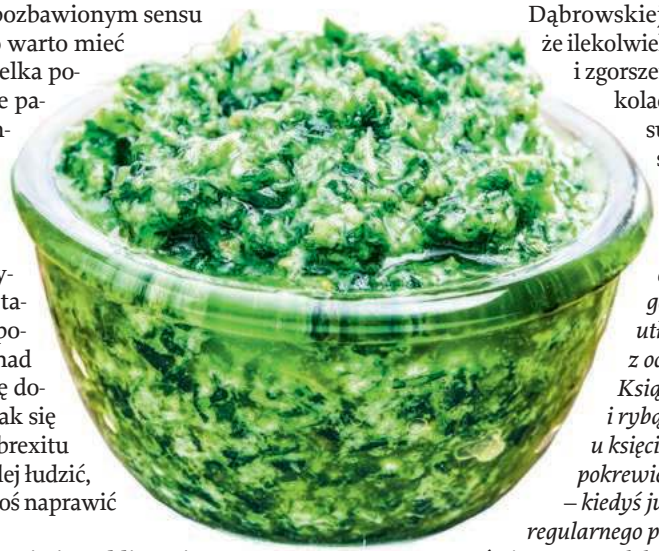

„Najlepszy uniwersalny sos według przepisu hiszpańskiego ambasadora; przyrządza się go z pietruszki i suchej bułki, utłuczonych w moździerzu razem z octem, solą i trochą pieprzu. Książę jada to z mięsem, drobiem i rybą" – zapisuje Pepys po wieczerzy u księcia Yorku. W tym przepisie widzę pokrewieństwo do piemonckiej salsa verde – kiedyś już tu wspominanej, a wartej regularnego przypominania, bo istotnie jest to świetny pomysł do mięsa z rosołu, który gotujemy, by leczyć się z grypy. Wersja z Piemontu przewiduje, że pokruszony miękisz suchej bułki moczymy w niewielkiej ilości octu, tyle żeby zmiękł, a natkę pietruszki (dużo! sos ma być zielony) siekamy nożem, zamiast tłuc, oraz dodajemy ugotowane na twardo, roztarte żółtko (jedno na pęczek pietruszki) i ewentualnie garść siekanych kaparów. A na koniec oczywiście oliwa, w takiej ilości, by uzyskać dość gęsty krem.

DEPOSIT PHOTOS

STANISŁAW

Mancewicz: *Windykator*

Działanie na rzecz wizerunku to nasza ulubiona branża. Niemal codziennie przyglądamy się i sprawdzamy, kto, jak i za ile w ramach szalejącego narcyzmu zmienił swą powierzchowność, bądź to za pomocą skalpela i tworzyw sztucznych, bądź filtrów, pudrów, szablonów i rekwizytów. Lubimy to. Od zawsze. Zważmy, choć jest to nienadmiernie odkrywcze, że wszystkie te działania umożliwiają pozowanie. Śmiemy mniemać, że na pozowanie idą dziś większe pieniądze niż na technologie rakietowe, automobilowe, poszukiwania innych cywilizacji, zbrojenia bądź cokolwiek.

Pozowanie stało się bodaj najważniejszą umasowioną czynnością ludzką. Pozujących od niepozujących dzieli dziś wszystko, tu – tak sądzimy – przebiega granica pojmowania wszelkiego sensu, w tym istnienia. Działalność wizerunkowa wymaga wielkiego profesjonalizmu i im bardziej fachowo podchodzimy do kreacji własnego obrazu, tym solidniejsza skrobaczka jest potrzebna do zdrapania z nas pudru bujdy. Po tym wstępie musimy przejść do przykładów, rzecz jasna w świecie polityki, bo przecież nie w blogerstwie modowym lub gimnastycznym.

Najgrubszymi w tej specjalności sukcesami może się pochwalić Gospodarz, a największą klęskę w czasie olimpijskim poniósł jednak jego Pieszczoch. Naturalnie nie będziemy się dziś zajmować opozycją, która jest poza tą ligą.

Oto wizerunkowo Gospodarz – zważmy – wygrywa w każdej konkurencji, ale najbardziej spektakularnym w naszym mniemaniu sukcesem była próba autokreacji – nie tylko dla sportu rzecz jasna – na rzecznika tzw. inteligencji. Wynik ten Gospodarz uzyskał wbrew wszystkim możliwym parametrom dającym choćby złudzenie inteligenckości, ale będących wzorcowymi na ten temat mniemaniami ćwierćinteligencji. Ćwierćinteligent polski otrzymał od Gospodarza nominację na inteligenta, podobnie jak komunistyczni aparatczycy na żarliwych patriotów. Ta operacja – przyznajemy – wzbudziła nasz niekłamany podziw. Weźmy drobny przykład: czołowy propagandysta partyjny, grafoman i pornograf, kreujący się na artystę i filozofa, dzięki polityce nominacyjnej Gospodarza stał się skutecznie wieszczem porównywanym do Wyspiańskiego. Innym mistrzowskim pomysłem wizerunkowym był pielęgnowany przez lata rzekomy „nieantysemityzm", potrzebny i jemu, i jego akolitom dokładnie z takich samych powodów, dla których powiększa się biust czy przedłuża rzęsy, czyli z powodów estetycznych, psychologicznych i wizerunkowych. Gospodarz bez żadnego poczucia dyskomfortu wyjął ostatnio publicznie implant „nieantysemityzmu", wywołując owację na stojąco. Po prostu wiedział, kiedy to uczynić, po co i przy jakiej okazji, uzyskując – pardon – tzw. efekt wow! Nie trzeba chyba dodawać, że podczas tego spektaklu akolici wyszarpnęli sobie podobne implanty z ulgą, radością i bez potrzeby znieczulania.

W działaniach Pieszczocha widzimy różnice, a budzą one tym większą ciekawość, im mocniej sobie uświadomimy, że jest on jednak dzieckiem swej narcystycznej ery, a nie zużytej estetyki towarzysza Wiesława. Póki robił w bankowości, póty jego biblią był *manual* ładu korporacyjnego, kanon obsługi kredytobiorcy i *dress code* tej branży. Trzymanie się tych nieskomplikowanych przepisów nie wymagało myślenia. Wystarczyło nauczyć się procedur oraz zwalczyć jedną zaledwie przeszkodę, czyli staroświeckie, a wyższościowe przekonanie, że garnitur leży dobrze dopiero w trzecim pokoleniu. Wydawało się nam, że nominacja Pieszczocha jest objawem jakiegoś zmiękczenia, zamysłem wizerunkowym właśnie, obliczonym choćby na zagranicę. Co ważne, wydawało się nam dobrze, to było celne rozwikłanie zagadki zrzucenia ze schodów jego poprzedniczki. Oto jednak Pieszczoch poszedł w bok, zwolniony z przestrzegania zasad i ideologii, które dawały mu solidną pensję. Zdjął nieoczekiwanie gorset. Z gracją pracownika biura windykacyjnego zaczął mówić prawdę, rzecz jasna nie tylko o sobie. Co tu jest najważniejsze? W odróżnieniu od swego pryncypała zrobił to niechcący. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DOŁĄCZ DO GRONA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”!

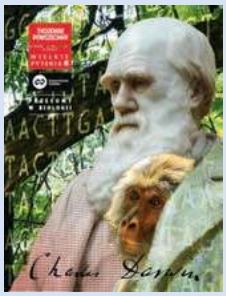

Prenumerata wydania papierowego to:

- **numer ponad 2 złote taniej niż w kiosku***
- **egzemplarz dostarczany do skrzynki pocztowej**
- **oferty lojalnościowe dla Prenumeratorów**
- **pewność otrzymania każdego wydania**

Zapraszamy!

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ:

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

* w rocznej prenumeracie ekonomicznej

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!

Wzrost rozpowszechniania płatnego w roku 2017 w porównaniu do roku 2016. DANE DYSTRYBUTORA RAS

Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny". Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika". Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP" poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.

1%

Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS:
0000125605
Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto:
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Ks. Adam Boniecki redaktor senior, przewodniczący Rady Fundacji TP

Aleksander Kardyś prezes zarządu Fundacji TP

Edyta Płachta członkini zarządu Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk prezes zarządu „TP"

Maja Kuczmińska członkini zarządu „TP"

Piotr Mucharski redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA